



DR 894

# Wislickiego Adama

38 39 i 40.

Erckmann-Chatrian.

## HISTORIA REKRUTA

z 1813 roku.

WARSZAWA

1881

Cena koplejek 36.

## PROSPEKT.

Dzisiejszy stan naszej oświaty wymaga nie tylko wydawnictw dobrych, kompletnych, ale i tanich — odpowiednio do powszechnego ubóstwa, obok powszechnej chęci czytania. Wszystkie też narody posiadają takie tanie wydawnictwa arcydzieł literatury własnej i obcej, odnawiające się niemal corocznie, dla milionów co chwila przybywających do stołu oświaty. Anglicy cieszą się swemi pennowemi bibliotekami, a Filip Reclam swą „Universal Bibliothek”, której każdy tomik kosztuje 20 fenigów, zasiewa obfite ziarno po całych Niemczech. Dokonać czegoś podobnego dla literatury polskiej jest gorącą naszą chęcią, świętym obowiązkiem, gdyż tego pilna zachodzi potrzeba, gdyż coraz bardziej nowe pokolenia ze słuchu tylko powtarzają wieści o własnych i obcych arcydziełach. Czy taki stan ma się nazywać oświatą — czyż ma odpowiadać godności oświeconego narodu?

Trzeba temu zaradzić!

Wydawnictwo które niniejszym prospektem ogłaszamy, składać się będzie z arcydzieł własnych i obcych literatur wybranych z dziedzin najobszerniejszych i najrozmaitszych. Ponieważ nie tworzymy żadnego *zbiorowego wydania*, a jedynym związkiem między pojedynczymi tomami będzie jednostajność formatu i okładki, przeto nie ogłaszamy żadnej periodyczności w wychodzeniu tomów, ani *żadnej z góry uiszczania się mającej prenumeraty*. Każdy tomik złożony z pięciu do sześciu arkuszy druku, szesnastki wyraźnym bourgoisem zadrukowanej, na czy-

Ereckmann-Chatrian.

# HISTORIA REKRUTA

z 1813 roku.

WARSZAWA

Wydawnictwo Dziel Tanich A. Wiślickiego.

1881.



Wydano z dubliów  
Bibl. Publ. m. st. Warsz.

Дозволено Цензурою.

Варшава, 29 Октября 1880 года.

160524

0-53/85

I.

Ci, którzy własnymi oczami nie widzieli sławy cesarza Napoleona — w latach 1810, 1811 i 1812; nigdy nie pojmą, do jakiego stopnia potęgi może wznieść się człowiek jeden.

Kiedy przejeżdżał Szampanię, Lotaryngię lub Alzacyę, ludzie zajęci żniwem lub winobranieniem, rzucali wszystko i biegli na spotkanie jego; byli tacy, co zdążyli o ośm lub dziesięć mil; kobiety, dzieci, starcy klękali na drodze i wznosząc ręce wołali: „Niech żyje Cesarz! niech żyje Cesarz!” Zdawało się, że to Bóg, że przez niego to żyje świat cały i że wszystko skończyłoby się, gdyby on umarł. Byli wprawdzie pewni republikanie, co kiwali głową na to i między dwoma haustami pozwalali sobie mówić, że Napoleon może upaść, ale ci uchodzili za szaleńców. Zdawało się to niepodobieństwem i nigdy nawet nie przypuszczano nic podobnego.

Co do mnie, od 1804 roku byłem w terminie u starego segarmistrza Melchiora Guldena, w Phalsburgu. Zdawałem się być słabowity i kulałem trochę; matka moja przeto chciała, bym się wyuczył rzemiosła, mniej utrudzającego niż praca w wiosce naszej; w Dags-

bergu bowiem żyją tylko drwale, węglarze i sankarze. Pan Gulden lubił mię bardzo. Mieszkaliśmy na pierwszym piętrze wielkiego domu stojącego na rogu, naprzeciw *Czerwonego Byka*, koło bramy Francyi.

Tamto widzieć można było książąt, posłów, generałów, jednych konno, drugich w karocach, innych na brykach, wygalonowanych, z kitkami, futrami i orderami różnych krajów. Wielkim traktem przebiegały sztafety, kuryery, konwoje z prochem, kulami, jaszczyki, kawalerya i piechota! Jakie czasy! jaki ruch!

W pięć lub sześć lat, oberżysta Jerzy zrobił majątek; mnóstwo miał łąk, sadów, domów i pieniędzy, wszyscy ci ludzie bowiem przybywając z Niemiec, Szwajcaryi, Rossyi, Polski lub z kąd inąd, nie wiele się troszczyli o trochę więcej lub mniej złota, które garściami sypali po drogach; wszystko to byli panowie, którzy chlubil się niejako z tego, że nic nie oszczędzali.

Od rana do wieczora, a nawet w nocy, stół był zastawiony pod *Czerwonym Bykiem*. Wzdłuż wysokich okien dolnej sali, ciągnęły się wielkie białe obrusy, błyszczące od srebra i zastawione zwierzyzna, rybą i innymi rzadkimi potrawami; do koła stołów tych podróżni zasiadali, jeden obok drugiego. Na wielkiem tylnym podwórzu, słychać było tylko rżenie koni, krzyki pocztylionów, głośne śmiechy służących, huk powozów przybywających lub odjeżdżających pod sklepieniami wysokich bram. Ah! nigdy już hotel *Czerwonego-Byka* nie będzie miał takiego powodzenia!

Widywano tam także ludzi pochodzących z samego miasta, ludzi którzy niegdyś zbierali suche drzewo w lesie, lub koński nawóz po drogach. Bijąc się po rozmaitych krajach, jeden na tysiąc dobijali się stopni komendantów, pułkowników, generałów.

Stary Melchior, w czarnej jedwabnej czapeczce nasuniętej na wielkie kosmate uszy, z opadniętymi powiekami, z nosem uwiecznionym wrogowe okulary i z zaciśniętymi ustami, od czasu do czasu kładł na warsztacie kłepę swą i rylec i spoglądał ku oberży, szczególnie wówczas, kiedy donośne klaskanie pocztylionów o ciężkich butach, małej kurtee i konopnej peruce spadającej na szyję, rozlegało się echem wśród wałów, świastując przybycie nowej jakiejś figury. Uważnie wówczas przypatrywał się i od czasu do czasu sły-  
małem, jak wykrzykiwał:

„Patrzcie! syn Jakóba co pokrywał dachy; ten mowu starej szwaczki Maryi-Anny, tamten bednarza Frantza-Sépela! Do czego doszedł!.. został pułkownikiem, a w dodatku baronem Cesartwa. Czemuż nie pójdzie do swego ojca, który mieszka tam przy ulicy Kapucynów?”

Ale kiedy ujrzał ich idących w tę stronę i witających się na prawo i lewo z tymi, którzy ich poznawali, twarz jego mieniła się; ocierał oczy wielką wą kraciatą chustką, szepcząc:

„Oto będzie szczęśliwa stara Anetta! To co inne, to co innego! ten nie jest dumny, to uczciwy złowiek; żebyż tylko kula nie zabrała go prędko!”

Jedni jak gdyby wstydzi się poznać gniazdo swoje, inni dumnie przechodzili miasto, udając się do siostry

lub kuzynki. O tych ostatnich wszyscy mówili, jak gdyby cały Phalsburg nosił ich szlify i krzyże; tamtemi wszyscy pogardzali tyleż, a nawet może więcej niż wówczas, kiedy zmiatali ulice.

Co miesiąc prawie odśpiewywano *Te Deum* za jakieś nowe zwycięstwo i działo arsenału dawało dwadzieścia jeden strzałów, od których serce drżało. Przez cały tydzień potem we wszystkich rodzinach panował niepokój, biedne stare kobiety szczególnie oczekiwały listów; całe miasto wiedziało o tem, kiedy list jaki przyszedł: „Taka to otrzymała wiadomość od Jakóba i Klaudyusza!” i wszyscy biegli do niej, by się dowiedzieć, czy nie było w piśmie nic o ich Józefie albo Janie Baptyście. Nie mówię już o awansach, ani o aktach zejścia; w awanse wszyscy wierzyli, trzebać przecie by ktoś zastąpił umarłych; ale co do aktów zejścia, rodzice oczekiwali ich płacząc, bo nie przychodziły one zaraz, czasami nawet nie przychodziły wcale i biedni starzy mieli wciąż nadzieję, myśląc:

„Może chłopiec nasz jest w niewoli.. Kiedy pokój stanie, to i on wróci... [Iluż wróciło takich, których miano za umarłych!] Ale pokój nie stawał wcale; jedna wojna kończyła się, druga zaczynała.... Braćko nam zawsze czegoś, to ze strony Rosyi, to od Hiszpanii, to z kąd inąd jeszcze; nigdy cesarzowi nie było dosyć.

Często, kiedy pułki przechodziły przez miasto, — w długim surducie podgiętym na biodrach, z torni-  
stem na plecach, w wysokich kamaszach sięgają-  
cych kolan i z fuzyą, którą dowolnie nieśli, posuwi

stym idąc krokiem, czasem okryci błotem, czasem biali od kurzu; — często ojciec Melchior, popatrzywszy na te defilujące szeregi, pytał mię zamysłony:

— Powiedz, Józefie, jak myślisz, ile ich tak wdziliśmy przechodzących od 1804?

— Oh! nie wiem, panie Gulden, mówiłem, przynajmniej cztery lub pięć tysięcy.

— Tak... przynajmniej! odpowiadał. A iluż ich wdziliśmy wracających?

Rozumiałem wówczas, co chciał powiedzieć przez to, odpowiedziałem mu:

— Może wracają na Moguncyę, albo też inną drogą jaką. Nie może być inaczej.

Ale on kiwał głową i mówił:

— Ci, których nie wdziałeś wracających, poginęli tak jak poginą ich jeszcze setki i setki tysięcy, jeżeli Bóg nie zlituje się nad nami, bo cesarz wojnę tylko lubi! Więcej krwi przelał już on, starając się o korony dla swoich braci, aniżeli nasza wielka rewolucya, walcząc o prawa człowieka.

Braliśmy się znowu do pracy; uwagi pana Gulden dawały mi wiele do myślenia.

Kulałem wprawdzie na lewą nogę, ale tylu innych ułomnych dostało pasport na drogę!

Myśli te wciąż chodziły mi po głowie i dłużej zastanawiając się nad tem, martwiłem się mocno. Wydawało mi się to straszne, nie tylko dla tego że nie lubiłem wojny, ale i dla tego, że chciałem posłużyć Katarzynę z Inatré-Vents. Wychowaliśmy się razem. Nie było weselszej, świeższej dziewczyny; blondynka, z pięknymi niebieskimi oczyma i zębami

białemi jak mleko; miała około ośmnastu lat; ja miałem ich dziewiętnaście i ciotka Margrédel zdawała się być bardzo mi rada, kiedy zjawiałem się u niej co niedzielę rano, na śniadanie i obiad. A Katarzyna i ja szliśmy po za dom, do sadu; jedno i to samo jedliśmy jabłko, jedną i tę samą gruszkę; byliśmy najszczęśliwsi w świecie.

Ja to prowadziłem Katarzynę na sumę i nieszpory; w czasie zabawy nie puszczała mojej ręki i nie chciała tańczyć z innymi chłopcami wioski. Wszyscy wiedzieli o tem, że mieliśmy się kiedyś pobrać; ale wszystko by się skończyło, jeżeliby mię wzięto do wojska. Chciałbym być jeszcze mocniej kulawym, bo w czasach tych pobrano najprzód chłopców, później żonatych, bezdzietnych i mimowoli myślałem sobie: „Dla czegoż kulawi mają być lepsi od żonatyh? czyżby nie mogli mię zrobić kawalerzystą!” Na samą myśl tę robiło mi się smutno: chciałbym być tuiec.

Głównie jednak w 1812 r., na początku wojny z rossyanami, przestрах mój wzmógł się. Od miesiąca lutego do końca maja, codziennie widzieliśmy przeciągające pułki za pułkami: dragoni, kirasyery, karabiniery, husarze, ulani rozmaitej barwy, artylerję, jaszczyki, ambulanse, wozy, żywność, ciągle i ciągle, jak rzeka, która wciąż płynie i której nigdy końca nie widać.

Pamiętam także, iż pochód ten rozpoczęli grenadyrzy, którzy prowadzili wozy ciągnięte przez woły. Woły te użyte w miejsce koni, miały służyć później jako żywność, gdyby się wyczerpały zapasy. Wszyscy

mówili: „Jaki doskonały pomysł! Kiedy grenadyrowie nie będą mogli karmić wołów, woły będą żywiły grenadyrów”. Na nieszczęście, ci którzy tak mówili, nie wiedzieli o tem, że woły nie mogą zrobić więcej nad siedm lub ośm mil dziennie i że na tydzień pochodu potrzebują przynajmniej dzień jeden wypoczynku; tak że biedne te zwierzęta miały już kopyta zniszczone, z pyska ich ślina płynęła, oczy wychodziły na łeb, łopatki sterczały i pozostała z nich tylko skóra a kości. Przez trzy tygodnie wlokły się tak, poranione bagnetami. Mięso potaniało, bo zabijano wiele z tych wołów, ale mało kto chciał je jeść, bo mięso było niezdrowe. Nie przeszły nawet dwudziestu mil poza Ren.

Potem, widzieliśmy już tylko migające lance, szable i kaski. Wszystko to wkraczało bramą Francji, przeciągało przez plac Broni i wielkim traktem wychodziło przez bramę Niemiec.

Nakoniec, 10 maja tegoż roku 1812, bardzo rano, działa arsenału zwiastowały przybycie pana. Spałem jeszcze, kiedy padł pierwszy wystrzał, od którego zatrzęsły się moje małe okienka, niby bęben i prawie jednocześnie pan Gulden ze świecą zapaloną otworzył drzwi moje, mówiąc:

— Wstawaj... otóż i on!

Otworzyliśmy okno. Pod bramą Francji ujrzałem wśród ciemności setkę dragonów, z których kilku trzymało pochodnie; przejechali ze strasznym hukiem i łoskotem; światła ich niby płomień, muskały fasady domów, a ze wszystkich okien rozlegały się okrzyki bez końca: „Niech żyje cesarz! niech żyje cesarz!”

Patrzałem na pojazd, kiedy w tem jeden z koni potknął się o słup rzeźnika Kleina, do którego przywiązano woły, dragon padł jak długi, z nogami rozstawionymi, szyszak jego potoczył się do rynsztoka; prawie w tejże chwili z powozu wysunęła się głowa biała, twarzy szerokiej, z kosmykiem włosów na czole: był to Napoleon; trzymał rękę podniesioną, jak gdyby do wzięcia szczypty tabaki i opryskliwie rzekł słów kilka. Oficer, który jechał na koniu koło drzwiczek, pochylił się by mu odpowiedzieć. Cesarz zażył tabaki i powóz skręcił na rogu, podczas kiedy krzyki wzmagaly się i armata grzmiała.

Oto wszystko co ujrzałem:

Cesarz nie zatrzymał się w Phalsburgu; ostatnie strzały padały z dział, kiedy on był już na drodze do Sarane. Potem wróciła cisza. Strażnicy podnieśli most u bramy Francji i stary zegarmistrz rzekł do mnie:

— Widziałeś go?

— Tak, panie Gulden.

— Otóż widzisz, człowiek ten trzyma w rękę swem życie nas wszystkich; dmuchnąłby tylko, a byłoby już po nas. Błogosławmy niebo, że nie jest złym, bo inaczej świat ujrzałby rzeczy straszne, jak za czasów dzikich królów i Turków.

Zdawał się być mocno zamyślony; po chwili dodał:

— Możesz się położyć nazad; właśnie trzecia biła.

Wrócił do swego pokoju, a ja położyłem się zmusu. Wielka cisza, która zapanowała na dworze, wydała mi się nadzwyczajną po tym całym hałasie i aż do dnia śniłem wciąż o cesarzu. Myślałem także o dra-

gonie i chciałbym wiedzieć czy umarł. Nazajutrz dowiedzieliśmy się, że odniesiono go do szpitala i że wróci do zdrowia.

Od dnia tego aż do końca września, śpiewano często w kościele Te Deum i za każdym nowem zwycięstwem padało dwadzieścia jeden strzałów. Zdarzało się to prawie zawsze rano; pan Gulden wykrzykiwał wówczas:

— He, Józefie, jeszcze jedno zwycięstwo! pięćdziesiąt tysięcy ludzi poległych, dwadzieścia pięć sztandarów, sto dział! Wszystko dobrze idzie... wszystko dobrze idzie. Teraz pozostaje tylko nowy zrobić pobór, żeby zastąpić tych, co umarli!

Otwierał drzwi moje i widziałem go siwego, łysego, jak z obnażoną szyją i w koszuli mył twarz swą w miednicy.

— Czy sądzisz, panie Gulden, mówiłem mocno zmieniany, że wezmą też i kulawych?

— Nie, nie, odpowiedział z dobrocią, nie lękaj się, moje dziecko; rzeczywiście nie mógłbyś służyć. Urządźmy to jakoś. Pracuj tylko dobrze i nie troszcz się o nic więcej.

Widział mój niepokój, i to mu sprawiało przykrość. Nigdy nie spotkał lepszego człowieka. Potem ubierał się i szedł naprawiać zegary u pana komendanta, u pana burmistrza i u innych znakomych osób. Ja zostawałem w domu.

Pan Gulden wracał dopiero po Te Deum; zdejmował wielki swój orzechowy surdut, perukę ukladał napowrót do pudełka i znowu naciągał swą czapeczkę jedwabną na uszy, mówiąc:

Historja Rekruta.



— Armia jest w Wilnie, — albo w Smoleńsku, — dowiedziałem się o tem u komendanta. Dałby Bóg, żebyśmy ten raz jeszcze byli górą i żeby pokój zawarto; im prędzej to nastąpi, tem lepiej, bo wojna to rzecz straszna.

Ja także myślałem sobie, że jeśli pokój nastąpi, to nie trzeba będzie tylu ludzi i będę mógł ożenić się z Katarzyną. Można sobie wyobrazić, jak gorąco pragnąłem sławy dla cesarza.

## II.

Dnia 15 września 1812 roku dowiedziano się o naszym wielkiem zwycięstwie nad Moskwą. Ogólna radość zapanowała i wszyscy wołali: „Teraz będzie mieli pokój... teraz wojna się skończyła”.

Byli wprawdzie nieponie co utrzymywali, że pozostały jeszcze Chiny do zdobycia; podobne istoty trafiają się często na utrapienie ludzi.

W tydzień potem wiedziano, że stanęliśmy w Moskwie, największem i najbogatszem mieście Rosyi; wyobrażaliśmy sobie, jakie łupy dostaną się nam i sądziliśmy że to zmniejszy kontrybucye. Ale wkrótce rozeszła się pogłoska, że rossyianie podpalili miasto swe i że chcąc uniknąć głodowej śmierci, trzeba będzie cofnąć się do Polski. O tem tylko mówiono w oberżach, w piwiarniach, na targu zbożowym, wszędzie; za każdym spotkaniem mówiono sobie: „A co... a co... źle idzie... rozpoczął się odwrot!”

Bładość pokryła wszystkie twarze; i przed pocztą setki chłopów czekały od rana do wieczora; ale listy nie przychodziły. Ja niewielką zwracałem uwagę na to wszystko, tyle już widziałem! A zresztą krążyła mi po głowie myśl, która mi radowała serce i wszystko w pięknych przedstawiała kolorach.

Trzeba wiedzieć, że od pięciu miesięcy myślałem o wspaniałym подарunku, który zamierzałem zrobić Katarzynie w dzień jej imienin, przypadających 18 grudnia. Między zegarkami, które znajdowały się na wystawie pana Guldena, był jeden maleńki, bardzo ładny, ze srebrną kopertą, porysowaną w małe kółka i błyszczącą jak gwiazda. Pod szkłem, mosiężna obrączka opasywała cyferbłat, a na tym ostatnim był obrazek, przedstawiający dwoje kochanków, jak gdyby wyznających sobie miłość, chłopiec bowiem podawał dziewczynie wielki bukiet róż, ta zaś skromnie spuściwszy oczy, wyciągała do niego rękę.

Kiedym pierwszy raz ujrzał ten zegarek, powiedziałem sobie: „Nie puścisz go ztąd; będzie on dla Katarzyny. Chociażbyś miał pracować codziennie do północy, musisz go mieć”. Od godziny siódmej pan Gulden pozwalał mi pracować na mój własny rachunek. Mieliśmy stare zegarki do oczyszczania, do ustawiania, do uregulowania. Kosztowało to wiele pracy i pan Gulden słuszną mi dawał zapłatę za podobną robotę. Ale zegareczek kosztował trzydzieści pięć franków. Można sobie wyobrazić, ile nocy musiałem spędzić na to, żeby go dostać. Jestem pewny, że gdyby pan Gulden wiedział, że chcę go mieć, byłby mi go darował; ale nie byłbym zgodził się na żadne

ustępstwo, ani na grosz jeden, uważałbym to sobie za hańbę; mówiłem sobie: „Musisz zapracować na niego.... sam, bez żadnej pomocy”. Tylko, bojąc się, by nie przyszła komu ochoła kupić go, odłożyłem go na stronę do pudełka i powiedziałem ojcu Melchiorowi, że mam kupca na zegarek.

Teraz łatwo pojąć, dla czego wszystkie te historie z teatru wojny wchodziły mi jednym uchem a wychodziły drugim. Pracując wyobrażałem sobie radość Katarzyny; przez całe pięć miesięcy to tylko jedno stało mi w oczach; przedstawiałem sobie jej miłą, z jaką przyjmie podarunek mój i zapytywałem siebie: „Co ona powie?” Czasami zdawało mi się, że zawoła: „Panie Józefie, co ty sobie myślisz? To nadto piękne dla mnie.. Nie... nie... nie mogę przyjąć tak pięknego zegarka!” Wówczas zmuszałem ją do wzięcia go; wsuwałem go do kieszonki jej fartuszka, mówiąc: „No, Katarzyno, dajże pokój... Czyż chcesz zrobić mi przykrość?” Dobrze wiedziałem, że pragnie go i że mówi tak tylko, udając że chce odmówić. Czasami wyobrażałem ją sobie całą zapłonioną; wznosiła do góry ręce, mówiąc: „Panie Boże! teraz, Józefie, widzę dobrze, że ty mię kochasz!” I ze łzami w oczach całowała mię. Bardzo byłem szczęśliwy. Ciotka Grédel zgadzała się na wszystko. Jednym słowem, tysiące i tysiące podobnych myśli snuło mi się po głowie i wieczorem kładąc się spać, tak dumałem: „Niema szczęśliwszego od ciebie człowieka, Józefie! Teraz już z pracy swojej możesz zrobić podarunek Katarzynie. A i ona zapewne przygotowuje coś dla ciebie, na twoje imie-

niny, bo myśli tylko o tobie; oboje jesteście bardzo szczęśliwi i wszystko pójdzie dobrze jak się pobierzecie”. Tak myśląc rozrzewniałem się, nigdy jeszcze nie byłem tak bardzo zadowolony.

Kiedy tak pracowałem, zajęty tylko moją radością i zima nadeszła prędzej niż zwykle, bo z początkiem listopada. Rozpoczęła się ona nie śniegiem, ale suchym chłodem i wielkimi mrozami. W kilka dni wszystkie liście opadły, ziemia stwardniała jak kamień i wszystko pokryło się szronem: dachówki, bruk i szyby. Trzeba było rozpałać ogień, ażeby zimno nie wchodziło szparami! Jeżeli drzwi zostawiono otwarte na jedną sekundę, ciepło uciekało niemi; drzewo trzaskało w piecu, paliło się jak słoma i kominy ciągnęły dobrze.

Có rano śpiesznie myłem ciepłą wodą szybki wystawy sklepowej; ale zaledwie zamknąłem okno, natychmiast warstwa szronu pokrywała je. Słychać było, jak na dworze ludzie biegli sapać i chowając nos do kołnierza, a ręce w kieszenie. Nikt się nie zatrzymywał i drzwi domu szybko się zamykały.

Nie wiem, gdzie się podziały wróble, żyły one czy poginęły, ale ani jeden z nich nie krzychał na kominach i wyjąwszy odgłosu pobudki i capstrzyka, żaden inny szmer nie przerywał ciszy.

Często, kiedy ogień iskrzył się dobrze, pan Gulden nagle przestawał pracować i, popatrzawszy przez chwilę na białe szyby, wołał:

— Biedni nasi żołnierze! biedni nasi żołnierze!

Mówił to tak smutnym tonem, że aż mi się serce ścisnęło i odpowiadałem mu:

— Ależ, panie Gulden, muszą oni być teraz w Polsce, w dobrych koszarach; bo niepodobna przecie myśleć, by ludzkie istoty były w stanie znieść takie zimno.

— Takie zimno! mówił, tak, w tym kraju zimno jest, bardzo zimno, z powodu przeciągów od strony góry, a jednak cóż znaczy to zimno w porównaniu chłodów północy, w Rossyi i w Polsce? Dałby Bóg, by wyruszyli byli w porę!... Mój Boże! mój Boże! jakże wielki ciężar spoczywa na tych, którzy rządzą ludźmi!

To powiedziawszy, milkł, a ja godzinami całemi myślałem o tem com usłyszał; wyobrażałem sobie żołnierzy naszych w drodze, biegających dla rozgrzania się. Ale wspomnienie Katarzyny wracało znowu i nieraz potem myślałem, że kiedy człowiek sam jest szczęśliwym, to go nieszczęście innych mało obchodzi, szczególnie w młodości, kiedy namiętności silniejsze są, a niema doświadczenia wielkich nieszczęść.

Po mrozach takie spadły śniegi, że kurjerzy nie mogli przebyć wzgórz Quatre-Vents. Bałem się już, że nie będę mógł pójść do Katarzyny na jej imieniny; ale na szczęście moje dwa pułki piechoty wyszły z łopatami i w stwardniałym śniegu przekopały drogę dla wozów; droga ta utrzymała się aż do początku kwietnia 1813 roku.

Tymczasem imieniny Katarzyny zbliżały się codziennie i radość moja zwiększała się w tymże stosunku. Miałem już trzydzieści pięć franków, tylko nie wiedziałem jak mam powiedzieć panu Guldenowi,

że kupuję zegarek; chciałbym był zachować to wszystko w tajemnicy: nieprzyjemnie mi było bardzo mówić o tem.

Nakoniec, w wilią imienin, między szóstą a siódmą godziną wieczór, kiedyśmy w milczeniu pracowali obadwaj przy lampie, nagle zdobyłem się na postanowienie i rzekłem:

— Pamiętasz pan, panie Gulden, że mówiłem wam o kupcu na ten mały srebrny zegarek?

— Tak, Józefie, rzekł, nie przerywając sobie pracy; ale nie przyszedł on jeszcze.

— To ja nim jestem, panie Gulden, ja jestem tym kupcem.

Usłyszawszy to, wyprostował się zdziwiony. Wydobyłem trzydzieści pięć franków i położyłem je na warsztacie. On patrzył na mnie.

— Ależ, Józefie, rzekł zřęcznie, zegarek ten to nie dla ciebie; tobie potrzeba dużego zegarka, któryby ci zajął kieszonkę całą i któryby pokazywał sekundy. Te małe zegarki, to dobre dla kobiet.

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć na to.

Pan Gulden pomyślał chwil kilka, potem zaczął śmiać się.

— Ah! dobrze, dobrze, rzekł, teraz rozumiem, jutro święto Katarzyny! To dla tego pracowałeś dzień i noc! Masz, zabierz te pieniądze, nie chcę ich.

Byłem mocno zmieszany.

— Panie Gulden, dziękuję panu bardzo, rzekłem mu, ale zegarek ten jest dla Katarzyny i rad jestem że zapracowałem nań. Zrobiłbyś mi pan przykrość!



gdybyś nie chciał wziąć pieniędzy; wolałbym w takim razie zostawić zegarek.

Nie już na to nie odpowiedział i wziął trzydzieści pięć franków; potem otworzył swoją szufladę i wydobyl z niej piękny stalowy łańcuszek z dwoma małymi kluczykami ze złoczonego srebra i umocował je do zegarka. Potem wszystko to złożył do pudełka, które obwiązał różową wstążeczką. Robił to powoli, jak gdyby z rozrzuwaniem; nakoniec oddał mi pudełko.

— Piękny to podarunek, Józefie, rzekł; Katarzyna musi się uważać za szczęśliwą, że ma takiego jak ty kochanka. Poczciwa to dziewczyna. Teraz może mi jeść kolację; nakryj do stołu, a ja przyniosę zupę.

Zrobiwszy to, pan Gulden wyjął z szafy butelkę wina z Metz, którą chował na ważne tylko wypadki i wieczeraliśmy niby dwaj koledzy; przez cały wieczór mówił mi wciąż o dobrych czasach młodości swojej, o tej którą kochał niegdyś i którą musiał porzucić, kiedy w 92 roku nastąpiło pospolite ruszenie z powodu najazdu pruszków; o tem jak powróciwszy do Fénétrange znalazł ją zamężną, co bardzo było naturalnem, ponieważ nigdy jej nie był wyznał miłości swojej; pomimo to pozostał wierny temu tkliwemu wspomnieniu; mówił o tem z poważną miną. Ja słuchałem go myśląc o Katarzynie i dopiero kiedy dziesiąta wybiła i patrole zmieniały się, a miało to miejsce co każde dwadzieścia minut, dla wielkiego zimna, wrzuciliśmy dobre dwa polana do pieca i udaliśmy się nakoniec na spoczynek.

## III.

Nazajutrz 18 grudnia, obudziłem się koło szóstej godziny rano. Zimno było strasznie; małe okienko moje pokryło się niby zasłoną ze szronu.

W wilią z wieczora zawiesiłem był na poręczy krzesła mój niebieski surdut, spodnie, kamizelkę z koziej wełny, białą koszulę i piękną czarną krawatę. Wszystko było gotowe, pończochy i dobrze wyczyszczone trzewiki stały przy łóżku; pozostawało mi tylko ubrać się, ale pomimo to, ciekaw, który czułem na twarzy, widok tych szyb i wielka cisza na dworze, przejmowały mię dreszczem. Gdyby to nie były imieniny Katarzyny, byłbym tak leżał do południa; ale na tę myśl nagle wyskoczyłem z łóżka i prędko pobiegłem do wielkiego kaflowego pieca, gdzie prawie zawsze przechowywało się pod popiołem trochę żaru z wieczora. Wygrzebałem parę węgielków, spiesznie je ułożyłem, na wierzch rzuciłem trochę suchego drzewa i parę grubych polan, poczem biegiem puściłem się nazad do łóżka.

Pan Gulden, z kołdrą naciągniętą na nos i ze szlafmycą nasuniętą na oczy, nie spał już od chwili i spokojnie leżał za wielkimi firankami swemi; usłyszawszy mię, zawołał:

— Józefie, nigdy jeszcze, od czterdziestu lat nie było tak zimno... czuję to... jaką zimę będziemy mieli!

Ja, nie odpowiadałem nic; zdaleka patrzałem, czy ogień rozpala się; węgle rozrzarzały się dobrze; sły-

chać było, jak ciągnęło do komina i nagle wszystko zajęło stę ogniem. Widok płomienia rozweselał wprawdzie, ale trzeba było pół godziny czasu na to, by powietrze stało się trochę ciepłem.

Nakoniec wstałem, ubierałem się. Pan Gulden mówił wciąż, ja myślałam tylko o Katarzynie. Koło godziny ósmej, kiedy miałem wyjść, pan Gulden, który patrzył na mnie jak się kręciłem w tę i w ową stronę, zawołał:

— Józefie, co ty sobie myślisz, biedaku? Czy to w tym surducie chcesz pójść aż do Quatre-Vents? Ale zginąłbyś na pół drogi. Wejźdź do mego gabinetu, weźmiesz mój wielki płaszcz, rękawice i trzewiki o podwójnej podeszwie podszyte flanelą.

Znajdowałem siebie tak pięknym w tem ubraniu, że zacząłem zastanawiać nad tem, czy mam pójść za jego radą, a on widząc to, mówił:

— Słuchaj, znaleziono wczoraj człowieka zmarłego na wyniosłości Véchom; doktor Steinbrenner mówił, że trup, kiedy go dotykano, wydawał odgłos suchego drzewa. Był to żołnierz; opuścił wioskę między szóstą a siódmą, o ósmej znaleziono go nieżywego; tak to prędko idzie. Jeżeli chcesz by ci nos i uszy odmarzły, to możesz tak wyjść.

Widziałem, że ma słuszność; włożyłem jego trzewiki, sznur od rękawic zarzuciłem na szyję, a na to wszystko nasunąłem płaszcz. I tak wyszedłem, podziękowawszy panu Guldenowi, który mnie przestrzegał, bym nie wracał późno, bo zimno zwiększa się pod noc i wielka ilość wilków przeszła podobno Ben po lodzie.

Jeszcze nie doszedł do kościoła, a już podniósł lisi kotnicarz płaszcz, zasłaniając uszy. Mróz był tak ostry, że w powietrzu czuć było jak gdyby igielki i człowiek pomimo woli, kurczył się jak mógł.

Pod bramą Niemiec ujrzałem sztyldwacha w wielkim szarym płaszczu; krył się tam jak święty w swej niszy; fuzyę trzymał przez rękaw, ażeby nie odmrozić palców koło żelaza, dwa sople lodu wisiały u wąsów jego. Nikogo nie było na moście, ani też przed domem akcyznym. Trochę dalej, po za odwachem fortecznym, na środku drogi ujrzałem trzy wozy; wielkie płótna — okrywające je jak kosze, połyskiwały szronem; odprężnięto je i porzucono. Zdawało się, że wszystko zdawało się być umarłe, wszystkie żywe istoty chwiała się, kryły w jakiejś dziurze; pod nogami lód trzaskał.

Biegając koło cmentarza, którego krzyże i groby błyszczą wśród śniegu, mówiłem do siebie: „Tym, którzy śpią tutaj, nie zimno już!” Przyciskałem płaszcz do piersi i nos kryłem w futrze, dziękując panu Guldenowi za dobrą myśl jego. Ręce ukryłem w rękawicach aż po łokcie i klusem biegłem wielkim przekopem, który żołnierze zrobili byli od niasta aż do Quatre-Vents. Były to ściany z lodu; w niektórych miejscach, gdzie północny wiatr zmiótł śnieg, widać było parów Fiquotu, dębowy las i niebieskawe góry, które w skutek przezroczystości powietrza, zdawały się zbliżać. Nie słychać już było szczekania psów na folwarku; dla nich także za zimno było.

Pomimo to wszystko, myśl o Katarzynie rozgrzewała mi serce i wkrótce dostrzegłem pierwsze domy

Quatre-Vents. Kominy i dachy słomiane, na prawo i lewo drogi wystawały zaledwie z po za gór śniegu, a wzdłuż ścian szła dróżka, którą włościanie przekopali dla przechodzenia z domu do domu. Ale dnia tego wszyscy siedzieli u siebie i małe okrągłe okienka błyszczały niby przekłute czerwonym świecącym punktem, pochodzącym od wielkiego ognia wewnątrz. Przed każdymi drzwiami leżała wiązka słomy, nieprzepuszczająca chłodu do środka.

Przy piątych drzwiach na prawo, zatrzymałem się i zdjąłem rękawice, potem otworzyłem drzwi i szybko je zamknąłem za sobą, był to dom mojej ciotki Grédeli Baner, wdowy Mathiasa Banera i matki Katarzyny.

W chwili, kiedy wchodziłem trzęsąc się i kiedy ciotka Grédel, siedząca przed ogniskiem, odwróciła głowę swą, mocno zadziwiona moim wielkim lisim kołnierzem, Katarzyna, świętecznie ubrana, w pięknej spódnicy w paski, w chustce o długich frendlach skrzyżowanej na piersiach, z czerwonym fartuszkim, który opasywał jej szczupłą bardzo figurkę, w ładnym czepeczku z niebieskiego jedwabiu i czarnego aksamitu, który otulał jej różową jasną twarzyczkę, łagodne oczy i nosik trochę zadarty, Katarzyna zawołała: „To Józef!”

I nienamysłając się, podbiegła uściskać mię, mówiąc:

— Wiedziałam dobrze, iż zimno nie przeszkodzi ci przyjść.

Byłem tak szczęśliwy, że nie mogłem mówić! Zdjąłem mój płaszcz, który zawiesiłem na ścianie wraz z rękawicami; zdjąłem również wielkie trzewiki pana Guldena i czułem że blady byłem z radości.

Chciałbym był powiedzieć coś przyjemnego, ale nic mi na myśl nie przychodziło, nagle więc rzekłem:

— Masz, Katarzyno, przyniosłem ci coś na twe imieniny; ale zanim otworzysz pudełko, musisz mię raz jeszcze pocałować.

Podawała mi swe piękne różowe policzki, potem zbliżyła się do stołu; ciotka Grédel przysunęła się także. Ja stałem z tyłu i serce mi biło, bałem się już teraz, że zegarek nie będzie dość pięknym. Ale po chwili, Katarzyna, składająca ręce z cicha wyszeptwała:

— Oh! mój Boże! jakże to piękne!... To zegarek.

— Tak, rzekła ciotka Grédel, tak, to zupełnie ładne; nigdy nie widziała tak pięknego zegarka... Jak gdyby srebrny.

— Ale! to jest srebro, rzekła Katarzyna odwracając się i patrząc na mnie pytająco.

Wtedy rzekłem:

— Czyż sądzisz, ciotko Grédel, że byłbym w stanie ofiarować zegarek z mosiądzu posrebrzanego tej, którą kocham nad życie! Miałbym siebie za ostatniego, gdybym był zdolny do czegoś podobnego.

Katarzyna usłyszawszy to, zarzuciła mi na szyję obie swe ręce, i kiedy tak staliśmy, myślałem sobie: „Jest to najpiękniejszy dzień życia mojego!”

Nie miałem odwagi puścić jej; ciotka Grédel pytała:

— Cóż tu jest wymalowanego na szkle?

Leż ja nie miałem siły odpowiadać i dopiero w końcu, kiedyśmy siedli jedno obok drugiego, wziąłem zegarek i rzekłem:

— Malowidło to, ciotko Grédel, przedstawia dwoje kochanków, którzy się milują więcej niż można wypowiedzieć: Józefa Berthe i Katarzynę Bauer; Józef ofiaruje swojej ulubienicy bukiet z róż, a ta wyciąga rękę do niego.

Dobrze przypatrzwszy się zegarkowi, ciotka Grédel rzekła:

— Chodź, niech cię ucałuję także, Józefie; widzę dobrze, iż musiałeś bardzo się oszczędzać i pracować na ten zegarek, i znajduję że to bardzo pięknie z twej strony... że jesteś dobrym robotnikiem i że zaszczyt nam przynosisz.

Rozradowanem sercem uściśnałem ją i od tej chwili aż do południa nie puściłem już ręki Katarzyny: byliśmy szczęśliwi, patrząc na siebie. Ciotka Grédel kręciła się koło ogniska, przygotowując *pfan kugen'y* z suszonych śliwek, *küchlein'y* moczone w winie z cynamonem i inne jeszcze dobre rzeczy; ale nie zwracaliśmy na to uwagi i dopiero kiedy ciotka, włożywszy swój kaftanik czerwony i swoje czarne saboty, zawołała z zadowoleniem: „No, dzieci, do stołu!” ujrzelśmy piękny obrus, wielką wazę, dzban z winem i *pfankugen'y* okrągłe, ładnie podrumienione, będące na szerokim talerzu, na środku. Widok ten ucieszył nas i Katarzyna rzekła:

— Siądź tam, przy oknie, Józefie, żebym cię dobrze widziała. Tylko trzeba, żebyś mi pokazał, jak mam zrobić z zegarkiem, bo nie wiem jak go włożyć.

Zarzuciłem łańcuszek na jej szyję; potem usiadłszy, smaczno zajadaliśmy. Z dworu nie dochodził żaden odgłos: ogień trząsał na ognisku. Dobrze było

bardzo w tej wielkiej kuchni; szary kot, trochę dziki, spoglądał na nas z daleka, z po za balustrady schodów w głębi, nie śmiejąc zejść.

Po obiedzie, Katarzyna zaśpiewała: *Der lieber Gott*. Miała głos słodki, który wznosił się aż do nieba. Ja śpiewałem z cicha, podtrzymując ją tylko. Grédel, która nawet w niedzielę nie mogła być bez roboty, zaczęła prząść; brzęczenie kołowrotka przerywało jedynie ciszę i wszyscy byliśmy wzruszeni. Skończywszy jedną piosenkę, zaczęliśmy drugą. O trzeciej, ciotka podała nam *küchlein'y* z cynamonem; jedliśmy razem z jednego talerza i śmieliśmy się jak szczęśliwcy; czasami ciotka wołała:

— Ależ, ależ, prawdziwe z was dzieci!

Zdawała się gniewać, ale z oczu jej widać było, że śmiała się w duchu.

Trwało to do czwartej wieczorem. Wtenczas wieczór zaczął nadchodzić, przez małe okienka wciskała się ciemność i myśląc o tem, że wkrótce trzeba będzie rozstać się, usiedliśmy smutnie przy ognisku, gdzie błyskało płomień czerwone. Katarzyna ścisnęła mi za rękę; ja, pochyliwszy czoło, byłbym oddał życie, gdybym mógł zostać. Trwało tak dobre pół godziny, kiedy ciotka Grédel zawołała:

— Józefie... słuchaj... pora ci już iść; księżyc wschodzi dopiero po północy i wkrótce zrobi się na dworze tak ciemno jak w piecu, a przy tych wielkich mrozach o nieszczęście nie trudno...

Słowa te były dla mnie ciosem; czułem, że Katarzyna wstrzymuje mię za rękę, ale ciotka Grédel miała więcej niż my rozumu.

— Dosyć, rzekła powstając i zdejmując ze ściany płaszcz; wróciśz w niedzielę.

Trzeba więc było nałożyć wielkie trzewiki, rękawice i płaszcz pana Guldena.

Byłbym chciał, żeby to trwało sto lat; na nie-  
szczęście ciotka mi pomagała. Kiedy miałem już koł-  
nierz podniesiony aż do uszu, rzekła mi:

— Uściskajmy się, Józefie.

Ucałowałem ją najprzód, potem Katarzynę, która  
nie mówiła już nie więcej. Poczem otworzyłem drzwi  
i straszne zimno, jakie mię ze dworu uderzyło, było  
mi przestrogą, że nie powinienem dalej zwlekać.

— Spiesz się, rzekła mi ciotka.

— Dobranoc, Józefie, dobranoc! wołała Katarzyna;  
nie zapomnij przyjść w niedzielę.

Odwróciłem się i machnąłem ręką, potem zaczą-  
łem biedz nie podnosząc głosu, bo zimno takie było,  
że z po za długiej sierści kołnierza, oczy mi łzami  
zachodziły.

Szedłem tak ze dwadzieścia minut, zaledwie śmie-  
jąc oddychać, kiedy ochrypli głos, głos pijaka, za-  
wołał na mnie z daleka: „kto tam!

Popatrzyłem wówczas w noc ciemną i o pięćdzie-  
siąt kroków przed sobą ujrzałem wędrownego kupca  
Pinakla, z wielkim jego koszem, futrzaną czapką,  
wełnianami rękawiczkami i kijem o ostrzu żelaznem.  
Latarnia, zawieszona na pasie od kosza, oświecała  
opitą twarz jego, podbródek najeżony złotym włos-  
sem i wielki nos w kształcie nakrywki do gaszenia  
świecy; wytrzeszczał małe swe oczka jak wilk, po-  
wtarzając: „kto tam?”

Ten Pinakl był to największy łajdak w okolicy;  
miał nawet poprzedzającego roku, brzydką sprawę  
z panem Guldenem, który dopominał się u niego  
o pieniądze za zegarek, co go podjął się był wręczyć  
panu Anstt, proboszczowi z Homert i za który wzię-  
te pieniądze schował do swej kieszeni, utrzymując  
zarazem, że mnie je był oddał. Ale chociaż ten hul-  
taj podniósł rękę przed sędzią pokoju, pan Gulden  
wiedział dobrze, że nie tak było, bo tego dnia ani  
on, ani ja nie wychodziliśmy z domu. Oprócz tego,  
kiedy Pinakl podczas uroczystości w Quatre Vents  
chciał tańczyć z Katarzyną, ta odmówiła mu, bo  
znała historią jego o zegarku, a zresztą zawsze  
opierała się na mojem ramieniu.

Ten zatem niepoń miał do mnie urazę i nie bardzo  
mię cieszyło to spotkanie z nim nagle na drodze,  
daleko od miasta i wszelkiej pomocy, tembardziej  
że miał w rękę jarzębinowy kij z ostrzem żelaznem.  
Szczęściem, na lewo ujrzałem dróżkę, która okala  
cmentarz i nic mu nie odpowiadając pośpieszyłem  
po niej, tonąc w śniegu prawie po pas.

On odgadłszy wówczas kim byłem, zawołał z wście-  
kłością:

— Ah! ah! to mały kulawy... Stój!... stój!... muszę  
ci powiedzieć dobranoc. Wracasz od Katarzyny, ty  
złodzieju zegarków!

Ja skakałem po śniegu jak zając. Zrazu chciał  
gonić za mną, ale kosz mu zawadzał; dla tego też,  
widząc, że mię nie doścignie, przyłożył obie swe  
ręce do ust i wołał:



— Wszystko to jedno, kulawy, wszystko to jedno... będziesz ty miał jednak za swoje; zbliża się popis... wielki popis jednookich, kulawych i garbatach... Pójdiesz... i zostaniesz tam jak inni...

To powiedziawszy, śmiejąc się jak pijany, szedł dalej, a ja, nie mogąc prawie oddychać, wróciłem na drogę, w miejscu gdzie się poczyna pochyłość szanów, dziękując Bogu, że mała drożka znalazła się tak blisko mnie. Pinakl bowiem, znany był dobrze z tego, że dobywał noża przy każdej bitwie i teraz mógłby mi być zrobić coś złego.

Pomimo ruchu jakiego użyłem był, nogi zziębły mi zupełnie, chociaż grube miałem podszewy; zacząłem wówczas biedz.

Tej nocy woda zamarzała w cysternach Phalsburga, jako też wino w piwnicach, co się nie przytrafiło od sześćdziesięciu lat.

Przy fortecznym odwachu, koło pierwszego mostu i pod bramą Niemiec, panująca cisza wydała mi się większą jeszcze aniżeli rano; noc nadawała jej jakiś straszliwy charakter. Parę gwiazdek świeciło między wielkimi białymi chmurami, które zawisły nad miastem. Przez całą ulicę nie spotkałem ani żywej duszy i, kiedy nakoniec dostałem się do naszej sieni na dole i zamknąłem drzwi, zdawało mi się że było w niej ciepło, a jednak mały rynsztok do ścieku, który się znajdował koło ścian dziedzińca, był zamarały. Zatrzymałem się i odetchnąłem chwilę, potem trzymając się poręczy, po ciemku wszedłem na schody.

Kiedym otworzył pokój, przyjemne ciepło pieca ucieszyło mię. Gulden siedział przed ogniem, na fotelu, w czarnej swej jedwabnej czapeczce, którą osunął na kark i z rękami złożonemi na kolanach.

— To ty, Józefie, rzekł mi, nie odwracając się.

— Tak, panie Gulden, odpowiedziałem; jak tu dobrze! Jak zimno na dworze! Nigdy jeszcze nie mieliśmy takiej zimy.

— Nie, odrzekł tonem poważnym; nie, o! zimę tę ludzie długo pamiętać będą.

Poszedłem do gabinetu, by złożyć na miejsce płaszcz, rękawice i trzewiki.

Miałem zamiar opowiedzieć mu przygodę moją z Pinaklem, ale kiedy wszedłem do pokoju, pan Gulden rzekł:

— Dobrze się bawileś, Józefie?

— O tak! ciotka Gredel i Katarzyna przesyłają pannę ukłony przezemnie.

— No, tem lepiej! tem lepiej! rzekł, młodzi mają słusność, że się bawią; bo, kiedy człowiek starzeje się, każdą przyjemność psuje mu wspomnienie przebytych cierpień, doznanych niesprawiedliwości, egoizmu i nieszczęść.

Mówił tak do siebie, patrząc na płomień. Nigdy nie widziałem go tak smutnym i zapytałem:

— Czy jesteś chory, panie Gulden?

Ale on, nie odpowiadając mi, wyszeptał:

— Tak, tak, oto są wielkie wojenne narody... oto sława!

Kiwał głową i pochylił się zamyślony, przyczem wielkie jego siwe brwi ściągnęły się.

Nie wiedziałem, co myśleć o tem, kiedy prostując się rzekł:

— W tej chwili, Józefie, czterysta tysięcy rodzin płacze we Francji: wielka nasza armia zginęła w lodach Rossyi, wszyscy ci ludzie młodzi i silni, których widzieliśmy przechodzących przed dwoma miesiącami, zagrzebani teraz w śniegach. Wiadomość o tem przyszła popołudniu. Straszno pomyśleć o tem!

Ja milczałem; z tego wszystkiego to tylko rozumiałem, że wkrótce będziemy mieli nowy popis; tak jak po wszystkich kampaniach i tym razem bardzo być może, że kulawi należeć do niego będą. Zbladłem na tę myśl i włosy mi powstawały na głowie na wspomnienie przepowiedni Pinakl'a.

— Idź już, Józefie, połóż się spokojnie, rzekł do mnie ojciec Gulden, mnie się nie chce spać, zostanę tutaj... wszystko to mię porusza. Nie szczególnego nie zauważałeś w mieście?

— Nic, panie Gulden.

Wszedłem do mego pokoju i położyłem się. Długo nie mogłem zasnąć, myśląc o popisie, o Katarzynie, o tylu tysiącach ludzi pogrzebanych pod śniegiem i o tem, że dobrze zrobię, jeżeli ucieknę do Szwajcaryi.

Koło godziny trzeciej usłyszałem, że pan Gulden kładzie się, w kilka chwil potem usnąłem.

## IV.

Kiedy nazajutrz koło godziny siódmej wszedłem do pokoju pana Guldena chcąc zasiąść do roboty, pan Gulden był jeszcze w łóżku i zdawał się być mocno przygnębionym.

— Józefie, rzekł do mnie, niedobrze mi; wszystkie te straszne historie przyprawiają mię o chorobę; nie spałem wcale.

— Może zrobię panu herbaty? spytałem.

— Nie, moje dziecko, nie, niepotrzeba; popraw tylko trochę ogień, wstanę później. Ale mamy dzisiaj poniedziałek i trzeba by nastawić zegary miejskie; nie mogę iść, bo nieszczęśliwszym jeszcze byłbym, gdybym musiał patrzeć na rozpacz tych ludzi, których znam od trzydziestu lat. Słuchaj, Józefie, weź klucze wiszące za drzwiami i idź sam; to będzie lepiej. Ja, będę starał się uspokoić i zasnąć trochę... Gdybym mógł zasnąć jedną lub dwie godziny, toby mi ulgę przyniosło.

— To dobrze, panie Gulden, rzekłem, idę zaraz.

Włożywszy drzewa do pieca, wziąłem płaszcz, rękawice pana Guldena i wyszedłem z pękiem kluczów w kieszeni. Choroba ojca Melchiora martwiła mię trochę, ale jedna myśl pocieszała mię; myślałem sobie: „Wleziesz na dzwonnice miejską i ztamtąd zobaczysz dom Katarzyny i ciotki Grédel”. Tak myśląc przybyłem do dzwonnika Brainsteina, który mieszkał na rogu małego placu, w małej nadgnifej cha-

łupce; dwaj synowie jego byli tkaczami i w starym tem gnieździe od rana do nocy słycać było skrzy-  
pienie warsztatów i świst członek. Babka, tak sta-  
ra, że nie widać już było jej oczu, spała w staro-  
żytnym fotelu, na wierzchołku którego siedziała sro-  
ka. Ojciec Brainstein, jeżeli nie potrzebował dzwo-  
nić na chrzciny, pogrzeb albo ślub, czytał kalendarz  
swój, koło małych okrągłych szybek okna.

Obok chałupki ich stał forteczny domek do za-  
szadek pod dachem starego rynku, gdzie pracował  
szewc Koniam, a dalej, znajdowały się sklepy rzeź-  
ników i owczarek.

Przyszedłem zatem do Brainsteina; stary, widząc  
mnie wchodzącego, powstał mówiąc:

— To wy, panie Józefie?

— Tak, ojcie Brainstein, przychodzę zamiast pa-  
na Guldna, który niezdrow jest.

— Ah! dobrze... dobrze... to wszystko jedno.

Nalozyl swe stare trykotowe ubranie i grubą wel-  
nianą czapkę, spędziwszy kota, który spał na niej;  
potem wyjął z szuflady wielki klucz od dzwonnicy  
i wyszliśmy; pomimo chłodu, rad byłem, że mam się  
znalazł na świeżem powietrzu, bo w dziurze tej aż  
ciemno było od pary i tak jak w garnku trudno tam  
było oddychać; nigdy nie mogłem pojąć, jak ludzie  
ci mogli żyć takim sposobem.

Nakoniec przeszliśmy ulicę i ojciec Brainstein rzekł:

— Słyszałeś już, panie Józefie, o wielkiem nie-  
szczęściu, które stało się w Rosyi.

— Tak, ojciec Brainstein; to okropne

— Ale! odpowiedział, zapewne! Ale to przyniesie  
wiele mszy kościołowi; bo to widzicie, każdy zechce  
kazać odprawiać mszę za swe dziecko, tembardziej  
że wszyscy poginęli w pogańskim kraju.

— Zapewne, zapewne, rzekłem mu.

Przeszliśmy wówczas plac; przed komunalnym do-  
mem, naprzeciw odwachu, stało już kilka osób, chłopi  
i ludzie z miasta, którzy czytali ogłoszenie. Weszliśmy  
na ganek, potem wstąpiliśmy do kościoła, gdzie wię-  
cej dwudziestu kobiet, młodych i starych, klęczało  
na kamieniach, pomimo straszliwego zimna.

— Widzicie, rzekł Brainstein, czy nie mówiłem  
wam? Przychodzą już modlić się i jestem pewny, że  
połowa ich jest tu! już od godziny piątej.

Otworzył małe drzwi od wieży, którędy przecho-  
dzi się do organów i w ciemności zaczęliśmy wchodzić  
po schodach. Znalazłszy się przy organach, wzięliśmy  
się na lewo od miecha i poszliśmy aż do dzwonów.

Bardzo byłem rad, że mam ujrzeć błękitne niebo i ode-  
tchnąć świeżem powietrzem, bo odór od nietopery,  
które żyją w tych wązkich dziurach, prawie zapierał  
oddech. Ale jakież zimno straszne było w tej klatce  
otwartej na wszystkie strony i jakie olśniewające  
światło od tej masy śniegu, po którym wzrok biegł  
w przestrzeń dwudziestu milow! Całe miasteczko  
Phalsburg i jego sześć bastionów, jego trzy forty-  
fikacye półksiężycowe, dwa odwachy, koszary, pro-  
chownie, mosty, pochyłości wałów, szance, wielki  
plac broni i małe domki wyciągnięte pod linią pro-  
stą, wszystko to rysowało się tam jak na białym  
papierze. Widać było nawet głębię dziedzińców, i ja,

co nie byłem przywykły do tego, mocno się musiałem trzymać środka platformy, bojąc się by mi nie przyszło polecieć, jak to się przytrafia podobno niektórym ludziom, którzy znaleźli się na wielkiej wysokości, dostają pomieszania zmysłów. Nie śmiałem zbliżyć się do zegara, którego cyferblat wymalowany jest z tyłu i gdyby Brainstein nie był dał mi przykładu, zostałbym tak, uczepiwszy się belki dzwonów; ale on rzekł mi:

— Chodźcie, panie Józefie i patrzcie; czy dobrze idzie?

Wydobyłem wówczas wielki zegarek pana Guldena, który wskazuje sekundy i przekonałem się, że zegar późnił się bardzo! Brainstein pomagał mi ciągnąć wagi; uregulowaliśmy także skazówki.

— Zegar zawsze się późni zimą, rzekł, z powodu żelaza, które się kurczy.

Oswoiwszy się trochę z tem wszystkiem, zacząłem się przyglądać okolicom: widziałem Baraki lasu dębowego; Baraki górne, Bigelberg, a na koniec poznałem Quatre Vents stojące na wzgórzu naprzeciw i dom ciotki Grédel; właśnie z komina wychodził dym jak niebieska nitka, wznosząca się ku niebu. I ujrzałem kuchnię: wyobraziłem sobie Katarzynę w sabotach i spodniczce wełnianej, przędzącą przy ognisku i myślącą o mnie! Tak byłem rozrzewniony, że już nie czułem zimna; nie mogłem odwrócić oczu od komina tego.

Ojciec Brainstein, który nie wiedział, na co ja patrzę, rzekł:

— Tak... tak, panie Józefie, teraz pomimo śniegu, na wszystkich drogach mnóstwo ludzi; wielka wiadomość rozeszła się już i każdy chce się dokładnie dowiedzieć o nieszczęściu.

Ujrzałem, że ma słuszność: na wszystkich drogach, na wszystkich drózkach pełno było ludzi dążących do miasta; spojrzawszy na plac, spostrzegłem tłum wciąż wzrastający przed odwachem merostwa i przed listową pocztą. Dochodził nawet jak gdyby wielki hałas.

Nakoniec, spojrzawszy raz jeszcze na dom Katarzyny, musiałem zejść i zaczęliśmy się spuszczać po schodach ciemnych, jak w piwnicy. Kiedyśmy się znaleźli na organach, z balkonu ujrzałszy, że tłum powiększył się też bardzo w kościele: wszystkie matki, wszystkie siostry, wszystkie stare babki, bogate i ubogie, klęczały w ławkach i wśród największej ciszy modliły się za tych tam... ofiarując wszystko za możliwość oglądania ich raz jeszcze!

Z początku nie zrozumiałem tego dobrze, ale nagle przyszła mi myśl, że gdybym był rok temu wyjechał, Katarzyna byłaby tam także modląc się i prosząc Boga o mój powrót; to mi przeszło serce i zażądałem całej.

— Idźmy ztąd, idźmy ztąd! rzekłem do Brainsteina; to okropnel!

— Co? zapytał.

— Wojna.

Zeszliśmy schodami do głównych drzwi i ja przeszedłem plac udając się do pana komendanta Mounier, a Brainstein wrócił do domu.

Na rogu ratusza ujrzałem widowisko, którego nie zapomnę przez całe życie. Tam to znajdował się wielki afisz; pięćset osób z górą: mieszczanie i chłopci, mężczyźni i kobiety, przyciskając się jedni do drugich, bladzi, z szyją wyciągniętą, w milczeniu patrzeli na afisz, jak gdyby na coś strasznego. Nie mogli go przeczytać i od czasu do czasu ten lub ów odzywał się po francuzku lub po niemiecku.

— Nie zginęli przecież wszyscy!... niektórzy przynajmniej wrócą.

Inni wołali:

— Ale nic nie widać.... nie można się przybliżyć!  
Jakaś biedna stara, stojąc z tyłu wzniosła ręce wołając:

— Niestety... mój biedny Krzysztof!

Inni, jak gdyby oburzeni tym krzykiem, mówili:

— Każcie milczeć tej starej!

Każdy myślał o sobie tylko.

Z tyłu coraz nowi przybywali przez bramę Niemiec.

Nakoniec, Harmentier, policyant, wyszedł z pod sklepienia kordegardy i stanął na górnym stopniu z afiszem zupełnie podobnym do tego, który był na murze; kilku żołnierzy towarzyszyło mu. Wszyscy wówczas pobiegli w tamtą stronę; ale żołnierze usunęli pierwszych z brzegu i ojciec Harmentier zaczął czytać ten afisz, który nazywano 29 tym biuletynem i w którym cesarz opowiadał, że podczas odwrotu tysiące koni padało co noc. — Nie mówił nic o ludziach.

Policyant czytał zwolna, nikt nie odezwał się ani słowem; stara, która nie rozumiała po francuzku, sł-

chała jak inni. Słychać byłoby latającą muchę. Ale kiedy doszedł do tego ustępu: — „Kawaleria nasza tyle koni utraciła, że musiano połączyć oficerów, którym pozostały konie, dla utworzenia czterech kompanij składających się ze stu pięćdziesięciu ludzi każda; generałowie pełnili w nich obowiązki kapitanów, a pułkownicy podoficerów”, kiedy przeczytał ten ustęp, który lepiej niż wszystko malował nędzę armii, ze wszystkich stron odezwały się krzyki i jęki; dwie lub trzy kobiety zasłabły... uprowadzono je podtrzymując pod ramiona.

Prawda, że afisz dodawał: „Nigdy jeszcze zdrowie cesarza nie było lepsze”—i było to wielką pociechą. Na nieszczęście, nie mogło to wrócić życia trzystu tysiącom ludzi, zagrzebanym w śniegach; to też tłum się rozchodził w wielkim smutku! Inni, którzy nie słyszeli nic, przychodzili nowymi gromadami i co godzinę Harmentier zjawiał się i czytał biuletyn. Trwało to aż do wieczora i za każdym razem było to samo. Uciekłem.... wołałbym był nic nie widzieć.

Poszedłem do pana komendanta placu. Kiedym wszedł do salonu, znalazłem go przy śniadaniu. Był to człek stary ale silny, z czerwoną twarzą i dobrym apetytem.

— Ah! to ty! rzekł; to pan Gulden nie przyjdzie?

— Nie, panie komendancie, chory jest z powodu złych wiadomości.

— Ah! tak... pojmuję to, rzekł wypróżniając szklankę; tak, jest to nieszczęście.

I podczas kiedym podnosił kłosz nad zegarem, on dodał:

— Ba! powiedz panu Guldenowi, że przyjdzie i na nas kolej.. do dyabła! nie można przecie zawsze być górą. Od piętnastu lat prowadzimy ich przy odgłosie bębnow, sprawiedliwość wymagała, aby dostało się im to małe wynagrodzenie.. A przytem honor nasz jest ocalony, nie bylibyśmy pobici, gdyby nie śniegi i mrozy, biedni ci kozacy mieliby się spyszna... Ale trochę cierpliwości; kadry będą wkrótce zapełnione, a wtenczas strzeżcie się!

Ja nastawiałem zegar; a on powstał i przyszedł popatrzeć, bo wielkim był lubownikiem zegarmistrzostwa. Z wesołą miną uszczypnął mię za ucho; potem, kiedym miał już odchodzić, zawołał zapinając długi swój surdut, który rozpiął był do jedzenia:

— Powiedz ojcu Guldenowi niech śpi spokojnie, taniec rozpocznie się znowu na wiosnę; nie zawsze będą mieli zimę za sobą, ci kałmucy; powiedz mu to!

— Tak, panie komendancie, odpowiedziałem zamykając drzwi.

Szeroka twarz jego i dobry humor pocieszyły mię trochę; ale we wszystkich domach, gdzie byłem następnie, u Hawich'ów, u Frantz-Toni'ch, u Durlach'ów, słyszałem tylko same skargi. Kobiety szczególnie były w rozpacz; mężczyźni nie mówili nic i przechadzali się wzdłuż i wszerz, z głową spuszczoną, nie patrząc nawet na to, co robiłem u nich.

Koło godziny dziesiątej pozostało mi tylko być u dwóch osób jeszcze; u pana de la Vablerie Chamberlan, dawnego szlachcica, który mieszkał na końcu wielkiej ulicy z panią Chamberlan d'Ecof i panną

Joanną ich córką. Byli to emigranci, którzy wrócili byli przed dwoma lub trzema laty. U nikogo nie bywali w mieście i widywali tylko trzech czy czterech proboszczów z okolicy. Pan de la Vablerie-Chamberlan lubił tylko polowanie; w głębi dziedzińca jego było sześć psów i powóz na dwa konie; ojciec Robert z ulicy Kapucynów, służył im za woźnicę, masztalerza, służącego dojeżdżacza. Pan de la Vablerie zawsze był ubrany w kurtkę myśliwską, skórzaną czapkę i buty z ostrógami. Całe miasto nazywało go *wyżłem*; ale nic nie mówiono ani o pani, ani też o panie de Chamberlan.

Bardzo byłem smutny w chwili, kiedym otwierał drzwi ciężkie na bloku; hałas obracającego się bloka napełnił się całą — jakież było zatem zdziwienie moje, kiedym usłyszał wśród tego powszechnego smartwienia, śpiew i muzykę! Pan de la Vablerie śpiewał, a panna Joanna towarzyszyła mu na fortepianie. Nie wiedziałem jeszcze wówczas, że nieszczęście jednych rozwesela drugich i, trzymając rękę na kłamce, pomyślałem sobie: „Nie wiedzą nic o wiadomościach z Rosyji!”.

Kiedy tak stałem, drzwi od kuchni otwarły się i panna Ludwika, służąca ich, wychyliwszy głowę, spytała:

— Kto tam?

— To ja, panno Ludwiko.

— To pan, panie Józefie, proszę przejść tędy.

Ludzie ci mieli zegar w wielkim salonie, do którego rzadko kiedy wchodziło; wysokie okna z żaluzjami wychodzące na ogród, były zamknięte; na

to jednak co miałem do zrobienia tam, było dość jasno. Przeszedłem zatem przez kuchnię i nastawiłem starożytny przepyszny zegar z białego marmuru. Panna Ludwika patrzyła na moją robotę.

— Macie gości, panno Ludwiko? rzekłam do niej.

— Nie, ale pan nie kazał przyjmować nikogo.

— Bardzo jakoś weseli, u was...

— Ah! tak! rzekła, pierwszy to raz od wielu lat; nie wiem, co im jest.

Odstawiłem klosz i wyszedłem rozmyślając nad tem, tak mi się to wydawało nadzwyczajnem. Nie przyszło mi nawet na myśl, że ludzie cieszyli się naszą porażką.

Ztamtąd zawróciłem na drugą ulicę, by pójść do ojca Féral, którego nazywano *Chorążym*, bo mając czterdzieści pięć lat, będąc kowalem i ojcem rodziny od dawna, niósł chorągiew ochotników Phalsburga w 92 roku i wrócił dopiero po kampanii zürichskiej. Miał trzech synów w armii rzymskiej, Jana, Ludwika i Jerzego Féral; Jerzy był komendantem dragonów, dwaj inni oficerami w piechocie.

Wyobrażałem sobie z góry zmartwienie ojca Féral; ale było to jeszcze niczem w porównaniu tego, com ujrzał wchodząc do pokoju jego. Biedny staro, ślepy i zupełnie łysy, siedział na fotelu za piecem, z głową pochyloną na piersi i z oczami szeroko rozwartymi, jak gdyby widział u nóg swoich leżących trzech synów; nie mówił nic, ale grube krople potu spływały mu z czoła na chude policzki i twarz tak była blada, jak gdyby miał ducha wyzionąć. Czterech czy pięciu dawnych kolegów jego z czasów Rzeczypospolitej: ojciec Desmaretz, ojciec Niroi, sta-

ry Paradis, wielki Froissard przyszedli byli pocieszyć go. W największem milczeniu siedzieli dokoła niego, paląc fajki z minami mocno zasmuconemi.

Od czasu do czasu ten lub ów odzywał się:

— No, Féral, no, czyż nie jesteśmy już starymi żołnierzami Sambry i Mosy?

— Odwagi, Chorąży, odwagi!... czyż nie [zdobyli]śmy szturmem wielkiej baterji Fleurusa.

Albo coś podobnego jeszcze.

Ale on nie odpowiadał im, tylko co chwilę wdychał, wklęsłe jego policzki nadymały się, potem pochylał się, a tamci dawali sobie znaki, kiwając głowami, jak gdyby mówiąc: „Źle idzie”.

Spiesznie uregulowałem zegar i wyszedłem, bo serce mi się krajało, patrząc na taką rozpacz starego.

Wróciwszy do domu, znalazłem pana Guldena przy warsztacie.

— A! to ty, Józefie, rzekł; no, i coż?

— A to, panie Gulden, żeście mieli słuszność nie chcąc wychodzić: straszne to.

I powiedziałem mu wszystko szczegółowo.

— Tak, wiedziałem o tem, rzekł smutno, ale jest to tylko początek większych jeszcze nieszczęść: ci prusacy, austriacy, rossyianie, hiszpanie i wszystkie ludy, któreśmy rabowali od 1804 roku, skorzystają z naszego nieszczęścia i uderzą na nas. Ponieważ zachciało się nam dać im królów, których oni nie znali z imienia nawet i których nie życzyli sobie, teraz więc oni z kolei przywiodą dla nas panujących, wraz z arystokracją i wszystkim co za tem idzie. Takim sposobem dawszy z siebie wycisnąć wszystkie soki dla braci cesarza, utracimy

wszystko to, cośmy przez rewolucję zyskali. Zamiast być na pierwszym miejscu, będziemy na ostatnim. Tak, oto co nastąpi teraz. Przez cały czas kiedyś był w mieście, ja myślałam tylko o tem; jest to prawie nieunikniona rzecz: ponieważ żołnierze wszystkiem byli u nas, a teraz nie mamy już żołnierzy, jesteśmy więc niczem!

To powiedziawszy powstał, ja nakryłem do stołu, i podczas kiedy jedliśmy w milczeniu, dzwony kościelne nagle odezwały się.

— Ktoś umarł w mieście, rzekł pan Gulden.

— Tak... Nie słyszałem o tem.

W dziesięć minut potem, rabin Rôse wszedł i zaczął wstawić szkiełko do zegarka swego.

— Któż to umarł? spytał go pan Gulden.

— Stary Chorąży.

— Jakto? ojciec Féral?

— Tak, przed pół godziną, może dwudziestu minutami. Ojciec Desmaret i kilku innych chciało go pocieszyć; nie koniec, prosił ich o przeczytanie ostatniego listu syna Jerzego, komendanta dragonów, który pisał do niego, że na przyszłą wiosnę spodziewa się uściskać go ze złifami pułkownika. Słyszając to, nagle chciał powstać, ale upadł na krzesło pochyliwszy głowę swą na kolana: od listu tego pękło mu serce!

Pan Gulden nie zrobił żadnej uwagi na to.

— Oto jest, panie Rôse, rzekł zwracając rabinowi zegarek jego; należy się dwanaście susów.

Pan Rôse wyszedł, a my kończyliśmy obiad w milczeniu.

## V.

W kilka dni potem dziennik ogłosił, że cesarz w Paryżu jest i że mają koronować króla Rzymskiego i cesarzową Maryę-Ludwikę. Pan mer, pan adjunkt i radcy municypalni, mówili jedynie o prawach do tronu, a nawet była w tym przedmiocie umyślnie mowa w sali merostwa. Mowę tę napisał profesor Burquet starszy, a odczytał ją pan baron Parmentier. Nie rozczuliła ona jednak ludzi, każdy obawiał się, by go nie zaliczono do wpisowych, przypuszczano bowiem słusznie, że trzeba będzie wkrótce wielu żołnierzy; oto, co niepokoiło ludzi i co do mnie, chudłem w oczach. Napróżno pan Gulden mówił mi: „Nie lękaj się niczego, Józefie, ty nie możesz chodzić. Rozważ sam, że tak kulawy jak ty człowiek, pozostałby w drodze na pierwszym popasie!” Wszystko to nie zmniejszało niepokoju mego.

O tych, co zginęli w Rossyi, nie myślał już nikt, z wyjątkiem rodzin ich.

Pan Gulden mówił mi nieraz, kiedyśmy sami pracowali:

— Gdyby ci, co panują nad nami i którzy powiadają że Bóg zesłał ich na ziemię dla szczęścia naszego, mogli sobie wyobrazić na początku kampanii, biednych starców i nieszczęśliwe matki, którym dla zaspokojenia własnej dumy wydzierają niejako serce i wnętrności, gdyby mogli widzieć ich Izy i słyszeć jęki w chwili, kiedy powiedzą im: „Dziecię wasze



poległo... nie ujrzycie go już nigdy więcej! zginęło pod kopytami koni, albo kulą ugodzone, albo w szpitalu, daleko, — po amputacji, — w gorączce, bez pomocy, wzywając was jak wówczas kiedy było jeszcze małym..." gdyby mogli przedstawić sobie żywe matki tych, sądzę, że ani jeden z pomiędzy nich nie byłby na tyle barbarzyńcem, by dalej chciał wojnę prowadzić. Lecz oni nie myślą o niczem; zdaje im się, że inni nie kochają dzieci swoich tak, jak oni sami kochają własne; ludzie, to bydła dla nich! Mylą się: cały wielki ich gieniusz i wszystkie wielkie ich idee o sławie niczem są, bo jedno jest tylko, dla którego naród powstać powinien, — mężczyźni, kobiety, dzieci i starcy, — to jest, kiedy kto nastaje na wolność naszą, jak w 92 roku; wówczas wszyscy razem giną, albo razem zwyciężają; ten kto pozostaje w tyle — podłym jest; chce on, by inni bili się za niego... zwycięstwo nie jest dla niektórych tylko, jest ono dla wszystkich, ojciec i syn bronią rodziny swojej; jeżeli zginą, będzie to nieszczęście, nie zginą dla praw swoich. Oto, Józefie, jedyna sprawiedliwa wojna, na którą nikt się uskarżać nie może; wszystkie zaś inne są hańbiąciami i sławą, którą dają, nie jest sławą człowieka, jest to sława dzikiego zwierzęcia!

Tak mówił dobry pan Gulden i ja tak jak on myślałem.

Ale nagle, 8 stycznia pojawił się na ścianach merostwa wielki afisz, który obwieszczał, że cesarz wraz z senatus-consultum, jak mówiono wówczas, zwoływał najprzód 150,000 rekrutów z 1773, nastę-

pnie 100 rot z pierwszego wpisu 1812 r., ci sądzili byli, że się wywiną od tego, dalej 100,000 rekrutów z 1809 do 1812 r. i tak dalej aż do końca, tak że wszystkie dziury miały być wypełnione, a nawet mieliśmy posiadać armię większą jeszcze od tej, która była przed kampanią rosyjską.

Kiedy ojciec Foure, szklarz, przyszedł i zawiadomił nas o tym afiszu, ja słysząc to prawie zasłabłem, mówiąc sobie:

„Teraz już biorą wszystkich: ojców rodziny od 1809 r., jestem zgubiony!”

Pan Gulden zbrzytał mi twarz i szyję wodą; ramiona mi opadły, byłem błąd jak śmierć.

Zresztą, nie na mnie jednym tylko afisz merostwa wywarł podobne wrażenie; w owym roku wielu młodych ludzi uchylało się od wojska: jedni łamali sobie zęby, żeby nie móżdż drzeć nabożów; inni pistoletem obrywali sobie pierwszy palec u rąk, by nie móżdż trzymać fuzyi, inni jeszcze, uciekali do lasów; nazywano ich dezertarami i nie wystarczało już żandarmów do ścigania ich.

W tymże samym czasie matki rodzin zebrały się na odwagę do buntu niejako, ośmielały bowiem synów swoich w nieposłuszeństwie żandarmom. Pomagały im rozmaitemi środkami, wymyślały na cesarza, a proboszczowie rozmaitych wyznań podtrzymywali je; jednym słowem, czara była przepelniona!

W dniu pojawienia się afisza, udałem się do Quatre-Vents; ale teraz już nie z radością w sercu, tylko jak ostatni z nieszczęśliwych, któremu odebrano jego miłość i życie. Nie mogłem się prawie

utrzymać na nogach; doszedłszy tam, nie wiedziałem jak oznajmić o nieszczęściu mojem, ale wchodząc spostrzegłem, że o wszystkim wiadano już w domu, bo Katarzyna płakała gorącemi łzami, a ciotka Grédel blada była z gniewu.

Najprzód uściskaliśmy się milcząc i pierwsze słowo, jakie ciotka Grédel wyrzekła do mnie, gwałtownie odrzucając włosy swe za uszy, było:

— Nie pójdziesz!... Co do nas należą te wojny? Ksiądz proboszcz nawet powiada, że to już za wiele tego, że powinniśmy zawrzeć pokój. Pozostaniesz! Nie płacz Katarzyno, powiadam ci, że on zostanie.

Zielona była ze złości i mówiąc to, tręcała garnuszki swe.

— Oddawna już, rzeczce, zbrzydła mi ta rzeź; trzeba było, ażeby dwaj nasi biedni kuzynowie, Kasper i Yokel, złożyli kości swe w Hiszpanii za tego cesarza, a teraz znowu trzeba mu naszych; mało mu jeszcze tych trzystu tysięcy, którzy z łaski jego zginęli w Rossyi. Zamiast myśleć o pokoju, jak człowiek rozsądny, jemu w głowie tylko to, by wydać na rzeź tych, co pozostali jeszcze.. Zobaczymy! zobaczymy!

— Na miłość Boską! ciotko Grédel, milczcie, mówcie inaczej, rzektem spoglądając na okno, mógłby kto usłyszeć was; zginęlibyśmy wówczas wszyscy.

— A właśnie dla tego to i mówię, żeby mię słyszano, odrzekła; twój Napoleon nie straszy mię wcale; zaczął od tego, że wzbronił nam mówić, ażeby mógł robić wszystko co zechce... ale wszystko to skończy się!... Cztery młode kobiety utracą mężów

swych, w jednej tylko wsi naszej, a dziesięciu biednych chłopców mają wszystko opuścić, pomimo ojca i matki, pomimo sprawiedliwości, pomimo Boga, pomimo religii... nie jesteście to rzecz ohydna?

A kiedy chciałem odpowiedzieć na to, nie dała mi przyjść do słowa i mówiła dalej:

— Milcz, Józefie, milcz, człowiek ten nie ma serca!... skończy źle!... Bóg objawił się już tej zimy; widział On, że jednego człowieka więcej się obawiano, aniżeli Jego samego, że matki nawet, jak za czasów Heroda, nie śmiały zatrzymywać przy sobie ciała swego ciała, kiedy on potrzebował go na rzeź; wówczas Bóg zesłał zimno i wojsko nasze zginęło... i wszyscy, którzy teraz pójdą zgubieni także: Bóg ma już dosyć tego! — Ty, ty nie pójdziesz, mówiła uparta kobieta; nie chcę, żebyś szedł; uciekniesz do lasu wraz z Janem Kraftem, z Ludwikiem Bémem i wszystkimi najodważniejszymi chłopcami ze wsi; pójdziecie przez góry do Szwajcaryi, a Katarzyna i ja przyjdziemy do was i pozostaniemy aż do końca tych mordów.

Tu ciotka sama przez się umilkła. Zamiast podać nam zwykły obiad, zrobiła jeszcze lepszy jak ten, któryśmy jedli w tamtą niedzielę i rzekła głosem stanowczym:

— Jedzcie, moje dzieci; nie bójcie się... wszystko to się zmieni.

Koło czwartej godziny wieczorem, wracałem do Phalsburga, trochę spokojniejszy jak wówczas, kiedy z niego wychodził. Ale kiedy szedł ulicą Munitionnaire, słyszę na rogu kolegium bęben poli-

cyanta Harmentier i widzę wielki tłum ludzi otaczający go. Biegnę więc tam chcąc usłyszeć ogłoszenie i przybywam na sam początek.

Harmentier przeczytał, że na mocy rozporządzenia senatus-consultum z 3 go, losowanie popisu nastąpi 15-go.

Mieliśmy 8 go, zostawał więc tylko jeden tydzień. Wzruszyło mię to okropnie.

Wszyscy, którzy tam byli, w największym milczeniu rozchodzili się na prawo i lewo. Ja w największym smutku wróciłem do domu i rzekłem do pana Guldena:

— Losowanie będzie w przyszły czwartek.

— Ah! rzeź, nie tracą czasu... pilno im.

Można sobie wyobrazić, jak byłem zgryziony dnia tego i później. Nie mogłem usiedzieć na miejscu; wciąż widziałem przed sobą konieczność opuszczenia kraju. Zdawało mi się, że biegnę po lesie, a zandarmi gonią mnie, wołając:

„Stój! Stój!” Potem wyobraziłem sobie smutek Katarzyny, ciotki Grédoł, pana Guldena. Czasami zdawało mi się, że idę w szeregu, obok wielu innych nieszczęśliwych, na których wołam: „Naprzód!.. Na bagnety!” podczas kiedy kule zmiatały całe szeregi. Słyszałem ryk dział i świst kul; jednym słowem, byłem w okropnym stanie..

— Spokoju, Józefie, mówił mi pan Gulden; nie dręcz się tak. Pamiętaj o tem, że na całą liczbę popisowych nie znajdzie się i dziesięciu może mających tak słuszne jak ty przyczyny do pozostania. Ślepym byłby chirurg, gdyby cię przyjął. Zresztą, zobacz się z panem komendantem placu... Uspokój się!

Pocieszające te wyrazy nie mogły jednak uspokoić mię.

Tak przebyłem cały tydzień w nadzwyczajnym strachu i kiedy nadszedł dzień losowania, we czwartek rano, byłem tak blady, tak zmieniony, że rodzice innych wpisowych zazdrościli mi poniekąd tego złego wyglądu. „Ten”, mówili do siebie, „ma szczęście... dmuchnąć tylko na niego, a upadnie... Są ludzie, co się rodzą pod szczęśliwą gwiazdą!”

## VI.

Trzeba było widzieć merostwo Phalsburga rano 15 stycznia 1813 r., podczas losowania. Dzisiaj, wyciągając zły los przy spisie, znaczy to stracić coś, być zmuszonym opuścić rodziców swych, przyjaciół, wioskę, woły swe i swoje pola i iść, Bóg wie, gdzie, uczyć się: „Raz... dwa!.. raz... dwa!.. Stój!.. Oczy na prawo... oczy na lewo. . Bacność! Broń na ramię!.. i t. d.” Tak, to coś znaczy, ale można przytem wrócić; można powiedzieć sobie stare gniazdo, moich rodziców, a może nawet moją ukochaną... Poznam świat... pozyskam pewne prawa do zostania gajowym lub zandarmem!” Takie myśli pocieszają ludzi rozsądnych. Ale w owych czasach, jeżeliś miał nieszczęście wyciągnąć zły los, to już wszystko się kończyło: często bywało, że na stu ani jeden nie wracał; myśl, że musisz ostatecznie rozstać się z tem wszystkim, nie mogła prawie zmieścić się w głowie.

Tego zatem dnia, mieli najprzód ciągnąć chłopcy z Harberga, z Garburga i z Quatre-Vents; potem następowali mieszkańcy miast, a następnie ludzie z Wöchem i z Mittelbronn.

Ranitko już byłem na nogach i, łokciami oparłszy się na warsztacie, patrzyłem na ciągnące tłumy: chłopcy w bluzach, biedni starcy w szlafmycach i kurtkach, stare w kaftanikach i spodnicach wełnianych, z pochylonym grzbietem, z twarzą wychudłą, kijem lub parasolem pod pachą. Szli rodzinami. Pan podprefekt Sarreburga ze srebrnym kołnierzem i sekretarz jego, którzy dnia poprzedzającego przyjechali byli i zatrzymali się pod *Czerwonym Bykiem*, patrzeli przez okno.

Koło godziny ósmej, pan Gulden zasiadł do roboty po śniadaniu; ja nie nie jadłem i wciąż patrzyłem, kiedy pan mer Parmentier i adjunkt jego przyszedli po pana podprefekta.

Losowanie rozpoczęło się koło godziny dziewiętej i wkrótce odezwał się na ulicy klarnet Pfifera-Karla i skrzypce wielkiego Andrzeja. Grali marsz *Szwedzki*; przy tej to muzyce tysiące biedaków opuściło na zawsze starą Alzację. Rekruci tańczyli, trzymając się pod ręce, krzyżeli w niebogłoty i machając kapelusami, pięćmi uderzali o ziemię; starali się okazać jak największą radość, a śmierć mieli w duszy... coś począć, taka to już moda; a wielki Andrzej, suchy, sztywny, żółty jak cytryna i towarzysz jego okrągły, z policzkami wzdętymi aż do uszu, przypominali owych ludzi, co to prowadzą się na cmentarz, obojętnie rozmawiając między sobą.

Ta muzyka, te krzyki przejmowały mię smutkiem.

Włożyłem był właśnie mój surdut ze śpiczastemi połami i mój kapelusz pilśniowy, zabierając się do wyjścia, kiedy ciotka Grèdel i Katarzyna weszły mówiąc:

— Dzień dobry, panie Gulden! przyszliśmy na losowanie.

Zaraz spostrzegłem, że Katarzyna wiele musiała płakać, bo oczy miała czerwone; uwiesiła mi się najprzód na szyi, podczas kiedy matka jej kręciła się koło mnie.

Pan Gulden rzekł do nich:

— Wkrótce zapewne nadejdzie kolej młodych ludzi z miasta?

— Tak, panie Gulden, odrzekła Katarzyna słabym głosem; z Harberga skończyli już.

— Tak... tak... No, Józefie, czas ci już iść, rzekł. Ale nie martw się. Nie lękajcie się. Bo to widzicie, to losowanie tylko dla formy, oddawna już nikt nie wygrywa, albo jeżeli i wygra, to w dwa lub trzy lata później przegrywa: wszystkie numera są złe! kiedy rewizya nastąpi, zobaczymy wówczas, co się da zrobić. Dzisiaj, to tylko rodzaj przyjemności, którą robią ludziom dając im ciągnąć na losy... ale wszyscy przegrywają.

— To wszystko jedno, rzekła ciotka Grèdel, Józef wygra.

— Tak, tak, odrzekł pan Gulden uśmiechając się, niezawodnie.

Poczem wyszedłem z ciotką i Katarzyną i udaliśmy się na wielki plac, gdzie tłumy zgromadzały się.

We wszystkich magazynach mnóstwo rekrutów ciśnieło się i popychało, kupując wstążki; jak szaleni płakali, śmiejąc się. Inni, w oberżach, ściskali się łkając, ale śpiewali wciąż. Dwie lub trzy muzyki, cygana Waldteuffla, Rosselkastena i Jerzego-Adama, przybyły z okolic i mieszały z sobą przeraźliwe i straszne swe dźwięki.

Katarzyna ścisnęła mi ramię, ciotka Grédel szła za nami.

Naprzeciw kordegardy, spostrzegłem zdaleka wędrownego kupca Pinakla; otwarty tłumok jego leżał na małym stoliku, a tuż obok sterczał wielki drąg obwieszony wstążkami, które sprzedawał rekrutom.

Chciałem spiesznie przyjść mimo, kiedy on zawołał na mnie:

— He! kulawy, zatrzymaj się, zatrzymaj!... przybliż się... mam tu dla ciebie ładną wstążkę. Dla ciebie trzeba przesłicznej... wstążki tych, którzy wygrywają!

I po nad głową swą powiewał wielką wstęgą czarną; widząc to, zbliżyłem pomimo woli. Ale w chwili kiedy wchodziliśmy po stopniach merostwa, jeden z rekrutów schodził na dół; był to Klipfel, kowal z Porte-de France; wyciągnął właśnie numer 8 i zdaleka zawołał:

— Wstęgę czarną, Pinakl, wstęgę czarną!... Dawaj... bądź co bądź!

Miał twarz ponurą i śmiał się. Jego braciszek, Jan, płakał idąc z tyłu za nim i wołał:

— Nie, Jakóbie, nie, nie czarną wstążkę!

Ale Pinakl przywiązywał już wstążkę do kapelusza kowala, podczas kiedy mówił:

— Tego nam właśnie potrzeba teraz... Wszysoy jesteśmy umarli... musimy nosić żałobę swoją!

I dzikim głosem wykrzyknął: „*Niech żyje cesarz!*”

Wolałem widzieć tę wstążkę przy jego kapeluszu, aniżeli przy moim i szybko wśliznąłem się w tłum, uciekając od Pinakla.

Z największą trudnością dostaliśmy się pod sklepienie merostwa i wleźliśmy na stare dębowe schody, po których ludzie jak mrowisko roili się w górę i na dół. W wielkiej sali na górze żandarm Kelz przechadzał się, utrzymując porządek o ile było podobna. W sali radnej, obok, gdzie się znajduje Sprawiedliwość... wymalowana z przepaską na oczach, — słyhać było wywoływane numera. Od czasu do czasu wychodził rekrut, z twarzą zaplonioną, przymocowując numer do swojej czapki i z głową pochyloną przebijając tłumy jak byk, któremu ciemno już w oczach i który chciałby rogi swe zdruzgotać o ścianę. Inni przeciwnie przechodzili z twarzą śmiertelnie bladą.

Okna merostwa były otwarte; na dworze słyhać było pięć czy sześć muzyk grających razem. Było to straszne.

Ścisnąłem rękę Katarzyny i powoli precyzyjnie się przez całe te tłumy aż do sali, gdzie pan podprefekt, merowie i sekretarze, głośno wykrzykiwali z trybuny numera; tak się ogłaszają wyroki, bo wszystkie te numera były prawdziwymi wyrokami

Długo czekaliśmy.

Ani kropli krwi nie było już w żyłach moich, kiedy nakoniec wywołano imię moje.

Zbliżyłem się, nic nie widząc ani słysząc, włożyłem rękę do skrzynki i wyciągnąłem numer.

Pan podprefekt wykrzyknął: „Numer 17!”

Potem odszedłem nic nie mówiąc, a za mną Katarzyna i ciotka. Zeszliśmy na plac i tu odetchnąwszy świeżem powietrzem przypomniałem sobie, że wyciągnąłem numer 17.

Ciotka Grédel zdawała się być mocno zmieszana.

— Włożyłam ci była jednak coś do kieszeni, rękła, ale ten nędznik Pinakł rzucił urok na ciebie, To mówiąc, wyciągnęła z tylnej kieszeni mojej kawałek sznurka. Gruby pot spływał mi kroplami z czoła; Katarzyna była niezmiernie blada i tak wróciliśmy do pana Guldena.

— Jaki masz numer, Józefie? spytał mię natychmiast.

— Siedmnasty, odrzekła ciotka, siadając i składając ręce swe na kolanach.

Pan Gulden zdawał się być zmieszany przez chwilę, ale potem rzekł:

— Ten czy inny to wszystko jedno... wszyscy pójdą... trzeba zapełnić kadry. Nic to nie znaczy dla Józefa. Pójdę do pana mera, do pana komendanta placu... Nie dla tego żebym kłamał, bo całe miasto wie przecie o tem, że Józef jest kulawy; ale w pośpiechu mogli nie zważać na to. I dla tego pójdę pomówić z nimi. Nie trwóście się zatem i miejcie nadzieję.

Słowa te poszcziwego pana Guldena uspokoiły ciotkę Grédel i Katarzynę, które w dobrej nadziei wróciły do Quatre-Vents; ale ze mną było inaczej; od tej chwili nie miałem już spokoju ani we dnie, ani w nocy.

Cesarz miał dobry zwyczaj: nie dawał rekrutom długo nudzić się w domu. Zaraz po losowaniu następowała rewizya, a w kilka dni potem rozdawano paszporta. Nie robił tak jak owi cerulicy, którzy pokazują ci najprzód szczypcę swe i klucze i długo rozpatrują ci się w gębie, tak że słabo się zrobi, zanim oni się zdecydują, on uwijał się szybko!

W trzy dni po losowaniu, rada rewizyjna zebrała się w ratuszu, wraz ze wszystkimi merami okolicznymi i kilku znacznymi obywatelami dla objaśnień, jeżeliby tych potrzebowano.

W wilię dnia tego, pan Gulden nałożył swój wielki brązowy surdut, piękną swą perukę i poszedł nastawić zegary u pana komendanta i pana mera. Wrócił od nich ze śmiejącą się twarzą i rzekł do mnie:

— Pójdzie dobrze... Pan mer i pan komendant dobrze wiedzą o tem, żeś kulawy; to przecie rzecz jasna, cóż u licha! Zaraz mi odpowiedzieli: „Ehl panie Gulden, młody ten człowiek kulawy; po cóż nam mówić o nim? Nie troszcie się o niego; nie ułomnych potrzebujemy ale żołnierzy”.

Słowa te były balsamem dla serca mego i tej nocy spałem jak król. Ale nazajutrz strach zdjął mię na nowo: nagle przypomniałem sobie, ile to ludzi brano do wojska pomimo licznych ułomności ich,

a ilu było takich, co z największą niedelikatnością wynajdywali w sobie różne defekta dla oszukania rady: naprzykład, połykając rzeczy szkodliwe dla bladeści twarzy, albo wiążąc sobie nogi, ażeby żyły nabrzmiały, albo udając głuchych, ślepych, idiotów. Myśląc o tem, zadrżałem z obawy, żem może nie dosyć kulawy był i postanowiłem dopomódz sobie także jakąś sztuką. Słyszałem kiedyś, że ocet sprowadza bóle żołądka i nie nie mówiąc panu Guldenowi wypilem wszystkie ocet, jaki był we flaszczech serwisu. Potem ubrałem się, sądząc że wyglądam jak z krzyża zdjęty, ocet bowiem był bardzo mocny i czułem jak mi chodzi po żołądku. Ale kiedy wszedłem do pokoju pana Guldena, ten spojrzawszy na mnie, wykrzyknął:

— Józefie, co ci jest? czerwony jesteś jak upiór!

W istocie, spojrzawszy do lustra spostrzegłem, żem był czerwony cały aż do uszu, aż po koniuszek nosa. Przestraszyłem się wówczas; ale zamiast zbłądnąć, stałem się jeszcze mocniej czerwony i w rozpaczy zawołałem:

— Teraz, to już zgubiony jestem! Będę wyglądał jak ten, co nie ma żadnej ułomności, a nawet co się doskonale ma; to ocet tak mi nderzył do głowy.

— Jaki ocet? spytał pan Gulden?

— Z serwisu, com go wypił, ażeby być bladym, jak panna Scapp, córka organisty, która tak robi jak powiadają. O Boże, jakże nieszczęśliwą myśl miałem!

— To nie przeszkodzi ci być kulawym, rzekł pan Gulden; ale chciałeś oszukać radę i to nieuczciwie jest! Ale otóż pół do dziesiątej bije; Werner uprze-

dził mię wczoraj, że masz się stawić na godzinę dziesiątą... A zatem śpiesz się.

Musiałem więc iść w takim jak byłem stanie; ogień octu tryskał mi z policzków. Kiedym spotkał Katarzynę i ciotkę Grédel, które czekały na mnie pod sklepieniem merostwa, to mię ledwie poznały.

— Wyglądasz wesół i zadowolony! rzekła mi ciotka Grédel.

Usłyszawszy te słowa, byłbym z pewnością zemdłał, gdyby ocet nie podtrzymywał mię pomimo mej woli. W największem przeto pomieszczeniu wszedłem na schody, nie mogąc się zdobyć na żadną odpowiedź, tak byłem wściekły na moją głupotę.

Na górze przeszło dwadziestu pięciu rekrutów, którzy utrzymywali że są kalekami, zostało przyjeżdżających; a innych dwadziestu pięciu siedziało na ławce przy ścianie i z zapadłemi policzkami patrzyło w ziemię, czekając swojej kolei.

Stary żandarm Kerz, w wielkim stosowanym kapeluszu, przechadzał się wzdłuż i w szerz; jak tyłko mię ujrzał, zatrzymał się zachwycony i zawołał:

— A to ślicznie! a to ślicznie! oto choć jeden, co idzie z ochotą; żądza sławy bije mu z oczu.

I kładąc rękę na mojem ramieniu:

— To dobrze, Józefie, rzekł, przepowiadam ci, że zanim skończy się kampania, ty zostaniesz kapralem.

— Ależ ja kulawy jestem! zawołałem z oburzeniem.

— Kulawy! rzekł Kerz mrugając oczami i uśmiechając się, kulawy! To wszystko jedno, kto tak wygląda, ten zawsze dojdzie do czegoś.

Zaledwie on skończył mówić; kiedy sala radnych otwarta się i drugi żandarm, Werner, przechylając się przez drzwi, głosem ostrym zawołał:

— Józef Berthe!

Wszedłem, kulejąc jak mogłem i Werner zamknął drzwi za mną. Merowie kantonu siedzieli na krzesłach w półkole, pan podprefekt i pan mer Phalsburga na środku w fotelach, a sekretarz Freylik przy swoim stole. Jeden rekrut z Harbergu odziewał się napowrót; żandarm Descarmes pomagał mu układać szelki. Rekrut ten, z ciemnymi włosami opadającymi na oczy, z nagą szyją i z gębą otwartą dla wdychania, miał minę człowieka, którego mają wieszac. Dwóch doktorów, pan felczer pułkowy szpitala, z drugim doktorem, w mundurach, rozmawiali na środku sali. Odwrócili się do mnie, mówiąc:

— Rozbierz się.

I rozebrałem się do koszuli, którą Werner zdjął mi. Inni patrzeli na mnie.

Pan podprefekt rzekł:

— Oto chłopak pełen zdrowia.

Wyrazy te rozgniewały mię; pomimo to grzecznie przemówiłem:

— Ale kulawy jestem, panie podprefekcie.

Lekarze zbadali mię i ten co był ze szpitala i któremu zapewne pan komendant placu mówił był o mnie, rzekł:

— Lewa noga jest przykrótka.

— Ba! odpowiedział drugi, ale mocna.

Potem kładąc mi rękę na piersiach, dodał:

— Budowa dobra; kaszlnij.

Kalsznąłem jak mogłem najslabiej; pomimo to jednak znalazł, że miałem dobry głos i rzekł jeszcze: „Spojrzyjcie na te rumieńce; to się nazywa mieć zdrową krew”.

Widząc, że gotowi przyjąć mię, jeżeli nic nie powiem, odezwał się wówczas:

— Wypiłem octu.

— Ah! rzekł, to dowodzi, że masz dobry żołądek, jeżeli lubisz ocet.

— Ale kulawy jestem! krzyknąłem zrozpaczony.

— Ba! nie martw się, odpowiedział mi na to; masz nogę mocną, rękę za to.

— Wszystko to nie przeszkadza temu młodemu człowiekowi kuleć od dzieciństwa, odezwał się na to mer; jest to rzecz znana w całym Phalsburgu.

— Zapewne, rzekł doktor od szpitala, noga jest krótsza; jest to jedna z przyczyn uwalniających od służby.

— Tak, dorzucił mer, jestem pewny, że chłopiec ten nie mógłby wytrzymać długiego pochodu; zostałby w drodze, na drugim odpoczynku.

Pierwszy doktor nie mówił już nic więcej.

Sądziłem, że już uratowany od wojny, kiedy pan podprefekt spytał mię:

— Nazywasz się Józef Berthe?

— Tak, panie podprefekcie, odrzekłem.

— A więc, panowie, rzekł wyjmując list jakiś z pułgaresu swego, posłuchajcie.

I zaczął czytać list ów, w którym opowiada, że sześć miesięcy temu założyłem się być pójść do Sarane i wrócić stamtąd prędzej niż Pinakl; że

Historia Rekruta.



odbyliśmy tę drogę razem w niespełna trzy godziny i że wygrałem zakład.

Na nieszczerze była to prawda! Ten nędznik Pinakl zawsze mię przezywał kulawym i w złości poszedłem z nim był o zakład. Wszyscy wiedzieli o tem, nie mogłem więc zaprzeczyć temu.

Kiedy tak stałem zmęczony, pierwszy doktor rzekł:

— Rozstrzyga to kwestyę; ubierz się.

I zwróciwszy się do sekretarza, zawołał:

— Zdany do służby!

Ubierałem się w największej rozpacz.

Werner przywołał kogoś innego. Nie zwracałem już na nic uwagi... Ktoś dopomagał mi przy wkładaniu rękawów od surduta. Nagle znalazłem się na schodach i kiedy Katarzyna spytała mię jak się stało, odpowiedziałem na to okropnem łkaniem; byłbym zleciał aż na dół, gdyby ciotka Grédel nie była podtrzymała mię.

Wyszliśmy tylnymi drzwiami i przeszliśmy mały plac; płakałem jak małe dziecko; Katarzyna także. Zatrzymaliśmy się pod hallą i uściśliśmy w półmroku.

Ciotka Grédel krzyczała.

— Oh! zboj!... teraz chwytają już kulawych nawet... nawet kalekich. Trzeba im wszystkich! Niech-że i nas zabiorą!

Ludzie poczęli gromadzić się i rzeźnik Sepel, który krajał tam mięso na rzeźniczym swym stole, rzekł:

— Matko Grédel, milczeć, na miłość Boską... Gotowi wsadzić was do więzienia.

— To i dobrze, niech wsadzą, zawołała, niech mię zamordują; powiadam, że mężczyźni tchórzami są, pozwalając na takie okropności!

Tu policyant zbliżył się do nas, rozeszliśmy się więc płacząc. Minęliśmy kawiarnię Hemmerlé i przeszliśmy do siebie. Ludzie patrzeli na nas z okien i mówili do siebie: „Jeszcze jeden idzie!”

Pan Gulden, wiedząc, że ciotka Grédel i Katarzyna przyjdą do nas na obiad w dzień rewizyi, kazał być przyniesić od *Złotego Baranka* gęś nadziewaną i dwie butelki dobrego alzackiego wina. Był przekonany, że zaraz zostanie uwolniony, jakież zatem było zdziwienie jego, kiedy ujrzął nas w takim zmartwieniu.

— Co to jest? rzekł, zsuwając jedwabną swą czapkę na łyse czoło i patrząc na nas wytrzeszczonymi oczami.

Nie miałem siły odpowiedzieć mu; padłem nu foteł, zalewając się łzami. Katarzyna usiadła koło mnie i zarzuciła mi ręce swe na szyję; łkanie nasze zwiączyło się jeszcze.

Ciotka Grédel rzekła:

— Nędznicy wzięli go.

— To być nie może! rzekł pan Gulden, któremu ręce opadły.

— Tak jest, nie może już być nic gorszego, mówiła ciotka; maluje to najlepiej złość ludzką.

I ozywając się coraz bardziej, wykrzykiwała:

— Czyż to już nie będzie żadnej rewolucyi! Czy to już zawsze rozbójnicy ci będą panami!

— No, no, matko Grédel, uspokójcie się, mówił pan Gulden. Na miłość Boską, nie krzyczcie tak głośno, opowiadajcie rozsądnie; musieli się omylić, to niepodobna inaczej... Więc ani pan mer ani doktor od szpitala nic nie mówili?

Jęcząc opowiedziałem wówczas historię listu, a ciocka Grédel, która nic o tem nie wiedziała, zaczęła wołać podnosząc pięście:

— Ah! rozbójnik! Niech tylko przyjdzie raz jeszcze do nas! siekierą rozplatom mu głowę.

Pan Gulden był przerażony.

— Jakto! i nie zawołałeś że to fałsz! rzekł; więc ta historia jest prawdziwą?

Spuściłem głowę nie odpowiadając nic, a on składając ręce, dodał:

— Ah! młodość, młodość, nigdy o niczem nie myśli.. Jaka nieroztropność... jaka nieroztropność!..

Chodził po pokoju, potem siadł i obcierał okulary. Ciotka Grédel rzekła znowu:

— Dobrze, nie będą go jednak mieli; złośliwość ich nie posłuży im na nic: dziś wieczór jeszcze Józef będzie już w górach, w drodze do Szwajcaryi.

Usłyszawszy to, pan Gulden zrobił minę poważną, ściągnął brwi i po chwili odpowiedział:

— Jest to nieszczęście... wielkie nieszczęście... bo Józef jest istotnie kulawym... Pokaże się to później; zanim dni parę minie, on zostanie w tyle i zachoruje. Ale źle robisz, matko Grédel, że tak mówisz i tak złą radę mu podajesz.

— Zła rada! rzekła; a więc i wy jesteście zatem, by mordowano ludzi, i wy także?

— Nie, odpowiedział, ja nie lubię wojny, szczególnie takiej, gdzie setki tysięcy ludzi traci życie dla sławy jednego. Ale takie wojny skończyły się już; teraz już nie dla zdobycia sławy i królestw ściągają żołnierzy, teraz chodzi już o obronę kraju,

który narażono przez tyranii i ambicję. Teraz chcieliby już pokoju! Na nieszczęście, rosyjanie posuwają się, prusacy łączą się z nimi, a nasi przyjaciele austriacy czekają tylko dobrej sposobności, by spaść nam na kark; jeżeli zatem nie pójdzie się na ich spotkanie, to oni przyjdą do nas i tak jak w 93 roku Europa zwali się na nas. Jest to zatem zupełnie rzecz inna, jak owe wojny z Hiszpanią, Rossyą i Niemcami. I ja, chociaż stary jestem, matko Grédel, jeżeli niebezpieczeństwo będzie tak wciąż wzrastało i jeżeli zapotrzebują starych wiarusów Rzeczypospolitej, wstydzilibym się iść robić zegary w Szwajcaryi, podczas, kiedy drudzy wylewaliby krew swą w obronie kraju mego. Zresztą, pamiętajcie dobrze o tem, że wszędzie pogardzają dezertarami. Kto raz to zrobi, ten już nigdzie nie zagrzeje miejsca, lecz już nie ma ani ojca, ani matki, ani dzwonnicy, ani ojczyzny... Ten już sam siebie osądził niezdolnym do spełnienia najpierwszego z obowiązków swoich, obowiązku kochania i podtrzymywania kraju swego, nawet wówczas, jeżeli ten błędzi.

Nie powiedział nic więcej i poważnie zasiadł do stołu.

— Jedzmy, odezwał się po chwili milczenia; otóż i dwunasta bije. Matko Grédel i Katarzyna, siadajcie tam.

Usiadły i jedliśmy. Rozmyślałem o tem, co powiedział pan Gulden i zdawało mi się, że powiedział sprawiedliwie. Ciotka Grédel zaciskała usta i od czasu do czasu spoglądała na mnie, chcąc odgadnąć, co myślę. W końcu, rzekła:

— Co do mnie, kpię sobie z takiego kraju, gdzie zabierają ojców rodziny, pochwytawszy najprzód chłopców! Gdybym była na miejscu Józefa, zarazbym uszła.

— Posłuchajcie, ciotko Grédel, odpowiedziałem, wiecie dobrze, że nad wszystko przenoszę spokój; nie chciałbym jednak uciekać do innych krajów, jak jaki *heimathslösz*. Pomimo to jednak, zrobię tak, jak Katarzyna zechce: jeżeli mi ona powie, żebym szedł do Szwajcaryi, to pójdę!...

Na to Katarzyna, spuściwszy głowę dla ukrycia łez, rzekła cichutko:

— Nie chcę, by cię nazywano dezertorem!

— A więc zrobię tak jak inni! zawołałem; ponieważ ludzie z Phalsburgu i Dageberga idą na wojnę, więc i ja pójdę!

Pan Gulden nie zrobił żadnej uwagi na to.

— Wolno każdemu robić jak chce, rzekł; ale rad jestem, że Józef tak myśli jak ja.

Potem znowu nastąpiło milczenie i koło godziny drugiej ciotka powstawszy, wzięła swój koszyk. Zdawała się być przygnębioną i rzekła do mnie:

— Józefie, nie chcesz mi słuchać, ale to nic, z wolą Bożą wszystko to skończy się; wrócisz, jeżeli Bóg pozwoli, Katarzyna czekać będzie na ciebie.

Katarzyna, rzuciwszy mi się na szyję, znowu płakać zaczęła, a ja jeszcze więcej niż ona; tak, że pan Gulden nawet nie mógł wstrzymać się od łez.

Nakoniec, Katarzyna i jej matka zeszyły ze schodów i ciotka na dole już będąc zawołała do mnie:

— Postaraj się przyjść do nas, Józefie, jeszcze jakie parę razy.

— Tak, tak, odpowiedziałem, zamykając drzwi. Nie mogłem się już utrzymać na nogach; nigdy jeszcze nie czułem się tak nieszczęśliwym i dziś jeszcze słabo mi się robi, jak przypomnę to sobie.

## VII.

Od dnia tego zupełnie straciłem głowę. Z początku usiłowałem zająć się znowu robotą, ale myśli moje wciąż były gdzie indziej i pan Gulden sam mi powiedział:

— Józefie, zostaw to... korzystaj z tego czasu, który masz jeszcze przepędzić z nami; idź odwiedzić Katarzynę i matkę Grédel. Zawsze jeszcze myślę, że cię uwolnią; ale kto tam zresztą wie? Tyle ludzi potrzebują, że może się to jeszcze długo przeciągnąć.

Co rano więc chodziłem do Quatre Vents i dni całe przepędzałem z Katarzyną. Bardzo byliśmy smutni a zarazem szczęśliwi, żeśmy się tak często widywali; więcej jeszcze, jeżeli to podobna, kochaliśmy się teraz niż wprzód. Czasami Katarzyna próbowała śpiewać, jak za dobrych czasów; ale nagle zaczynała płakać. I płakaliśmy wówczas oboje i ciotka Grédel znowu zaczynała przeklinać wojny, które są nieszczęściem dla wszystkich. Utrzymywała, że rada rewizyjna zasługuje na powieszenie i że wszyscy ci bandyci wzmowie byli z sobą, by zatruwać nam życie. Wyrzekania to ciotki sprawiło nam pewną ulgę i znajdowaliśmy, że miała słuszość.

Wieczorem wracałem do miasta koło ósmej lub dziewiątej godziny, w chwili kiedy zamykano bramy i przechodząc widziałem, [jak we wszystkich oberżach pełno było rekrutów i starych uwolnionych żołnierzy pijących razem. Rekruci płacili zawsze, tamci w zatłuszczonej żołnierskiej czapce na uchu, z nosem czerwonym, ze starym włosiennym kołnierzem niby od koszuli, pokręcali wąsą rozpowiadając z miną majestatyczną o swoich bitwach, swoich pochodach i pojedynkach.

Nie mogło być nic obrzydliwszego nad te dziury pełne dymu, oświetlone lampą zawieszoną u czarnej belki, nad tych starych rębaczy i tych młodych ludzi pijących, krzyczących i stukających o stoły jak ślepi. Z tyłu za nimi, w cieniu stara Aneta Schnaps, albo Marya Héring, z włosami skręconemi ponad szyją spiętymi i z grzebieniem o trzech zębach, patrzyły na to wszystko i od czasu do czasu skrobały się w bok lub wychylały kieliszki za zdrowie walecznych.

Dla synów chłopskich, dla ludzi uczciwych i pracowitych, smutne to było życie; ale nikt już nie miał ochoty pracować; każdy sprzedałby życie swe za parę groszy.

Tak pijąc, krzycząc, z rozpaczą w sercu, zasypiano nareszcie z nosem na stole, a starzy wypróżniali dzbany śpiewając:

Sława nas woła!

Patrząc na to wszystko, pomimo smutku błogosławiłem Niebo, że mi dało uczciwych ludzi; którzy podtrzymywali odwagę moją i nie dawali mi wpaść w takie ręce.

Trwało to aż do 25 stycznia. Od kilku dni wielka liczba rekrutów włoskich, piemontczyków, duńczyków, przybyła do miasta; jedni grubi i tłuści jak sabaudczycy karmieni kasztanami, ze szpiczastym kapeluszem na kędzierzawych włosach, w spodniach z grubego sukna, ciemno-zielonego i w małych kurtkach z tegoż materiału, ale barwy ceglastej, spiętych skórzany paskiem. Mieli na nogach ogromne trzewiki i jedli ser na dworze, siedząc wzdłuż halli. Inni chudzi, czarniawi, trzęśli się w długich swych kapotach, patrząc tylko na śnieg leżący na dachu i wielkimi czarnemi oczyma smutnie spoglądali na kobiety. Codziennie uczono ich na placu maszerować; mieli zupełnie kadry 6-go lekkiego pułku w Moguncyi i odpoczywali trochę w koszarach piechoty.

Kapitan rekrutów, nazywający się Vidal, mieszkał ponad naszym pokojem. Był to człowiek barczysty, silny, bardzo stanowczy, a jednak bardzo dobry i uczciwy przytem. Przyszedł do nas dla naprawy zegarka swego i, dowiedziawszy się, że rekrut i że boję się nie wrócić z wojny, uspokoił mię mówiąc, że „wszystko zależy od przyzwyczajenia... że po pięciu lub sześciu miesiącach człowiek bije się tak, jak by jadł chleb z masłem i że nawet wielu jest takich, którzy tak przyzwyczajają się strzelać z fuzyi, dział do ludzi, że uważają się za nieszczęśliwych, jeśli im zabraknie tej przyjemności”.

Ale sposób ten rozumowania nie bardzo mi się podobał, tembardziej że na jednym z policzków jego widziałem kilka grubych ziarn prochu, które gęboko-

wryły się pod skórę, a które, jak mię objaśnił, pochodziły z fuzy jednego rossyanina, co wystrzelił doń pod samym nosem prawie. Stan wojskowy coraz bardziej mi się nie podobał, a że minęło już dni kilka bez żadnych wiadomości, zaczynałem przeto myśleć, że zapomniano o mnie jak o wielkim Jakóbie z Chèvre-Hefu, o którego nadzwyczajem szczęściu dotąd jeszcze wszyscy mówią. Ciotka Grédel sama mi mówiła za każdym razem, jakim był u nich: „No... no... chcą wię zostawić nas w spokoju!” Ale rano, 25 stycznia, w chwili kiedy miał iść do Quatre-Vents, pan Gulden, który z miną zamysloną pracował przy swym warsztacie, odwrócił się do mnie ze łzami w oczach i rzekł:

— Słuchaj, Józefie, chciałem byś tę noc jeszcze przespał spokojnie; ale trzeba jednak, żebyś wiedział o tem, moje dziecko, że wczoraj wachmistrz przyniósł mi twój paszport. Odjeżdżasz z piemontczykami, oraz z pięciu lub sześciu chłopcami z miasta: synem Klipfela, synem Loeriga, Janem Furstem i Gaspardem Gébédé; idziecie do Moguncyi.

Słyszac to uczulem, jak mi nogi uginają się i siedem nie mogąc odpowiedzieć ani słowa. Pan Gulden wyjął z szufladki swojej paszport pięknym skreślony pismem i zaczął go czytać powoli. Pamiętam tylko tyle, że Józef Berthe, rodem z Dabo, kantonu Phalsburgskiego, okręgu Sarreburga, wcielony został do 6-go lekkiego pułku i że miał połączyć się z korpusem swoim 29 stycznia w Moguncyi.

Rozkaz ten sprawił na mnie wrażenie takie, jak gdybym był o niczem dotąd nie wieział; zdawało mi

się, że to coś zupełnie nowego i czulem się mocno oburzony.

Po chwili milczenia, pan Gulden rzekł znowu:

— Włosi odchodzą dzisiaj, koło godziny jedenastej.

Budząc się wówczas jak gdyby z przerażającego snu, zawołałem:

— A więc nie zobaczę już Katarzyny?

— Owszem, Józefie, owszem, rzekł drżącym głosem; zawiadomiłem matkę Grédel, Katarzynę, przyjdą zatem; moje dziecię i będziesz mógł pożegnać się z niemi przed odjazdem.

Widziałem, jak bardzo sam był zmartwiony i to powiększało jeszcze mój smutek, tak że z największą trudnością wstrzymywałem się od łez.

Po chwili odezwał się znowu:

— Nie potrzebujesz troszczyć się o nie, wszystko przygotowałem już naprzód. A kiedy wrócisz, Józefie, Bóg zachowa mię jeszcze przy życiu, znajdziesz mię zawsze jednostajnie dla ciebie usposobionym. Starzeję się już; największem szczęściem dla mnie byłoby, gdybym mógł mieć w tobie syna, bo znalazłem w tobie dobre serce i zdrowy rozsądek uczciwego człowieka; byłbym ci odstąpił sklep mój... dobrzeby nam było razem.... Katarzyna i ty bylibyście dziećmi moimi.... Ale ponieważ inaczej być musi, trzeba się poddać. Wszystko to nie długo trwać będzie; uwolnią cię, jestem tego pewny: przekonają się wkrótce, że nie możesz odbywać długich pochodów.

Kiedy on tak mówił, ja spuściwszy głowę na kolana, płakałem z cicha.

Nakoniec, pan Gulden powstał i wyjął z szafy tornister żołnierski ze skóry cielejącej i położył go na stole. Przygnębiony, patrzyłem na niego, myśląc tylko o swoim nieszczęściu.

Oto tornister twój, włożyłem weń wszystko, czego potrzebujesz: dwie płócienne koszule, dwa kaftanki flanelowe i resztę. W Moguncyi dostaniesz dwie koszule, nie potrzebujesz nic więcej; ale kazałem ci zrobić trzewiki, bo niema nic gorszego nad trzewiki, które liweranci dostarczają; są one najczęściej z końskiej skóry, która okropnie rozgrzewa nogi. Bez tego nie bardzo mocne masz nogi, mój chłopcze, niechże przynajmniej pod tym względem nieucierpisz. Otóż tak... to już i wszystko.

Położył tornister na stole i usiadł.

Na dworze słychać było, jak się włosi krzątali przygotowując do pochodu. Po nad nami, kapitan Vidal wydawał rozkazy. Koń jego stał w koszarach żandarmskich; kapitan kazał żołnierzowi swemu zobaczyć, czy dobrze go wyczyszczono, czy dano mu owsa.

Cały ten ruch, ten hałas, dziwne wrażenie sprawiał na mnie, jeszcze mi się wierzyć nie chciało, że mam opuścić miasto. Kiedy tak dręczył mię straszny niepokój, drzwi się otwarły i Katarzyna płacząc rzuciła mi się w objęcia, a matka Grédel zawołała:

— Mówiłam ci, że powinienes uciekać do Szwajcaryi... że nędznicy ci pochwycą cię wreszcie... Mówiłam ci... nie chciałeś mi wierzyć.

— Matko Grédel, odpowiedział na to zaraz pan Gulden, odjechać dla spełnienia obowiązku, nie jest

to tak wielkim nieszczęściem jak zasłużyć na pogardę uczciwych ludzi. Zamiast krzyżeć i robić wyrzuty, lepiejbyście zrobili, gdybyście się starali pocieszyć Józefa i dodać mu odwagi.

— Ah! odpowiedziała, nie robię mu wyrzutów, nie! chociaż straszna to rzecz patrzeć na to.

Katarzyna nie opuszczała mię; usiadła koło mnie i całowaliśmy się.

— Powrócisz, mówiła, ściskając mię.

— Tak.. tak, mówiłem po cichu; a ty zawsze będziesz o mnie pamiętała... nie będziesz kochała innego.

Ona płacząc odpowiadała:

— Ah! nie, ciebie tylko zawsze kochać będę!

Trwało tak kwadrans może, kiedy drzwi się otworzyły i kapitan Vidal wszedł, z płaszczem zwiniętym na plecach.

— No, i jakże! rzekł, no, i jakże! a nasz młody człowiek?

— Oto on, odpowiedział pan Gulden.

— Ah! tak, rzekł kapitan, rozpaczają, to rzecz naturalna. Pamiętam to... zawsze kogoś pozostawiamy.

Potem, podnosząc głos, dodał:

— No, młodzieńcze, odwagi! Nie jesteśmy już dziećmi, cóż u licha!

Popatrzał na Katarzynę:

— Rzecz naturalna, rzekł do pana Guldena, rozumiem dobrze, iż mu się nie chce odjechać.

Bito w bębny na wszystkich rogach ulic; kapitan Vidal dodał:

— Mamy jeszcze dwadzieścia minut do odjazdu.

I spojrzawszy na mnie, rzekł ściskając rękę pana Guldena:

— Trzeba stanąć na pierwszy apel, młodzieńcze.

Wyszedł; słychać było, jak przed drzwiami koń jego kopytami bił o ziemię.

Czas był pochmurny, ciężar smutku tłoczył mię; nie miałem odwagi puścić Katarzyny.

Nagle, wszystkie bębny odezwały się na placu. Pan Gulden podnosząc tornister za rzemyki, rzekł głosem poważnym:

— Józefie, teraz uściśnijmy się... czas już.

Blady, wyprostowałem się, a on mi przymocował tornister na plecach. Katarzyna, zakrywszy twarz fartuchem, płakała. Matka Grédel stojąc patrzyła na mnie z zaciśniętymi ustami.

Bębny wciąż grzmiały; nagle umilkły.

— Rozpocznie się apel, rzekł pan Gulden ściskając mnie, nagle żal jego wybuchł, zaczął płakać, z cicha zowiąc mię dzieckiem swem i mówiąc mi:

— Odwagi!

Matka Grédel usiadła; kiedym się nachylił ku niej, ujęła głowę mą w swoje ręce i całując, wołała:

— Zawsze cię kochałam, Józefie, od dzieciństwa twego... zawsze cię kochałam! Sprawiałeś nam zawsze zadowolenie, a teraz musisz odjechać... Mój Boże, mój Boże, jakie nieszczęście!

Ja nie płakałem już.

Kiedy ciotka wypuściła mię z objęć swoich, spojrzalem na Katarzynę, która nie ruszała się z miejsca i zbliżywszy się do niej, ucałowałem ją w szyję. Nie wstała z miejsca i ja szybko wychodziłem już

z pokoju, czując że tracę siły, kiedy ona zawołała głosem rozdzierającym:

— Józefie!... Józefie!...

Odwrociłem się wówczas; rzuciliśmy się w swoje objęcia i przez chwil kilka staliśmy tak płacząc. Katarzyna nie mogła się utrzymać na nogach; złożyłem ją na fotelu i wybiegłem nie oglądając się.

Byłem już na placu, wśród włochów i mnóstwa ludzi, którzy krzyczeli i płakali odprowadzając chłopców swoich, a nic nie widziałem i nie słyszałem nic.

Kiedy uderzono znów w bębny, spojrzalem i ujrzałem się między Klipfelem i Furstem; obaj mieli tornistry na plecach; rodzina ich przed nami, na placu, płakali jak na pogrzebie. Na prawo, przy ratuszu, kapitan Vidal, konno na swojej małej, siwej klaczy, rozmawiał z dwoma oficerami piechoty. Sierżanci wywoływali po imieniu, a rekruci odpowiadali. Wołało Zébédé, Furst, Klipfel, Bertho, odpowiedziliśmy jak inni; potem kapitan zakomenderował: „Marsz!” i ruszyliśmy po dwóch ku bramie Francji.

Na rogu koło piekarza Spitzta, staruszka na pierwszym piętrze, zawołała z okna przyduszonym głosem — Kasprze!

Była to babka Zébédé'go; podbródek jej trząsł się. Zébédé nic nie mówiąc podniósł rękę, był także bardzo smutny i szedł ze spuszczoną głową.

Ja drżałem na samą myśl, że będę przechodził mimo naszego domu. Nogi mi się uginały, kiedyśmy się tam zbliżali; słyszałem także, jak ktoś krzyczał z okien, ale odwróciłem głowę w stronę oberży *Byka Czerwonego*; odgłos bębnow głużył wszystko.

Dzieci biegły za nami wołając:

— Idą już... Patrz, oto Klipfel, oto Józef!

Pod bramą Francyi, ludzie będący na warcie stali w szeregu i z bronią na ramieniu patrzyli na nas przechodzących. Przeszliśmy mimo odwachu, potem bębny nasze umilkły i zwróciliśmy się na prawo. Słychać było tylko stąpanie nóg po błocie, bo śnieg topniał.

Minęliśmy folwark Géberhoffa i mieliśmy już schodzić z pochyłości wielkiego mostu; kiedy usłyszałem, że ktoś mówi do mnie: był to kapitan, który z konia swego wołał na mnie:

— Dobrze, młodzieńcze, jestem kontent z was!

Usłyszawszy to, nie mogłem się jeszcze wstrzymać od łez i wielki Furst także, płakaliśmy idąc. Inni, bliźni jak śmierć, nic nie mówili. Na wielkim moście, Zébédé wydobyl fajkę swą. Przed nami, włośi rozmawiali i śmieli się między sobą, byli już bowiem od trzech tygodni przyzwyczajeni do takiego życia.

Kiedyś weszli na wyniosłość Mettingu, o dobrą milę od miasta, Klipfel dotknął ramienia mego i odwracając głowę, rzekł:

— Patrz tam...

Spojrzałem i spostrzegłem daleko po nad nami koszary, prochownie i dzwonnice z której, sześć tygodni temu, ze starym Brainsteinem patrzyłem na dom Katarzyny; wszystko to było szare, do koła opasane czarnym lasem. Chciałbym był zatrzymać się tam chwilę; ale oddział szedł, trzeba było iść z nim razem. Zeszliśmy do Mettingu.

## VIII.

Tegoż dnia doszliśmy do Bitche, nazajutrz do Hernbachu, do Kaiserslautern, i t. d. Śnieg znowu zaczął padać.

Ileż razy w ciągu tej długiej drogi, żałowałem płaszcza pana Guldena i jego trzewików o podwójnej podeszwie!

Przechodziliśmy przez mnóstwo wiosek, tak w górach jak na płaszczynach. Wchodząc do każdego miasteczka, dobosze przywiązywali bębny swe i wybijali marsz; prostowali się wówczas, stąpaliśmy w takt, ażeby mieć minę starych żołnierzy. Mieszkańcy stawali u małych okienek swoich albo we drzwiach i mówili: „To rekruci”.

Wieczorem na przestanku, radzi byliśmy wszyscy, że strudzone nogi nasze odpocząć mogły, ja szczególnie. Nie mogę powiedzieć, by noga mię bolała, ale stopy obie... Ah! nigdy jeszcze nie był tak zmęczony! Palet kwaterunkowy dawał nam prawo do miejsca przy ognisku; ale mieszkańcy sadzali nas także przy swoim stole. Prawie zawsze mieliśmy mleko kwaśne i kartofle, czasami też świeżą słoninę drzącą na półmisku z kapustą. Dzieci przypatrywały się nam; stare pytały nas z kąd jesteśmy, cośmy robili zanim wzięli nas do wojska; młode dziewczęta patrzyły na nas smutnie, marząc o swych kochanych, którzy poszli do wojska sześć lub siedm miesięcy temu. Potem dawano nam łóżko parobka. Zja-



ką przyjemnością wyciągałem się w niem! — jakżebym się przespał dwanaście godzin. Ale raniutko, o brzasku dnia, bęben budził mię; patrzyłem na ciemne belki sufitu, na małe szybki okna, pokryte lodem i zapytywałem siebie: „Gdzież jestem?” Nagle, serce mi się ścisnęło; mówiłem do siebie: „Jesteś w Bitche, w Kaiserslautern.... jesteś rekrutem!” i trzeba było prędko ubierać się, wkładać na siebie tornister i biec do apelu.

— Szczęśliwej podróży! mówiła gospodyni zbudzona rano.

— Dziękuję, odpowiadał rekrut.

I wyruszałem w drogę.

Tak... tak... szczęśliwej podróży! Nie ujrzą cię więcej, biedaku.... Iluż innych szło tą samą drogą! Nigdy nie zapomnę jak w Kaiserslautern, nazajutrz po wyjściu z Phalsburga odpiąwszy tornister dla wzięcia czystej koszuli, znalazłem między bielizną zawiniątko dosyć ciężkie i otworzywszy je ujrzałem pięćdziesiąt cztery franki w sztukach sześć frankowych, a na papierze następujące słowa, skreślone ręką pana Guldena: „Bądź zawsze dobrym i uczciwym na wojnie. Pamiętaj o krewnych swoich, o tych dla których życie twe byłbyś oddał i po ludzku obchodź się z cudzoziemcami, ażeby ci podobnie postępowali z naszymi. Niech cię Bóg prowadzi... niech cię chroni od niebezpieczeństw. Oto masz trochę pieniędzy, Józefie. Dobrze jest, kiedy się jest daleko od swoich, zawsze mieć trochę pieniędzy. Pisz do nas najczęściej jak tylko będziesz mógł. Całuję cię, dziecię moje i przyciskam do serca mego”.

Czytając te słowa, wylewałem łzy i myślałem: „Nie zupełnie jesteś opuszczony na ziemi... Zaczni ludzie pamiętać o tobie! Nigdy ich rad dobrych nie zapomnisz”.

Nakoniec piątego dnia, koło godziny piątej wieczorem, weszliśmy do Moguncyi. Jak długo żyć będę, wspomnienie to pozostanie mi. Zimno było straszliwe; opuściliśmy nocleg bardzo rano i, zanim doszliśmy do miasta, długo przechodziliśmy mnóstwo wsi napełnionych żołnierzami: kawalerją i piechotą, dragonami w małych kurtkach, w sabotach wysłanych słomą, zajętych łamaniem lodu w korytach, dla napojenia koni; innych niosących wiązki paszy do stajen, konwoje z prochem, z kulami, pokryte szronem; sztafety, oddziały artylerji, pontonierzy chodzący tu i owdzie po białych polach i nie zwracający na nas żadnej uwagi tak, jak gdybyśmy nie istnieli wcale.

Kapitan Vidal, chcąc się rozgrzać, zsiadł z konia i szybko chodził; oficerowie i sierżanci napędzali nas do pośpiechu. Pięciu lub sześciu włochów pozostało po wsiach, nie mogąc iść dalej. Mnie, od bólu gorąco było w nogi; na ostatnim odpoczynku zaledwie podnieść się mogłem. Inni phalsburgczycy szli dobrze.

Noc nadeszła, niebo iskrzyło się gwiazdami. Wszyscy patrzyli przed siebie i mówili: „Zbliżyliśmy się! Zbliżyliśmy!” bo na tle nieba rysująca się ciemna linia, czarne punkta i świecące szczyty zwiastowały wielkie miasto. Nakoniec wkroczyliśmy między przedforteczne odwachy, na przełaj bastionów z ziemi ciągnących się w zygzak. Milezano. Na krańcu fortyfi-

kacy w pół księżycy, ujrzeliśmy fosę miasta pokrytą lodem, ponad nią szançe z cegły a naprzeciw nas starą, ciemną bramę i podniesiony most. Na górze, warta pod bronią krzyknęła do nas:

— Kto tam?

Kapitan, sam na przodzie, odpowiedział:

— Francya!

— Jaki pułk?

— Rekruci z 6 go lekkiego.

Zrobiła się wielka cisza. Zwodzony most opadł, ludzie ze straży wyszli na rekonesans. Jeden z nich niósł wielką latarnię. Kapitan Vidal podszedł kilka kroków naprzód, ażeby rozmówić się z naczelnikiem straży, potem krzyknęli do nas:

— Możecie!

Bębny nasze odezwały się; ale kapitan kazał je zawiesić znowu na ramiona i weszliśmy przez wielki most i drugą bramę podobną do pierwszej. I tak znaleźliśmy się w mieście, wybrukowanem świeżymi kamykami. Każdy robił co mógł, żeby nie kuleć, bo, pomimo nocy, wszystkie oboże, wszystkie sklepy kupców były otwarte, wielkie ich okna świeciły się i setki ludzi krążyły po ulicach jak w biały dzień.

Przeszliśmy pięć lub sześć ulic i wkrótce stanęliśmy na placu, przed wysokimi koszarami, gdzie zawołano: „Stój!”

Na rogu koszar było sklepienie; a pod tem sklepieniem siedziała przed małym stolikiem markietanka, pod wielkim trójkolorowym parasolem, koło którego wisiały dwie latarnie.

Prawie na razie zjawilo się kilku oficerów: był to komendant Gémeau i kilku innych, których później poznałem. Śmiejąc się uściśnęli rękę kapitana; potem popatrzyli na nas i rozpoczęli się apel. Poczem każdy z nas dostał bochenek chleba i palet kwaterunkowy. Zapowiedziano nam, że apel będzie miał miejsce nazajutrz o godzinie ósmej, dla rozdania broni i krzyknięto: „Rozejść się!” podczas kiedy oficerowie zwrócili się ulicą na lewo i razem weszli do wielkiej kawiarni, do której prowadziło z kilkanaście stopni.

Ale my, gdzieżemy się mieli udać z naszymi paletami kwaterunkowymi, w tak wielkiem mieście, szczególnie włości, którzy ani jednego słowa nie rozumieli po francuzku ani po niemiecku?

Przyszło mi najprzód na myśl udać się do markietanki siedzącej pod parasolem. Była to stara alzatka okrągła i pucotowała i kiedy spytałem ją, gdzie się znajduje *Kapuzigner Strasse*, odpowiedziała mi: „Co płacisz?”

Musiałem wypić u niej kieliszek wódki, poczem rzekła mi:

— Patrz, wprost naprzeciw, skręciwszy na prawo, znajdziesz *Kapuzigner Strasse*. Dobrej nocy, rekrucie. Śmiała się.

Wielki Furst i Zébédé, mieli także palety na *Kapuzigner Strasse*; poszliśmy, radzi żeśmy mogli przynajmniej razem kuleć i pociągać nogą w tem obcym mieście.

Furst pierwszy odnalazł dom swój, ale ten był zamknięty i podczas kiedy on stukał do drzwi jego,

ja znalazłem mój, którego oba okna błyszcząły na lewo. Popchnąłem drzwi, otworzyły się i wszedłem do ciemnej sieni, gdzie czuć było zapach świeżego chleba, co mi sprawiło przyjemność. Zébédé poszedł dalej. Ja krzyknąłem w sieni: „Jest tam kto?”

Prawie w tejże chwili nad schodami drewnianymi ukazała się stara kobieta, zasłaniająca świecę swą ręką.  
— Czego chcecie? zapytała.

Powiedziałem jej, że mam palet na kwatery u nich. Zeszła na dół, popatrzyła na palet, potem rzekła po niemiecku:

— Chodźcie!

Wszedłem więc na schody. Przechodząc, ujrzałem przez drzwi otwarte w dole ludzi w spodniach, nagich aż po pas, którzy mięszali ciasto w dwóch dzieżach. Byłem u piekarza i dla tego to stara nie spała jeszcze, mając zapewne także coś do roboty. Miała ona na głowie czepek z czarnymi wstążkami, ręce nagie aż po łokcie; grubą spodnicę z wełny niebieskiej podtrzymaną szelkami; zdawała się być smutną. Na górze zaprowadziła mnie do pokoju dosyć wielkiego, w którym znajdował się dobry kaflowy piec i łóżko w głębi.

— Przychodźcie późno, rzekła do mnie kobieta.

— Tak, szliśmy przez cały dzień, odrzekłem nie mogąc już prawie mówić; umieram ze znużenia i z głodu.

Popatrzała na mnie wówczas i usłyszałem jak mówiła:

— Biedne dziecko! biedne dziecko!

Potem posadziła mnie przy piecu i spytała:

— Nogi was bolą?

— Tak, od trzech dni już.

— No, to zdejmcie trzewiki wasze, odpowiedziała i włóżcie te saboty. Ja wracam zaraz.

Postawiła świecę na stole i zeszła. Ja zdjąłem tornister i trzewiki, na nogach miałem pęcherze i myślałem sobie. „Mój Boże... mój Boże... czy można cierpieć więcej? Czy nie lepiej byłoby umrzeć?”

Myśl ta przychodziła mi ze sto razy w drodze, ale teraz, siedząc przy dobrym ogniu, czułem się tak znużony, tak nieszczęśliwy, że chciałbym był zasnąć na zawsze, pomimo Katarzyny, pomimo ciotki Grédel, pana Guldena i wszystkich tych, którzy mi dobrze życzyli. Tak, czułem się nadto nieszczęśliwym!

Kiedy tak dumałem, drzwi się otworzyły i wszedł mężczyzna wysoki, silny, z głową siwą już. Był to jeden z tych, których widziałem był pracujących na dole. Teraz był już w koszuli i w rękach trzymał dzbanek i dwie szklanki.

— Dobrej nocy! rzekł, patrząc na mnie z miną poważną.

Pochyliłem głowę. Stara weszła za mężczyzną;niosła drewniany cebrzyk i stawiając go na ziemi przed moim krzesłem, rzekła:

— Pomocznocie nogi, to wam ulgę przyniesie.

Widząc to, uczułem się rozrzewniony i pomyślałem: „Są jednak dobrzy ludzie na świecie!” Zdjąłem północzochy. Pęcherze były potwierane i krew wyciekała z nich, co widząc pocziwa stara, powtórzyła znowu:

— Biedne dziecię! biedne dziecię!

Mężczyzna rzekł do mnie:

— Z jakiego kraju jesteście?

— Z Phalsburga w Lotaryngii.

— Ah! tak, rzekł.

Potem po chwili odezwał się do żony:

— Idź przynieś jeden z placków; ten młodzieniec wypije szklankę wina, a potem zostawimy go samego, niech zaśnie spokojnie, potrzebuje spoczynku.

Przysunął stół do mnie, tak że miałem nogi w wodzie, co mi ulgę przyniosło a przedemną stał dzbanek. Potem napełnił szklanki dobrem winem białym, mówiąc do mnie:

— Zdrowie wasze!

Matka wyszła była. Wróciła z wielkim plackiem ciepłym jeszcze, tak, że pokrywające go świeże masło było na wpół stopione. Teraz dopiero poczułem jak bardzo byłem głodny, zrobiło mi się prawie słabo. Dobrzy ci ludzie musieli to spostrzedz, bo kobieta rzekła do mnie:

— Zanim jeść zaczniesz, moje dziecko, trzeba żebyście z wody wyjęli nogi.

Schyliła się i fartuchem swoim otarła mi nogi, zanim rozumiałem co chciała zrobić.

Zawołałem wówczas: „Mój Boże, jesteś pani dla mnie tak dobrą, jak dla dziecka swego”.

Po chwili milczenia odpowiedziała mi:

— Mamy syna w wojsku.

Kiedy to mówiła, słyszałem jak głos jej drżał i serce mi się krajało, przypominałem sobie Katarzynę, ciotkę Grédel i nie mogłem nic odpowiedzieć.

— Jedzcie i pijcie, rzekł do mnie piekarz, krajając placki.

Zrobiłem to z przyjemnością, jakiej dotąd nie znałem. Oboje patrzyli na mnie poważnie. Kiedy skończyłem, mężczyzna powstał:

— Tak, rzekł, mamy syna w wojsku; w przeszłym roku wyruszył do Rossyi i nie mieliśmy od niego żadnej wiadomości... Straszne są te wojny!

Mówił do siebie, chodząc po pokoju z miną zamysłoną i z rękami w tył założonemi. Ja czułem, że mi się oczy zamykają.

Nagle piekarz rzekł:

— Idźmy, dobrej nocy.

Wyszedł, a za nim żona jego wyniosła cebryk.

— Dziękuję, zawołałem za nim; niech wam Bóg wróci syna!

## IX.

Nazajutrz obudziłem się koło godziny ósmej. Na rogu *Kapuzigner Strasse* trębacz zwoływał na apel; wszystko było w ruchu; słyszał było hałas przechodzących koni, powozów i ludzi. Nogi bolały mię jeszcze cokolwiek, ale było to niczem w porównaniu dni przeszłych; kiedy włożyłem czyste pończochy, zdawało mi się, że się odrodziłem; czułem się mocny na nogach i mówiłem do siebie: „Józefie, jeżeli tak dalej będzie, staniesz się zuchem; pierwszy krok tylko trudny”.

W tem dobrem usposobieniu ubierałem się.

Żona piekarza postawiła była trzewiki moje przy piecu, ażeby wyschły, napelnwszy je poprzednio ciepłym popiołem, ażeby nie stwardniały. Były dobrze tłuszczem wysmarowane i świecące.

Nakoniec zapiąłem mój tornister i zeszedłem na dół, nie mając czasu podziękować pocziwym ludziom, którzy mię tak dobrze przyjęli, sądząc że będę mógł spełnić obowiązek ten po apelu.

W końcu ulicy, na placu, wielu naszych włochów czekało już, drząc koło wodotrysku, Furst, Klipfel i Zébédé nadeszli w chwilę potem.

Po jednej stronie placu widać było same działa ustawione na lawetach. Badańscy husarze przyprawdzali konie do pojenia, między nimi znajdowało się kilku żołnierzy i dragonów.

Naprzeciw nas stały koszary kawalerskie, wysokie jak kościół w Phalsburgu; a z trzech pozostałych stron placu, wznosiły się stare śpiczasto zakończone, snycerską robotą ozdobione domy jak w Saverne, tylko daleko większe. Nigdy nie widziałem nic podobnego i kiedy tak z nosem do góry przypatrywałem się wszystkiemu, nasze bębny poczęły grzmieć. Każdy stanął w swoim szeregu. Kapitan Vidal nadjechał z płaszczem na ramieniu. Z pod sklepienia, będącego naprzeciw, wyszły wozy i ogłoszono nam, najprzód po włosku, następnie po francuzku, że mają rozdáwać broń i że każdy z nas ma wyjść z szeregu usłyszawszy imię swoje.

Wozy zatrzymały się o dziesięć kroków i rozpoczął się apel. Każdy z nas z kolei wychodził z szeregu i otrzymywał ładownicę, szpadę, bagniet i fu-

zyę. Zawieszano to sobie na bluzie, na surducie lub kaftanie; z naszymi kapelusznymi, kaszkietami i bronią, wyglądaliśmy jak prawdziwa banda rozbójników. Maie dostała się fuzya tak wielka i tak ciężka, że zaledwie mogłem ją unieść; ładownica spadała mi prawie na tydki, tak że sierżant Pinto pokazał mi jak mam skrócić rzemyki. Był to dobry człowiek.

Wszystkie te pasy krzyżujące się na piersiach, zdawały mi się straszłą rzeczą i przekonałem się wówczas, że bieda nasza nie skończyła się jeszcze.

Kiedy wydzielono już broń, zbliżył się jaszczyk i rozdano nam po pięćdziesiąt nabojów na każdego, co nic dobrego nie obiecywało. Potem zamiast kaszc nam rozejść się i odejść do domów, jak się spodziewałem, kapitan Vidal dobył szpady i zawołał: — Szeregiem na prawo... naprzód... marsz!..

I bębny zaczęły bić znowu.

Przykro mi bardzo było, że nie mogłem podziękować gospodarzom moim za dobro, którego doznałem od nich; mówiłem sobie: „Będą cię uważali za niewdzięcznika!” Ale wszystko to nie przeszkadzało mi iść w szeregu.

Szliśmy długą krętą ulicą i nagle po za pochyłością szanćów znaleźliśmy się przed Renem, który jak okiem sięgnąć, pokryty był lodem. Było to coś wspaniałego i olśniewającego zarazem.

Cały batalion zeszedł do Renu, który przeszliśmy. Nie sami tylko byliśmy na rzece: przed nami, na pięćset lub sześćset kroków, konwój prochu, prowadzony przez żołnierzy, posuwał się drogą do Frank-

furtu. Lód nie był śliski, pokrywał go bowiem rodzaj chropawego szronu.

Kiedyśmy stanęli na drugim brzegu, kazano nam iść drogą wijącą się między dwoma wzgórzami.

Szliśmy tak przez pięć godzin. Raz po prawej stronie, drugi raz po lewej, ukazywały się nam wsie i Zébédé, który szedł obok mnie, mówił:

— Ponieważ trzeba było iść, to już wolę, że idziemy na wojnę. Codziennie przynajmniej widzimy coś nowego. Jeżeli los pozwoli nam wrócić, to będziemy mieli o czym opowiadać.

— Tak, ale jaby wolał mniej wiedzieć, odrzekłem; wolałbym żyć na mój własny rachunek, aniżeli na rachunek innych, którzy spokojnie siedzą u siebie, podczas kiedy my brniemy po śniegu.

— Ty! ty nie dbasz o sławę, mówił on; a to przecie coś znaczy, sława!

Ja mu odpowiadałem na to:

— Sława jest dla innych, Zébédé, a nie dla nas; tamci żyją dobrze, dobrze jedzą i śpią dobrze. Dla nich to są tańce i przyjemności, jak widzimy to z gazet, a nadto dla nich jest sława, kiedyśmy ją zdobyli potem naszym, postem, kiedy nam dla niej kości połamano. Takim jak my biedakom, których siłą biorą do wojska, niewiele zostaje sławy, kiedy wracają nakoniec do domów, straciwszy przyzwyczajenie do pracy, a czasem jaki członek ciała w boju. Dawni koledzy ich, którzy nie więcej od nich warci byli i którzy nawet mniej pracowali, zarabiali pieniądze przez te siedm lat, otwierali sklepy, żenili się z ukochanymi innymi, mieli piękne dzieci, zosta-

wali poważnymi ludźmi, radcami municypalnymi, znacznymi obywatelami. A kiedy ci, którzy szukali sławy zabijając ludzi, wracają nareszcie z galonami na ramionach, tamci patrzą na nich z lekceważeniem, jeżeli zaś na nieszczęście, który z nich ma w dodatku nos czerwony, bo musiał pijać wódkę dla dodania sobie odwagi i sił wśród deszczu, śniegu, forsownych marszów, podczas kiedy tamci pili dobre wino, to mówią o nim: „To pijak!” I tak, rekruci którzy nie pragnęli nic więcej jak pozostać u siebie i pracować, stają się rodzajem żebraków. Oto, co ja myślę, Zébédé, nie znajduję by to było zupełnie sprawiedliwym i wolałbym, żeby zwolennicy sławy sami szli bić się, a nas zostawili w spokoju.

On odpowiadał mi na to:

— I ja tak jak ty myślę; ale ponieważ *złapano* nas, lepiej już zatem mówić, że to dla sławy. Trzeba zawsze podtrzymywać swój stan i starać się o to, by ludzie mniemali, że dobrze nam jest; bo inaczej, Józefie, gotowi wysmiewać się z nas.

Tak rozmawiając o tem i owem, ujrzelismy nakoniec wielką rzekę, o której sierżant powiedział nam, że to Men, a przy tej rzecze wielką wioskę przy drodze. Nie wiedzieliśmy nazwy tej wioski, ale tam zatrzymaliśmy się na odpoczynek.

Weszliśmy do domów i każdy z nas mógł kupić sobie wódki, wina i mięsa.

Ci, którzy nie mieli pieniędzy, jedli ezerstwę swój chleb, patrząc na innych.

Wieczorem, koło godziny piątej, przybyliśmy do Frankfurtu. Jest to miasto starożytniejsze jeszcze od

Moguncyi i pełne żydów. Zaprowadzono nas do miejsca, zwanego Sachsenhausen, gdzie stali strzelcy badeńscy i 10-ty pułk huzarów. Mówiono mi, że stary ten gmach był niegdyś szpitalem i wierzę temu bardzo, bo wewnątrz jego znajdował się wielki dziedzińiec, z muirowanemi arkadami; pod arkadami stały konie, a ponad niemi mieszkali ludzie.

Przybyliśmy zatem do tego miejsca, przeszedłszy niezliczoną moc uliczek tak ciasnych, że między kominami za ledwie dojrzeć można było gwiazdy. Kapitanowie Florentin i dwaj porucznicy Klawel i Bretonville, czekali na nas. Po apelu, sierżanci zaprowadzili nas oddziałami do kwater, znajdujących się ponad badeńczykami. Były to wielkie sale z małemi oknami; pomiędzy temi ostatniemi stały łóżka.

Sierżant Pinto zawiesił latarnię swą u środkowego słupa; złożono broń w kozły, potem ani słowa nie mówiąc, każdy zdjął swój tornister, swoją bluzę i trzewiki. Zébédé miał spać ze mną. Bogu tylko wiadomo, jak potrzebowaliśmy snu. W dwadzieścia minut potem, spaliliśmy jak kamienie.

## X.

W Frankfurcie to poznałem życie wojskowe. Dotąd byłem tylko rekrutem, tam zostałem, żołnierzem. I nie mówię tu o ćwiczeniach wojskowych, nie! kierować czy na prawo, czy na lewo, iść w ślad jedena za drugim, podnosić rękę do wysokości pierwszej lub drugiej obrączki przy nabijaniu fuzyi, brać

na cel i podnosić broń na rozkaz, jest to nauka jednego lub dwóch miesięcy przy dobrej woli. Ale wyuczyłem się karności, to jest tego: że kapral zawsze ma słuszość, kiedy mówi do żołnierza, sierżant kiedy mówi do kaprala, feldfebel kiedy mówi do sierżanta, podporucznik do feldfebla i tak dalej aż do marszałka Francyi, — chociażby mówili, że dwa a dwa pięć, albo że księżyc świeci w samo południe.

Trudno to wbić sobie w głowę, ale jest coś co ci do tego dopomaga: jest to rodzaj afisza przybitego w kwaterach i który od czasu do czasu odczytują dla rozjaśnienia ci w głowie. Afisz ten przypuszcza wszystko to, co żołnierz może mieć ochotę zrobić, naprzykład wrócić do wsi swej, nie chcieć służyć, odmówić posłuszeństwa naczelnikowi swemu i t. d. i kończy się to zawsze śmiercią lub pięciu latami kuli przynajmniej.

Nazajutrz po przybyciu do Frankfurtu, napisałem do pana Guldena, do Katarzyny i do ciotki Grédel; można sobie wyobrazić z jakim rozczuleniem. Mówiąc do nich zdawało mi się, że jestem z nimi; opowiadałem im, jak byłem znudzony, jakiej uprzejmości doznałem był w Moguncyi, jakiej odwagi potrzebowiałem, by nie zostać w tyle. Powiedziałem im także, iż dzięki Bogu, dotąd zdrow byłem; że czułem się silniejszym jak przed wyjazdem i że całuję ich po tysiąc i tysiąc razy.

Pisałem w kwaterze naszej, wśród kolegów i wszyscy phalsburczycy przeszylii przezemnie ukłony rodzinom swoim. Jednem słowem, była to jeszcze przyjemna chwila.

Potem napisałem do Moguncy, do poczciwych ludzi na *Kapuzigner-Strasse*, którzy niejako uratowali mnie w nieszczęściu mojem. Powiedziałem im, że z powodu apelu musiałem wyjść z rana; że spodziewałem się być zobaczyć się jeszcze z nimi i podziękować, ale że batalion wyruszył zaraz do Frankfurtu, a zatem, że muszą mi to przebaczyć.

Tegoż dnia, po południu otrzymaliśmy pułkowe ubranie. Żydzi tuzinami zbiegli się aż pod arkady i każdy z nas sprzedał im swe ubranie. Zachowałem tylko moje koszule, pończochy i trzewiki, włosi wielką mieli przytem trudność, nie mogli bowiem dać się zrozumieć kupcom, którzy chcieli wziąć wszystko za darmo; ale geneuńscy tak byli przebiegli jak żydzi i spory między nimi przeciągnęły się aż do nocy. Kaprale nasi nie jedną przy tem wychylił szklankę; trzeba było zrobić z nich przyjaciół dla siebie, bo rano i wieczór, musztrowali nas na dziedzińcu śniegiem pokrytym. Markietanka Krystyna zawsze siedziała w kącie swoim, z fajerką pod nogami. Okazywała ona poważanie dla młodych ludzi z dobrej familii, jak nazywała tych, co nieoszczędzali grosza. Iluż z pomiędzy nas dawało wyłudzić od siebie aż do ostatniego szeląga, dla tej nazwy młodzieńca z dobrej familii! Potem stawali się hołyszami! ale cóż chcecie? próżność... próżność... gubi ona cały rodzaj ludzi, od rekrutów aż do generałów.

Przez cały ten czas codziennie przybywali rekruci z Francji, a wozy pełne rannych z Polski. Jaki widok przed szpitalem Świętego Ducha, po drugiej stronie rzeki! Był to konwój nieskończony. Wszyscy

ci nieszczęśliwi mieli, jedni odmrożone nogi, drudzy rąsy, ci ręce, tamci nogi; kładziono ich do śniegu, aby się nie rozpadli w kawały. Nie można już było wędzniej się ubrać: w kobiecych spodnicach, w czapkach o sierści wyskubanej, w popsutych kaszkielach, w kurtkach kozaekich, w chustkach i koszulach okręconych koło nóg; wylazili z wozów, czepiając się jak mogli, i jak dzikie zwierzęta patrzyli na ludzi, z oczami głęboko wpadłymi i z najeżonymi włosami. Cyganie, co to sypiają po lasach, śitowały się nad nimi, a jednak byli to jeszcze najszczęśliwsi, uszli bowiem z rzezi, podczas kiedy tyżące kolegów ich zginęło w śniegach albo na polu bitwy.

Klipfel, Zébédé, Furst i ja, odwiedzaliśmy tych nieszczęśliwych; opowiadali oni nam całą porażkę, poczwawszy od Moskwy i przekonałem się wówczas, że 29-ty biuletyn, tak straszny, prawdę tylko powiedział.

Historje te podbudzały nas przeciw rossyanom; niektórzy mówili: „Ha! niech tylko wojna rozpecznie się na nowo; zobaczą oni teraz... to jeszcze nie koniec... to jeszcze nie koniec!” Zawziętość ta ich nie samemu zaczęła się udzielać i czasami myślałem: „Józefie, czy i ty tracisz już teraz głowę? Rossyanie ci bronili kraju swego, swoich rodzin, wszystkich to co ludzie mają najświętszego na świecie. Gdyby nie byli bronili ich, wówczas to słusznie byłiby asznużyli na pogardę!”

W tym czasie zdarzyło się coś nadzwyczajnego.

Historja Rekruta.



Trzeba wam wiedzieć, że Zébédé, mój towarzysz terazniejszy Ióaka, był synem grabarza w Phalsburgu i że pomiędzy sobą nazwaliśmy go czasem: „Grabarzem”. Nic mu to nie szkodziło od nas. Ale, pewnego wieczora, po musztrach, kiedy przechodził przez dziedziniec, huzar jeden woła na niego:

— Ha! Grabarzu, pomóżcie mi zanieść te kule słomy.

Zébédé odwrócił się na to i rzekł:

— Nie nazywam się Grabarzem i sami nieście wasze kule słomy! Czy macie mię za bydlę?

Wówczas tamten głośniejsze jeszcze krzyknął:

— Rekrucie, pójdź tutaj, a nie to strzeż się!

Zébédé ze swym wielkim, zakrzywionym nosem, z szermi swemi oczkami i wązkiemi ustami, nie odznaczał się łagodnością charakteru. Zbliżył się do huzara i spytał:

— Co mówicie?

— Mówię, żebyś podniósł te kule słomy i to prędko, słyszysz, rekrucie?

Był to stary żołnierz z wąsami i faworytami rudemi, podstrzyżonemi jak szczotka, à la Chamboran. Zébédé chwycił go za jeden z faworytów jego; ale tamten wyciął mu na to dwa potężne policzki. Pomimo to garść faworytów została w ręku Zébédé'go; na kłótnię tę zbiegło się wielu ludzi i huzar podniósłszy palec, rzekł do niego:

— Rekrucie, jutro rano usłyszysz o mnie.

— To dobrze, rzekł Zébédé, zobaczymy. Wy także o mnie usłyszycie, stary.

Zaraz przyszedł opowiedzieć mi to, a ja wiedząc o tem, że oprócz motyki nigdy dotąd nie miał nic w ręku, zacsąłem się mocno obawiać o niego.

— Słuchaj, Zébédé, mówiłem mu, ponieważ nie możesz dezertować, nic ci zatem nie pozostaje, jak przeprosić... tego starego... wszyscy ci starszy bowiem rąbią się okrutnie, wyczyli się tego w Egipcie, Hiszpanii i dalej jeszcze. Wierzaj mi! Jeżeli chcesz, pożyczę ci talara, postawisz mu butelkę, to go ujmie.

Ale on, zmarszczywszy brwi, nie chciał słyszeć o niczem.

— Wolałbym już zaraz się obwiesić, aniżeli przeproszać. Kpię sobie ze wszystkich huzarów razem. Jeżeli oni rąbią, ja mam długą rękę i szpada moja tnie również i znajdzie sobie drogę do jego kości, tak jak jego szpada do mego ciała.

Oczuł jeszcze policzki.

Prawie zarazże zjawili się: fechtmistrz Chary, kapral Fleury, Klipfel, Furst i Léger; wszyscy przysławiali słusność Zébédé'mu, a fechtmistrz powiedział, że trzeba krwi dla obmycia policzków i że honor rekrutów wymaga, ażeby się bili.

Zébédé odpowiedział, że phalsburczycy nigdy się nie bali szpady i że on gotów jest. Fechtmiistrz poszedł wówczas do kapitana kompanii, Florentyna, najpiękniejszego mężczyzny jakiego sobie wyobrazić można, wysokiego, suchego, szerokiego w ramionach, o nosie prostym i który otrzymał był order z rąk samego cesarza, w bitwie pod Eylau. Kapitan znalazł to bardzo prostem, żeby się bito za policzek powiedział nawet, że będzie to dobrym przykładem dla rekrutów i że jeśliby Zébédé nie bił się, to nie godzien byłby pozostać w 3 cjm batalionie 6-go pułku.

Przez całą tę noc nie mogłem zmrúżyć oka; slyszalem, jak towarzysz mój chrapał i myślałem: „Biedny Zébédé, nie bédziesz ty już jutro chrapał”. Drżałem na myśl, że leżałem przy takim człowieku. Nakoniec zasnąłem nadednieni, kiedy nagle uczulem chłodne powietrze; otwieram oczy i cóż widzę? staro-rego rudego huzara, który ściągnął był kołdrę z łózka naszego i mówił:

— No, wstawaj, próżniaku, niech cię nauczę, z jakiego jestem ciasta.

Zébédé powstał spokojnie i odpowiedział:

— Spałem, weteranie, spałem.

Tamten, usłyszawszy że go nazywają weteranem, chciał się rzucić na kolegę mego; ale dwa ogromne draby, którzy mu służyli za świadków, zatrzymali go, a zresztą wszyscy phalsburczycy byli tam także.

— No... no... śpieszmy się!... wołał stary.

Ale Zébédé ubierał się nie śpiesząc się. Po chwili rzekł:

— Czy pozwolą nam wyjść z koszar?

— Za kózka jest miejsce, gdzie bédziecie się mogli zmierzyć, odpowiedział jeden z huzarów.

Było to miejsce pełne pokrzyw, za koszem kózki; mur otaczał je dokoła i z naszych okien dobrze je widzieć można było; znajdowało się tuż na dole, od strony rzeki.

Zébédé włożył swój surdut i, zwracając się w stronę, rzekł:

— Józefie i ty, Klipfelu, biorę was na świadków.

Ale ja potrząsnę głową.

— A więc ty, Fursiu, chodź! rzekł.

I wszyscy razem zeszli ze schodów.

Zdawało mi się, że Zébédé zgubiony; zmartwił mnie to mocno i myślałem sobie: „Nie dosyć, że rosanie i niemy mordują nas, trzeba żeby jeszcze swoi to robili”.

Wszyscy nasi w kwaterze stali u okien; ja tylko jeden siedziałem na mojem łózku. W pięć minut potem zbladłem cały, usłyszawszy chrzest pałaszów na ścianie; ani kropli krwi nie było w żyłach moich.

Ale nie trwało to długo, bo nagle Klipfel zawołał:

— Trafiony!

Nie wiem, już jakim sposobem dostałem się wówczas do okna i patrząc ponad głowami innych, uj-łem huzara opartego o mur i Zébédé'go, który się podnosił z ziemi z szablą czerwoną od krwi. W czasie bitwy pośliznął się był na kolana; szabla starego przeszła ponad ramieniem jego, a on nie tracąc ani sekundy, pehnął swoją w brzuch huzara. Gdyby na swoje szczęście nie był się pośliznął; sta-ry byłby mu przeszył serce.

Oto, co jednym rzutem oka ujrzałem na dole.

Huzar pochylił się ku ścianie, świadkowie jego podtrzymywali go pod ręce, a Zébédé blady jak śmierć, trzymał na swoją szablę, podczas kiedy Klipfel powołał mu jego surdut,

Prawie w teje chwili uderzono na pobudkę ran- i zeszliśmy na dół na apel. Działo się to 18 lu- Tegoż dnia otrzymaliśmy rozkaz spakowania ministrów naszych i wyruszyliśmy z Frankfurtu do Wigenstadt'u, gdzie pozostaliśmy aż do 8 marca. Wtenczas już wszyscy rekruci umieli robić broń

i znali szkołę plutonu. Z Séligenstadt'u wyszliśmy 9 marca do Schweinheim'u a 24 marca 1813 roku batalion połączył się z dywizją w Aschaffenburgu, gdzie marszałek Ney zrobił przegląd nas.

Kapitan kompanii nazywał się Florentin, porucznik Bretonville; komendant batalionu Gêmeau, kapitan adjutant major Vidal, pułkownik pułku Zapfel, generał brygady Ladoncette, a generał dywizji Souham: — każdy żołnierz powinien wiedzieć o tem, jeżeli nie chce chodzić na oślep.

## XI.

Śniegi tajed zaczęły 18 czy 19 marca. Pamiętam, że podczas wielkiej rewii w Aschaffenburgu na szerokiej płaszczynie, z której jak okiem sięgnąć widać było Men, deszcz padał bezustannie od dziesiątej godziny rano do trzeciej po południu. Na lewo mieliśmy zamek, z którego wysokich okien ludzie przypatrywali się nam wygodnie, podczas kiedy woda ściekała nam do trzewików. Na prawo kłębiła się rzeka, którą widać było za przez angled.

W dodatku, dla odświeżenia nam myśli, co chwile wołano na nas: „Prezentuj broń! Broń na ramię!”

Marszałek, otoczony sztabem swoim, posuwał się powoli. Zébédé pocieszał się tem, że ujrzymy najwaleczniejszego z walecznych. Ja myślałem sobie: „Żeby mi mógł oglądać jako prywatnego człowieka, toby mi zrobiło więcej przyjemności”.

Nakoniec zatrzymał się przed nami i widzę go jeszcze w jego wielkim kapeluszu zmoczonym od deszczu i niebieskim surducie pokrytym haftem i w wielkich butach. Był to piękny mężczyzna, rudo-blondyn, z nosem zadartym i z żywymi oczyma zdawał się być strasznie stanowczym. Ale nie był dumny, bo kiedy przejeżdżał przed kompanią i kapitan prezentował broń przed nim, nagle odwrócił się na swym wielkim koniu i rzekł głośno:

— Patrzcie, to Florentin!

Na to, kapitan wyprostował się, nie wiedząc co ma odpowiedzieć. Zdaje się, że marszałek i on byli razem, prostymi żołnierzami za czasów Rzeczypospolitej. Nakoniec kapitan odpowiedział:

— Tak, marszałku, Sebastian Florentin.

— Na honor, Florentynie, rzekł marszałek wyciągając rękę w stronę Rossyi, rad jestem, że cię spotykam, sądziłem żeś tam poległ.

Cała kompania nasza była zadowolniona, a Zébédé rzekł do mnie:

— Oto co się nazywa człowiek; dałbym się porąbać dla niego!

Nie rozumiałem dla czego Zébédé chciał się dać porąbać, dla tego że marszałek przywitał się ze swym dawnym kolegą.

To wszystkie moje wspomnienia z Aschaffenburga. Wieczorem wróciliśmy na wieczerzę do Schweinheim'u, miejsca obfitującego w wina, konopie i zboże; wszyscy tam patrzyli na nas z ukosa.

Mieszkaliśmy po trzech lub czterech po domach tak jak garnizonowi i codziennie mieliśmy mięso,

wołowinę, słoninę lub baraninę. Gospodarski chleb bardzo był dobry i wino także. Niektórzy z naszych udawali, że nic im nie smakuje, sądząc, że takim sposobem uchodzić będą za wielkich panów; ale mylili się bardzo, bo słyszałem, jak mieszczanie mówili między sobą po niemiecku:

— Ci, w swoim kraju są żebrakami! Gdyby pójść do Francji, toby kartofli nawet nie znalaziono w ich piwnicy.

I nigdy się nie mylili i dla tego nieraz potem myślałem, że ci co są tak wybredni u innych, u siebie muszą przestawać na bardzo małym.

Co do mnie, byłem bardzo rad, że mię tak karmiono i byłbym chciał, żeby to trwało przez całą kampanię. Dwaj rekruci z Saint-Dié byli razem ze mną u właściciela poczty, którego wszystkie prawie konie zabrano do kawalerji naszej. Nie mogło to wprowadzić go w dobry humor, ale nie mówił nic i od rana do wieczora palił fajkę za piecem. Żona jego była wysoka i otyła, a dwie córki bardzo ładne. Bały się one nas bardzo i uciekały, jak tylko spostrzegły wracających nas z musztry lub z warty na drugim końcu wsi.

Wieczorem czwartego dnia, kiedyśmy kończyli wieszczarć, koło godziny siódmej przyszedł starzec jakiś w czarnym surducie; miał głowę siwą i fizjonomię wzbudzającą szacunek. Pozdrowił nas, potem przemówił po niemiecku do właściciela poczty:

Czy to nowi rekruci?

— Tak, panie Slenger, odpowiedział tamten, nie pozbedziemy się nigdy ludzi tych. Gdybym mógł potrafić ich wszystkich, toby się prędko skończyło.

Na to odwróciłem się spokojnie i rzekłem:

— Rozumiem po niemiecku... nie mówcie takich rzeczy.

Zaledwie właściciel poczty usłyszał te słowa, wielka jego fajka wypadła mu prawie z rąk.

— Bardzoś nieostrożny w słowach, panie Kalkreuth! rzekł starzec; pomyślcie coby się z wami stało, gdyby nie ten młody człowiek, ale ktoś inny usłyszał was.

— Jest to tylko taki sposób mówienia, odpowiedział grubas. Cóż chcecie? kiedy zabierają ci wszystko, kiedy latami całemi obdzierają cię, to człowiek nie wie nakoniec co ma mówić i gada bez sensu.

Starzec ten, był to sam pastor Schweinheim'u; zbliżył się do mnie i rzekł:

— Postąpiłeś pan jak uczciwy człowiek; proszę wierzyć, że pan Kalkreuth niezdolny jest szkodzić nikomu, nawet nieprzyjaciołom naszym.

— Wierzę temu panie, odpowiedziałem, inaczej nie byłbym jadł z takim apetytem kiełbas jego.

Usłyszawszy te słowa, właściciel poczty począł się śmiać, wielkimi swemi rękami trzymając się za brzuch, jak dziecię i zawołał:

— Nigdy nieprzypuszczałem, że francuz rozśmieszy mię.

Moi dwaj koledzy wyszli byli na wartę i byłem sam w domu. Właściciel poczty przyniósł wówczas butelkę starego wina; siadł przy stole i żądał, byśmy pili razem, na co przystałem chętnie. I od dnia tego aż do naszego wyjazdu, ludzie ci okazywali mi wiele zaufania. Co wieczór rozmawialiśmy z sobą przy

kominku; przychodził pastor i młode dziewczęta nawet schodziły i słuchały naszej rozmowy. Były to blondynki z niebieskimi oczami, jedna mogła mieć lat ośmnaście, druga dwadzieścia; upatrywałem w nich pewne podobieństwo do Katarzyny, co mi wzruszało serce.

Wiedziano o tem, że zostawiłem w kraju ukochaną moję, bo nie mogłem się powstrzymać od powiedzenia tego i to je rozrzewniało.

Właściciel poczty gorzko skarżył się na francuzów; pastor powiadał, że to naród chępliwiy i rozpustny i że z tego powodu całe Niemcy powstaną wkrótce przeciw nam; że złe obyczaje żołnierzy naszych i chciwość generałów dokuczyły im już i że utworzono przeciwko nam *Tugendbund* <sup>1)</sup>.

— W ostatnich czasach powiadał mi, mówiliście nam o wolności, lubiliśmy słyszeć o tem i życzenia nasze były raczej po waszej stronie, aniżeli po stronie króla pruskiego i cesarza austryackiego; prowadziliście wojnę z naszymi żołnierzami a nie z nami samymi; rozpowszechnialiście idee, które wszystkim wydawały się sprawiedliwemi i wielkimi i dla tego nie mieliście do czynienia z ludami, ale z ich władcami. Dzisiaj, to zupełnie co innego, całe Niemcy pójda, cała młodzież powstanie i teraz my będziemy mówili Francyi o Wolności, o Cnocie, o Sprawiedliwości. Ten kto o tem mówi zawsze jest silniejszym, bo ma przeciwko sobie wszędzie, tylko złych ludzi, za sobą zaś ma zawsze młodocę, odwagę wielkich

idei, wszystko to podnosi duszę nad poziom egoizmu i pozwala bez żalu nieść życie w ofierze. Długi czas było to waszym udziałem, ale zrzekliście się tego wreszcie. Generałowie wasi w owych czasach, pamiętam, bili się za Wolność i spali na słomie, w stodółach, jak prości żołnierze; byli to straszni ludzie! Teraz potrzebują kanap, większymi są arystokratami niż nasi arystokraci i bogatsi jak nasi bankierowie. I to robi, że wojna, najpiękniejsza rzecz niegdyś, — sztuka, ofiara, poświęcenie się za ojczyznę, — zamieniła się w rzemiosło, które przynosi więcej niż sklep. Zawsze to jeszcze bardzo szlachetnie, ponieważ noszą się przytem szlify, co innego jest jednak bić się za wieczne idee; a co innego dla wzbogacenia sklepu swego.

Dzisiaj, na nas przyszła kolej mówić o Wolności i Ojczyźnie: i dla tego myślę, że wojna ta skończy się nieszcześliwie dla was. Wszystkie myślące istoty, od prostych studentów do profesorów teologii, pójda przeciwko wam. Zdaje się wam, że macie za sobą sasów, bawarów, badeńczyków, hessów — mylicie się: dzieci starych Niemiec wiedzą dobrze, iż największą zbrodnią i największą hańbą jest walczyć przeciw braciom. Królowie mogą sobie zawieierać z wami przymierza, ale pomimo tych przymierzy, ludy zawsze będą przeciwko wam i będą broniły krwi swojej i swojej ojczyzny: to co Bóg nakazuje nam kochać! i czego nie możemy zdradzić bez występku. Wszystko wam spadnie na kark; austriacy będą was mordowali, jak tylko będą mogli, pomimo małżeństwa cesarza waszego z Maryą Ludwiką;

<sup>1)</sup> Związek emoty.

wszyscy już zaczynają pojmować, że interesa królów nie są wszystkim na świecie i największy geniusz nie może zmienić tego, co jest w naturze rzeczy.

Tak mówił tonem poważnym pastor; nie bardzo dobrze wówczas jeszcze rozumiałem te słowa i myślałem sobie: „Słowa są zawsze słowami tylko, a strzały strzałami. Jeżeli bić się nam przyjdzie tylko ze studentami i z profesorami teologii, to wszystko dobrze pójdzie. A co do reszty, karność powstrzyma hessów, bawarów i sasów, od opuszczenia nas tak, jak zmusza do bicia się nas francuzów, chociaż nie jeden nie ma do tego ochoty. Czyż żołnierz nie jest posłuszny kapralowi, a kapral sierżantowi i tak dalej aż do marszałka, który robi to, co król chce? Widać, że pastor ten nigdy nie służył w wojsku, bo wiedziałby, że myśli niczem są i że rozkaz jest wszystkim; ale nie chcę mu zaprzeczać, bo właściciel poczty nie przyniosłby mi butelki wina po wieczery. Niech sobie myśli, co mu się podoba, co do mnie, pragnę, ażebyśmy nie spotkali nikogo więcej oprócz teologów”.

Kiedy tak gawędziliśmy, nagle, 27 marca rano przyszedł rozkaz wyruszenia. Batalion udał się na nocleg do Lauterbachu, a nazajutrz do New-Kirchen i odtąd szliśmy już ciągle, szliśmy nieustannie. Ci, którzy i wtenczas jeszcze nie przyzwyczaili się do noszenia tornistra, nie mogli się tłumaczyć brakiem wprawy; bo, dzięki Bogu, nie mało zrobiliśmy drogi! Ja od dawna już przestałem potnieć: moimi pięćdziesięciu kartuszami u ładownicy, moim tornistrem i fuzją na plecach, nie wiem nawet czy kulałem jeszcze.

Nie sami tylko byliśmy w drodze; wszystko szło, wszędzie spotykaliśmy idące pułki, oddziały kawalerji, działa, jaszczyki z prochem i kulami i wszystko to dążyło do Erfurtu, jak po wielkiej ulewie tysiące strumyków wszystkiemi drogami dążą do rzeki.

Sierzanci nasi mówili do siebie: „Zbliżyliśmy się... będzie gorąco!” My zaś myśleliśmy: „Tem lepiej! Z powodu tych łotrów prusaków i rossyan, pobrano nas: gdyby byli spokojnie siedzieli, my byśmy byli pozostali we Francji!”

Myśl ta goryczą nas przejmowała.

Zresztą, wszędzie można spotkać ludzi, którzy lubią bić się: Klipfel i Zébédé mówili tylko o tem, jak się rzucą na prusaków; nie chcąc pokazać się mniej odważnym niż oni, i ja także mówiłem, że mnie to cieszy.

Dnia 8 kwietnia batalion wszedł do Erfurtu, miejsca bardzo obronnego i bardzo bogatego. Nigdy nie zapomnę, jak w chwili kiedy na placu, przed koszarami kazano nam rozejść się, wagmeister wręczył pakiet listów sierżantowi kompanii. Między listami temi był jeden do mnie. Natychmiast poznałem pismo Katarzyny, co takie wrażenie sprawiło we mnie, że nogi trzęsły się podemną.

Zébédé wziął moją fuzję, mówiąc: „Chodź!”

On także był rad, że będą wiadomości z Phalsburga.

Schowałem list mój do kieszeni; wszyscy nasi szli za mną, chcąc slyszec, jak go będę czytał. Ale ja chciałem naprzód sięść na mojem łóżku spokojnie, zanim go otworzę i dopiero kiedy nas ulokowano

na Finckmatt i kiedy fuzya moja stanęła w kozłach, wziąłem się do czytania listu. Tamci wszyscy pochylili się nad plecami memi. Łzy spływały mi po twarzy, bo Katarzyna opowiadała mi, jak się modli za mną.

Koledzy, usłyszawszy to, mówili:

— Jesteśmy pewni, że i za nas także modlą się!

Jeden mówił o swej matce, drugi o siostrach swych, inny znowu z swej ukochanej.

Nakoniec pan Gulden pisał, że w mieście wszyscy są zdrowi, że powinienem nabrać otuchy; bo te nieszczęścia niedługo potrwają. Zalecał mi szczególnie, bym zawiadomił kolegów, że pamiętano o nich, i że rodziny ich uskarżali się na to, iż nie mają żadnej od nich wiadomości.

List ten wielką nam wszystkim przyniósł pociechę.

I kiedy przypomnę sobie, że mieliśmy wówczas 8 kwietnia i że wkrótce miały nastąpić wielkie bitwy, uważam list ten jako ostatnie pożegnanie z krajem dla połowy z pomiędzy nas: nie mieli oni słyszeć nigdy już więcej o rodzinach swych, o swoich przyjaciółkach, o tych których kochali na świecie.

## XII.

Wszystko to, jak powiadał sierżant Piotr, było tylko wstępem do rzeczy i taniec dopiero się miał rozpocząć.

Tymczasem pełniliśmy służbę w cytadelli wraz z 27 mym batalionem i z wierzchołka szanieów widzie-

liśmy wszystkie dokoła okolice pokryte wojskami, z których jedne stały w biwakach, drugie rozłożone były po wioskach.

Dnia 18 go, kiedy wracałem od bramy Warthau, gdzie trzymałem wartę, sierżant który mię był polecił, rzekł:

— Strzelcze Berthe, cesarz przyjechał.

Nikt jeszcze nie słyszał o tem i ja mu odpowiedziałem:

— Z przeproszeniem, panie sierżancie, wychylił się właśnie po kieliszku z saperem Merlinem, który przeszedł nocy stał na warcie u drzwi generała i nic mi o tem nie mówił.

Na to on, mrugając oczami, rzekł:

— Wszystko się rusza, wszystko jest w powietrzu.... Ty tego nie rozumiesz jeszcze, ale on jest tam, czuję to przez skórę. Dopóki jego nie ma, wszystko się robi przez połowę; a teraz patrz tam, jak te sztafety latają po drodze, wszystko się ożywia. Zaczekaj do pierwszego tańca, zaczekaj, a zobaczysz: kaiserliki i kozacy nie potrzebują okularów, by się dowiedzieć, czy on jest między nami, czują to zaraz.

To mówiąc sierżant śmiał się z pod długich wąsów swoich.

Miałem przeczucie, że może mię spotkać wielkie nieszczęście, a pomimo to byłem zmuszony dobrą miętę.

Sierżant nie mylił się; tegoż dnia koło godziny trzeciej popołudniu, wszystkie wojska stojące w okolicy miasta zaczęły się poruszać i koło godziny pią-

tej kazano nam stanąć pod bronią: marszałek księżę Moskwy wjeżdżał do miasta, wśród wielkiej ilości oficerów i generałów, którzy tworzyli sztab jego; prawie zaraz potem, generał Souham, mężczyzna mający sześć stóp wzrostu, siwy zupełnie, wszedł do cytadelli i na placu zrobił przegląd naszych szeregów. Głosem silnym, tak że wszyscy mogli go słyszeć, rzekł do nas:

— Żołnierze! będziecie należeć do przedniej straż 3-go korpusu, starajcie się pamiętać o tem, żeście francuzami. „*Niech żyje Cesarz!*”

Wszyscy krzyknęli na to: „*Niech żyje Cesarz!*” co strasznie echem odbiło się na placu.

Generał odjechał z pułkownikiem Papfelem.

Tegoż wieczora miejsce zajęli hessi, a my opuściliśmy Erfurt z 10-tym pułkiem huzarów i pułkiem badenckich strzelców. O siódmej czy ósmej godzinie rano stanęliśmy przed miastem Weimar i przy wschodzącym słońcu ujrzeliśmy ogrody, kościoły, domy i stary zamek na prawo.

W tem miejscu kazano nam rozłożyć się na noc, a huzary pojechali na zwiady do miasta. Koło godziny dziewiątej, kiedyśmy zajęci byli gotowaniem zupy, nagle usłyszeliśmy strzały; huzary nasze, spotkawszy na ulicach huzarów pruskich, strzelali i bili się z nimi. Ale było to tak daleko, że nie widzieliśmy można powiedzieć nic z tej walki.

W godzinę potem huzary wrócili; stracili dwóch ludzi. Tak się rozpoczęła kampania.

Staliśmy tam pięć dni, podczas których cały 3 ci korpus nadsięgnął. Ponieważ należeliśmy do przedniej

straży, trzeba było przeleć wyruszyć naprzód, w stronę Sulra i Warthau. Wtenczas to ujrzeliśmy nieprzyjaciela: kozaków, którzy zawsze cofali się po za obręb fuzyi i im bardziej oni cofali się, tem większej my nabieraliśmy odwagi.

Gniewało mię to, że Zébédé mówił na to z miną niezadowolonia:

— Czyż się nigdy nie zatrzymają? czyż się nigdy nie zatrzymają?

Ja myślałem sobie: „Cóż lepszego możemy sobie życzyć, jeżeli oni odchodzą? Wygramy, nie poniosły szkody żadnej”.

Ale nakoniec zatrzymali się po drugiej stronie rzeki dosyć szerokiej i głębokiej; widzieliśmy tłumy ich, jak czekały tylko tego, by nas móżd pomordować; jeżeli tylko na nieszczęście nasze przepawimy się przez rzekę.

Było to 29 kwietnia, dzień już miał się ku schyłkowi i niepodobna było widzieć pięknie zachodzącego słońca. Po drugiej stronie rzeki, jak okiem sięgnąć, rozciągała się płaszczyna zielona, a na czerwonym pasie nieba roili się jeźdźcy w kaszkietach naprzód nasuniętych, w zielonych kurtkach, z małą ładownicą pod ramieniem i w jasno niebieskich spodniach; za nimi było także mnóstwo lanc; sierżant Pinto poznał, że to są rossyjscy strzelcy konni i kozacy. Poznał on także rzekę i powiedział nam, że się nazywa Saalą.

Zbliżono się o ile tylko można było do rzeki, strzelając do jeźdźców, którzy cofnęli się dalej, a nawet znikli w głębi czerwonego nieba. Rozłożono wówczas



bildaki przy rzece i rozstawiono warty. Po lewej stronie naszej była wielka wieś, wysłano do niej oddział dla dostania mięsa za pieniądze, bo od przyjazdu cesarza wydany był rozkaz płacenia za wszystko.

W nocy, podczas kiedy gotowaliśmy wieczerzę, nadeszły inne pułki dywizyi; rozłożyli biwaki swoje także wzdłuż rzeki; wspaniały to był widok owych ognistych smug drżących na fali wód.

Nikomu spać się nie chciało; Zébédé, Klipfel, Furst i ja byliśmy przy jednym kociołku i patrząc na siebie, mówiliśmy:

— Gorąco będzie jutro, jeżeli mamy przejść rzekę! Ci, którzy piją sobie teraz piwo w Phalsburgu pod *Dzikim Człowiekiem*, nie domyślają się tego, że my siedzimy tutaj, nad brzegiem rzeki, jedząc kawałek krowy i że będziemy spali na ziemi szukając reumatyzmu na starość, nie mówiąc już o cięciach szabli i strzałach, które spotkają nas może prędzej jak się spodziewamy.

— Bah! mówił Klipfel, to przynajmniej nazywa się żyć. Cóż mi to za życie, wiecznie drzemać pod pierzyną i przepędzać dnie jeden do drugiego podobne. Chcąc prawdziwie żyć, trzeba żeby dzisiaj było dobrze, jutro źle; takim sposobem zmiana staje się przyjemną. A co do strzałów, cięć szabli i bagnatów, dzięki Bogu tyle się im od nas dostanie, ile nam od nich.

— Tak, mówił Zébédé zapalając fajkę, co do mnie, spodziewam się, że jeżeli przetożę broń moją do lewej ręki, to nie dla tego, żem nie dopłacił ciosów, które mnie się dostały.

Tak rozmawialiśmy od dwóch czy trzech godzin; Léger położył się na surducie swoim z nogami odwróconemi w stronę ognia i spał, kiedy warta krzyknęła:

— Kto tam? o paręset kroków od nas.

— Francya!

— Jaki pułk?

— Szósty lekki.

Był to marszałek Ney i generał Brenier z oficerami pontonierów i z działami. Marszałek odpowiedział był szósty lekki, bo z góry wiedział gdzie jesteśmy: to nas ucieszyło, a nawet napelnilo dumą. Widzieliśmy go przejeżdżającego na koniu z generałem Souham'em i pięciu lub sześciu wyższymi oficerami i pomimo nocy, poznaliśmy ich bardzo dobrze; niebo iskrzyło się od gwiazd, księżyc wschodził, było więc jasno jak w biały dzień.

Zatrzymali się przy jednym z kolan rzeki, gdzie ustawiono sześć dział i prawie zaraz potem nadeszli pontonierzy z długim szeregiem wozów naładowanych dębowemi tarcicami, kołami i wszystkim tem co potrzebne było do rzucenia dwóch mostów. Nasze huzary latali wzdłuż rzeki zbierając łodzie, kanonierzy stali przy działach; gotowi do zmiatania tych, którzyby chcieli przeszkadzać robocie. Długo patrzyliśmy na posuwającą się pracę. Ze wszystkich stron rozlegał się okrzyk: „Kto idzie? — kto idzie?” Były to nadciągające pułki trzeciego korpusu.

O świcie zasnąłem nakoniec; Klipfel dobrze mię musiał targać, zanim obudził. Ze wszystkich stron bębniiono na apel; moty były skończone, miano przejść Saalę.

Wielka była rosa; każdy śpieszył wytrzeć swą fuzję, zwinąć surdut i zapiąć go na sprzączki ponad tornistrem. Jeden drugiemu pomagał; stawano w szeregi. Mogło być wówczas koło czwartej godziny rano. Wszystko zdawało się być szarem, a to z powodu mgły podnoszącej się nad rzeką. Dwa bataliony przechodziły już mosty, żołnierze jeden za drugim, oficerowie i chorągiew po środku. Wydawało to głuchy huk. Działa i jaszczyki przeszły następnie.

Kapitan Florentin kazał nam właśnie podsypać prochu na panewkę, kiedy generał Souham, generał Chemineau, pułkownik Zapfel i inni i nasz komendant przybyli. Batalion ruszył z miejsca. Wciąż patrzyłem, czy moskale nie lecą na nas wielkim galopem, ale nic się nie ruszało.

W miarę tego jak stawano na drugim brzegu, każdy pułk tworzył czworobok, z bronią u nogi. Koło godziny piątej cała dywizja była już po tamtej stronie. Mgła cofała się przed słońcem; o trzy ćwierci mili prawie, widzieliśmy po prawej stronie stare jakieś miasto, śpiczaste dachy jego, dzwonnice w kształcie kuli, pokrytą łupkiem i mającą krzyż na wierzchu, a dalej, po za miastem, zamek: był to Weisenfels.

Między nami a miastem, rozlegała się przestrzeń gruntu głęboko wpadłego. Marszałek Ney, który właśnie nadjechał był, chciał najprzód wiedzieć, co się w tem zagłębieniu znajduje. Dwie kompanie 27-go pułku rozsypały się przed kolumną wojska jako tyraliery, a czworoboki ruszyły zwykłym krokiem: oficerowie, sapery, trębacze we środku, działa między czworobokami, a jaszczyki za ostatnim szeregiem.

Zagłębienie to wszystkim wydawało się podejrzaniem, tembardziej, że dnia poprzedzającego widzieliśmy masę kawalerii, która nie mogła przecież cofnąć się aż na kraniec wielkiej płaszczyzny dokoła otwartej przed nami. Było to niepodobieństwem; to też byłem w największej niepewności i spodziewałem się czegoś. Pomimo to, widząc nas tak wszystkich porządnie idących w szeregu, z bronią nabitą, z chorągwią na czele, z generałami z tyłu, pełnymi ufności, — widząc nas tak idących bez pośpiechu, równo i całą masą stąpających w takt, wielkiej nabierałem odwagi. Mówiłem sobie: „Może zobaczywszy nas, uciekną: to byłoby najlepiej i dla nich i dla nas”.

Ja byłem w drugim rzędzie, a Zébédé w pierwszym i można sobie wyobrazić jak wytrzeszczałem oczy. Od czasu do czasu spoglądałem z boku na drugi czworobok, który się posuwał tuż po tej samej linii i w środku jego widziałem marszałka z jego sztabem. Wszyscy podnosili głowy, z wielkimi swemi kapelusami na bakier, by z daleka widzieć co się dzieje.

Tyralery dotarli wreszcie do parowu otoczonego krzakami i żywym płotem. Kilka chwil przedtem już postrzegłem był dalej, po drugiej stronie, jak się coś ruszało i świeciło niby kłosa poruszane wiatrem; przyszło mi na myśl, że mogli to być rossyanie ze swemi laucami i szablami; trudno mi jednak było wierzyć temu. Ale w chwili, kiedy nasi tyraliery zbliżali się do krzaków i kiedy na kilku punktach rozpoczęło się strzelanie, zobaczyłem wyraźnie, że

były to lence. Prawie zaraz błyskawica mignęła wprost naprzeciw nas i działa zagrzmiały. Rossyianie ci mieli armaty; wystrzelili właśnie do nas i jednocześnie usłyszałem jakiś szmer, odwróciłem więc głowę i ujrzałem, że w szeregach, na lewo, zrobiła się próżnia.

W tejże chwili usłyszałem jak pułkownik Zapfel mówił spokojnie:

— Ściśnijcie szeregi!

A kapitan Florentin powtarzał:

— Ściśnijcie szeregi!

Zrobiło się to tak prędko, że nie miałem czasu na rozmyślanie. Ale o pięćdziesiąt kroków dalej znowu błysnęło, znowu powstał podobnyż szmer w szeregach, — jak gdyby coś potężnie dmuchnęło, — i ujrzałem znowu lukę, teraz już po prawej stronie.

A że za każdym strzałem z dział rosyjskich, pułkownik zawsze powtarzał: „Ściśnijcie szeregi!” zrozumiałem, że za każdym razem robiła się próżnia. Zmniejszałem się zupełnie na tę myśl, ale trzeba było wciąż iść.

Nie śmiałem myśleć o tem, starałem się odwrócić od tego uwagę moją, kiedy generał Chemineau, który właśnie był wszedł do naszego czworoboku, zawołał straszny głośm:

— Stój!

Wtenczas spojrzałem i spostrzegłem całe masy rossyan nadchodzących ku nam.

— Pierwszy rząd, klękniij... złożyć bagnet! wołał generał. Przygotuj broń!

Ponieważ Zébédé przyklął, ja zatem byłem niejako w pierwszym rzędzie. Zdaje mi się, że widzę jeszcze posuwającą się w jednej linii całą tę masę koni i rossyan zgiętych naprzód, z szablą w rękę i że słyszę generała spokojnie mówiącego za nami, jak na musztrach:

— Baczność na komendę ognia. — Cel... Pal!

Strzeliliśmy ze wszystkich czworoboków naraz; kto-by pomyślał, że niebo się zapadło. Zaledwie dym rozszedł się trochę, ujrzelśmy rossyan odjeżdżających co koń wyskoczy; ale nasze działa grzmiały i kule leciały prędzej niż ich konie.

— Nabijaj! krzyknął generał.

Nie pamiętam, bym kiedy w życiu doznał takiej przyjemności.

„Patrzcie, patrzcie, odchodzą!” myślałem sobie.

I ze wszystkich stron rozległ się okrzyk: „*Niech żyje Cesarz!*”

Ucieszony mocno zacząłem krzyczeć tak jak inni. Trwało to z minutę. Czworoboki ruszyły znowu, zdawało się, że wszystko się już skończyło; ale o dwieście lub trzysta kroków od parowu, zrobił się wielki hałas i po raz drugi generał krzyknął:

— Stój!... klękniij, składaj bagnet!

Rossyanie wypadali z rowu i jak wiatr pędzili na nas. Lecieli wszyscy razem: ziemia trzęsa się. Nie słysząc już było komendy; ale zdrowy rozsądek żołnierzy francuzkich mówił nam, że należy strzelać w kupę i ogień szeregowy toczył się jak huk bębnow w czasie wielkich przeglądów. Ci co sami nie słyszeli tego, nie potrafili sobie wyobrazić jak to jest.

Niektórzy z rossyan docierali aż do nas; ukazywali się wśród dymu i nagle przejeżdżali gdzieś.

Po kilku chwilach, podczas kiedy tylko nabijano i strzelano, straszny głos generała Cheminau zagrział znowu: „Dość ognia!”

Nie miano prawie odwagi usłuchać; każdy śpieszył się raz jeszcze wystrzelić; ale kiedy dym rozszedł się, ujrano jak cała masa kawalerii dążyła na drugą stronę parowu.

Natychmiast rozwinięto czworoboki i ruszono kolumną. Bębny były, działa nasze grzmiały.

— Naprzód!... Naprzód!... *Niech żyje Cesarz!*

Spuściliśmy się do parowu po stosach koni i rossyan, którzy ruszali się jeszcze na ziemi i przyśpieszonym krokiem ruszyliśmy w stronę Weissenfelsu. Kozacy i strzelcy, z ładownicą na krzyżach i z pochylonym grzbietem, cwałem lecieli przed nami o ile im sił starczyło: bitwa była wygrana!

Ale w chwili, kiedyśmy się zbliżali do ogrodów miasta, działa ich, które uprowadzili byli z sobą, zatrzymały się po za rodzajem sadu i wysłały do nas kule, z których jedna złamała siekierę sapersa Merlina i jemu samemu urwała głowę. Jeden z kawalów topora strzaskał prawe ramię kaprała sapersów, tak że trzeba mu było odciąć to ramię wieczorem, w Weissenfelsie. Wtenczas puściliśmy się biegiem, bo im prędzej się dobiegnie, tem mniej czasu mają tamci do strzelania: każdy to dobrze rozumiał.

Wpadliśmy do miasta z trzech stron, przeskakując przez płoty, mury, przedzierając się przez ogrody i tyki do chmielu. Marszałek i generałowie biegli

za nami. Nasz pułk wszedł aleją, wysadzoną topolami a ciągnącą się wzdłuż ementarza; kiedyśmy wchodzili na plac, druga kolumna zdążyła wielką ulicą

Tu zatrzymaliśmy się i marszałek nie tracąc ani minuty wysłał 27-my pułk dla zajęcia mostu i przecięcia odwrotu nieprzyjacielowi. Tymczasem reszta dywizji nadsięgnęła i uszykowała się na placu. Burmistrz i radcy Weissenfelsu czekali już w bramy ratusza z powitaniem nas.

Kiedy uwolniono już nas wszystkich, marszałek księżę Moskwy przejechał przed naszym frontem i przemówił do nas wesoło:

— Dobrze... bardzo dobrze! Jestem zadowolony z was!... Cesarz będzie wiedział o pięknie waszego zachowaniu się... Dobrze bardzo!

Nie mógł się wstrzymać od śmiechu, żeśmy tak biegli na działa.

I kiedy generał Souham rzekł do niego:

— Idzie!

On odpowiedział:

— Tak, tak, we krwi to! we krwi!

Ja cieszyłem się, że mi się nic nie dostało w tej potyczce.

Batalion pozostał tam aż do dnia następnego. Rozkwaterowano nas u mieszczan, którzy bali się nas i dawali nam wszystko, czegośmy zażądali. 27-my pułk wrócił wieczorem i został umieszczony w starym zamku. Byliśmy bardzo pomęczeni. Wypaliwszy dwie lub trzy fajki razem, rozmawiając o naszej sławie, Zébédé, Klipfel i ja poszliśmy do sklepu stolarskiego, położonego na kupie wiorów, gdzie pozostaliśmy.

liśmy aż do północy; kiedy uderzono na apel. Chcąc nie chcąc, trzeba wstać. Stolarz dał nam wódki i wyszliśmy. Deszcz lał jak z wiadra. Też same nocny batalion wyszedł biwakować przed wsią Clépeu, o dwie godziny od Weissenfelsu. Nie bardzo byliśmy z tego zadowoleni z powodu deszczu.

Kilka innych oddziałów przyłączyło się do nas. Cesarz przybył do Weissenfelsu i cały 3-ci korpus miał udać się za nami. Przez cały dzień o tem tylko mówiono; niektórzy cieszyli się z tego. Ale na zajutrz koło godziny piątej rano, batalion wyruszył w przedniej straży.

Naprzeciw nas płynęła rzeka zwana Rippach. Zamiast zboczyć do mostu, przebyliśmy ją w temże miejscu. Mieliśmy wody po brzuch; wyciągając trzewiki moje z mułu, myślałem sobie: „Gdyby kto powiedział ci był o tem wówczas, kiedyś się bał dostać kataru u pana Guldena i kiedy zmieniłeś północzochy dwa razy na tydzień, nie chciałbyś temu wierzyć! Straszne to jednak rzeczy trafiają się w życiu!”

Kiedyśmy po drugiej stronie rzeki szli z biegiem jej między trzciną, ujrzelśmy na wzgórzach, na lewo, bandę kozaków obserwujących nas. Szli za nami powoli, nie śmiejąc uderzyć i przekonałem się wówczas, że muł może się przecieżyć przydać na coś.

Tak szliśmy więcej godziny, wielki dzień zrobił się, kiedy nagle na straszny ogień z ręcznej broni i huk dział, odwróciliśmy głowy w stronę Clépeu. Komendant na koniu, patrzył przez wierzchołki trzcin.

Trwało to długo; sierżant Pinto mówił:

— Dywizya posuwa się, uderzono na nią.

Kozacy patrzyli także i dopiero w godzinę potem znikli. Ujrzelśmy wówczas na płaszczynie na prawo dywizyę, która posuwała się w kolumnach i pędziła przed sobą masy kawaleryi rosyjskiej.

— Naprzód! krzyknął komendant.

I pobiegliśmy sami nie wiedząc dla czego, zawsze z biegiem rzeki; przybyliśmy do starego mostu, gdzie Rippach i Gruna łączyły się z sobą. Mieliśmy zatrzymać tutaj nieprzyjaciela; ale kozacy odkryli już nasz wybieg: całe ich wojsko cofnęło się za Grunę i przepłynęło ją w bród; kiedy dywizya połączyła się z nami, dowiedzieliśmy się, że marszałek Bessières został właśnie zabity kulą armatnią.

Od tego mostu poszliśmy do biwaków przed wioską Gorschen. Chodziły pogłoski, że zbliżała się wielka bitwa i że wszystko to co dotąd zaszło, było tylko małym początkiem dla wyprobowania, jak rekruci będą wytrzymywali ogień. Z tego można sobie wyobrazić, jakie myśli musiały przychodzić do głowy człowiekowi rozsądnemu, który wbrew własnej woli, znalazł się tam, między ludźmi tak lekkomyślnymi jak Furst, Zébédé i Klipfel, którzy się cieszyli tem, jak gdyby podobne rzeczy miały im przynieść coś więcej nad razy szabli, fuzyi lub bagnetu.

Resztę dnia tego a nawet część nocy, myśląc o Katarzynie, modliłem się do Boga, by mi zachował życie i ochronił ręce, potrzebne wszystkim ubogim do zapracowania na życie.

## XIII.

Rozpalono ogień na wzgórzu przed Gros-Gorschen; oddział jeden udał się do wsi i przyprowadził ztamtąd pięć czy sześć starych krów do zabicia na żywność; tak byliśmy znużeni, że wielu z pomiędzy nas więcej pragnęło spać niż jeść. Inne pułki nadeszły z działami i amunicją. Koło godziny jedenastej było nas dziesięć lub dwanaście tysięcy ludzi, a we wsi dwa tysiące: cała dywizja Souhama. Generał i oficerowie ordynansowi stali w wielkim młynie, na lewo, przy strumieniu, zwanym Floss-Graben. Warty ciągnęły się dokoła wzgórza na wystrzał fuzji

Ja także zasnąłem nakoniec, z wielkiego znużenia; ale co godzinę budziłem się i po za nami od strony drogi, idącej od starego mostu Posurna i ciągnącej się aż do Lutzen i Lipska, słyszałem wielki hałas w nocy: huk wozów, dział, jaszczyków, wzmagał się i zmniejszał kolejno wśród ciszy nocnej.

Sierżant Pinto nie spał: palił fajkę susząc nogi przed ogniem. Jak tylko który z nas poruszył się, on się odzywał do niego:

— No i cóż, rekrucie? mówią.

Ale udawano, że się go nie słyszy, odwracano się ziewając i zasypiano na nowo.

Na zegarze Gros-Gorschen wybiła piąta, kiedy się obudziłem, kości krzyżów i bioder miałem jakby potłamane, zapewne od chodzenia po mule. Jednakże, rękami wspierając się o ziemię podniosłem się i usiad-

łem żeby się ogrzać, bo było mi bardzo zimno. Ogniska kurzyły się jeszcze; pozostały w nich tylko popioły i trochę żaru. Sierżant stojąc patrzył na białą płaszczyznę, gdzie słońce rzucało kilka smug złotych.

Wszyscy dokoła nas spali, jedni na grzbiecie, drudzy na ramieniu, z nogami zwróconemi do ognia; niektórzy chrapali albo przez sen mówili głośno.

Sierżant widząc, że się obudził, wziął trochę żaru i położył go na fajkę swą, poczem rzekł do mnie: — A co! strzelcze Berthe, jesteśmy zatem teraz już w tylnej straży?

Nie rozumiałem, co chciał przez to powiedzieć.

— Dziwi cię to, rekrucie? rzekł; to dosyć jasne jednak; myśmy nie ruszyli się z miejsca, to prawda, ale armia zrobiła pół obrotu; wczoraj była tam, przed nami, nad Rippach'em; teraz jest za nami, przy Lutzen: zamiast być na czele, jesteśmy z tyłu?

I z miną filuterną mrugając oczami, puścił dwa lub trzy wielkie kłęby z fajki swojej.

— I cóż my na tem wygrywamy? spytałem go.

— Wygrywamy to, że pierwsi staniemy w Lipsku i rzucimy się na prusaków, odpowiedział. Zrozumiesz to później, rekrucie.

Wyprostowałem się wówczas, chcąc się przypatrzeć okolicy i ujrzałem przed nami wielką błotnistą płaszczyznę, którą przerzynały Gruna Bach i Floss-graben; kilka małych wzgórz wznosiło się nad temi wodami, a w głębi płynęła wielka rzeka, którą sierżant nazwał Elsterą. Mgły poranne zwieszały się po nad tem wszystkim.

Odwrociwszy się, ujrzałem za nami, w dolinie, szczyt dzwonnicy Gros-Gorschen, a dalej, na prawo i lewo, pięć lub sześć wiosek we wklęsłości wzgórz, bo jest to kraina wzgórz; wioski Kaya, Eisdorf, Starsiedel, Rahna, Klein-Gorschen, które później poznałem, leżą między temi wzgórzami, nad brzegiem małych rzucaków, gdzie rosną topole, wierzby i osiczyna. Gros-Gorschen, gdzie biwakowaliśmy, wysunięta była najbardziej naprzód, w równinę, od strony Elstery; najdalej leżała Kaya, za którą przechodził wielki trakt od Lutzen do Lipska. Na wzgórzach paliły się ognie naszej tylko dywizji; ale cały 3 ci kurpus stał w wioskach, a główna kawaleria była w Kaya.

Koło szóstej godziny bębny uderzyły na pobudkę ranną, trąbki artylerzystów konnych i od zaprzęgów do dział ogłosiły porą wstawania. Wystano ludzi do wioski; jednych po drzewo, drugich po słomę lub siano. Przyszły wozy z amunicją i prowiantem i rozdano chleb i kartusze. Mielśmy zostać tam, ażeby armia mogła iść na Lipsk; i dla tego to sierżant Pinto mówił, że będziemy w tylnej straży.

Dwie markietanki przybyły także ze wsi, a że miałem jeszcze pięć sztuk po sześć franków, więc też zaprosiłem Klipfela i Zébédé'go na kieliszek, do przepędzenia mgły nocnej. Ośmieliłem się także ofiarować kieliszek sierżantowi Pinto, który przyjął go, mówiąc „że wódka z chlebem rozgrzewa żołądek”.

Byliśmy weseli i niktby się ani domyślał, jak straszne rzeczy miały się stać tegoż dnia jeszcze. Sądzono, że rossyianie i prusacy szukali nas daleko za Gruna-Barch'em, ale oni wiedzieli gdzie jesteśmy;

nagle, koło godziny dziesiątej, generał Souham, w gronie oficerów swoich, cwałem poleciał na wzgórze: dowiedział się o czemś. Właśnie wówczas stałem na warcie przy kozłach; zdaje mi się, że widzę go jeszcze,—z jego siwą głową i wielkim kapeluszem białym galonem oblanowanym,—jak wjechał na szczyt wzgórze, wy dobył perspektywę i patrzył, potem szybko zjechał i pogalopował do wioski, krzycząc by uderzono na apel.

Wszystkie warty zeszły wówczas z miejsca i Zébédé, który miał oczy krogulca, rzekł:

—Widzę tam, koło Elstery, rojące się masy... a nawet widzę jak jedni posuwają się w dobrym porządku, a inni wychodzą z bagien trzema mostami. Jeżeli to wszystko spadnie na nas, dopieroż będzie ulewa!

—To, rzekł sierżant Pinto, podniosłszy nos do góry i przyłożywszy rękę do czoła w kształcie daszka, to początek bitwy, albo nie znam się na tem. Podczas kiedy nasza armia idzie na Lipsk i kiedy rozciągnęła się na trzy mile górą, ci hultaje rossyianie i prusacy chcą na nas z boku uderzyć wszystkimi siłami swemi i przeciąć nas na dwoje. To dobry pomysł z ich strony: codziennie uczą się jakiegoś podstępu wojennego.

—Ale my, co zrobimy teraz? spytał Klipfel.

—Rzecz bardzo prosta, odrzekł sierżant: jest nas tutaj dwanaście do piętnastu tysięcy ludzi, ze starym Souham'em, który nigdy się nie cofnął ani kroku. Będziemy ćwiczkiem stali, jeden przeciw sześciu lub siedmiu, dopóki cesarz nie dowie się o tem i nie

przyjdzie nam na pomoc. Patrzcie, oto już oficerowie ordynansowi pędzą.

Tak było w istocie: pięciu lub sześciu oficerów pędziło równiną Lutzen za nami w stronę Lipska; w myśli błagałem gorąco Boga, by pozwolił im przybyć na czas i wysłać armię całą na pomoc nam; straszna to bowiem rzecz widzieć, że trzeba zginąć i największemu nieprzyjacielowi memu nie życzyłbym być w podobnym położeniu.

Sierżant Pinto powiedział nam jeszcze:

— Macie szczęście, rekruci; jeżeli który z was wyjdzie z tego cało, to będzie się mógł pochwalać, że widział coś ciekawego. Popatrzcie tylko na te linie niebieskie, posuwające się z fuzyą na ramieniu wzdłuż Flors-Grabena; każda z tych linii jest pułkiem; jest ich trzydzieści: co wszystko razem wynosi sześćdziesiąt tysięcy prusaków, nie licząc tych rzędów kawalerii, które są szwadronami. A na lewo, przy Rippach, ci znowu co idą i błyszczą na słońcu, są to dragoni i kirasyery gwardyi cesarskiej rosyjskiej; widziałem ich po raz pierwszy pod Ansterlitz, gdzieśmy ich pięknie urządzili. Jest ich zapewne osiemnaście do dwudziestu tysięcy. Z tyłu, te masy tam, to są bandy kozaków. Tak, że za godzinę będziemy mieli przyjemność zajrzeć w oczy stu tysiącom ludzi, najbardziej upartym z pomiędzy prusaków i rosyjan. Właściwie mówiąc, jest to bitwa, w której się zdobywa krzyż, a jeżeli się go nie zdobędzie teraz, to już chyba nigdy.

— Tak myślicie, sierżancie? rzekł Zébédé, który nigdy się nie odznaczał bystrością rozumu i któremu

zdawało się już, że trzyma krzyż w ręku. Oczy jego błyszczały jak u zwierzęcia, któremu wszystko się przedstawia z pięknej strony.

— Tak, odpowiedział sierżant, bo walka będzie zajadła; przypuścimy, że wśród boju, ktoś spostrzeże pułkownika jakiego, działo, chorągiew, lub coś takiego, co bije w oczy, wówczas rzuca się na to, nie zwracając uwagi na bagnety, szable, wyciory lub cokolwiek bądź i zdobędzie to, wówczas, jeżeli wróci, przedstawia go do nagrody.

Podczas kiedy on to mówił, przyszło mi na myśl, że mer Felsenburga otrzymał był krzyż za to, że mieszańców wioski swej zawiózł na wozach wieńcami ozdobionych na spotkanie Maryi Ludwiki, śpiewając przytem stare *lieds* i znalazłem, że jego sposób dostania krzyża daleko był dogodniejszy od sposobu, który sierżant Pinto podawał.

Nie miałem czasu długo zastanawiać się nad tem, bo ze wszystkich stron bębniuno na apel; każdy biegł do kozłów kompanii swojej i śpiesznie chwycił swoją fuzyę. Oficerowie szykowali żołnierzy do boju, działa przybywały ze wsi wielkim galopem, ustawiono je na wierzchołku wzgórza, trochę w tyle, ażeby grzbiet wzgórza mógł im służyć za szaniec. Jaszczyki nadociągały także.

A dalej, w wioskach Rahna, Kaya, Klein-Gorschen, wszystko było w ruchu; ale na nas pierwszych cała masa spaść naprzód miała.

Nieprzyjaciel zatrzymał się o dwa wystrzały armatnie i kawalerzyści jego setkami krążyli dokoła wzgórza, by rozpoznać nas.



Widząc nad brzegiem Floss-Grabenu tłumy te prusaków, od których oba wybrzeża czerniły się i których pierwsze linie zaczynały szycować się w kolumny, powiedziałem sobie:

„Tym razem, Józefie, wszystko jest straszne, wszystko skończzone,.. nie ma ratunku... Pozostaje ci tylko zemścić się, bronić się i nie mieć żadnej litości... Broń się, broń się!...”

Kiedy tak myślałem, generał Chemineau sam jeden przejechał konno przed frontem bojowym, wołając: „Formuj czworobok!”

Wszyscy oficerowie, na prawo, na lewo, na przodzie, z tyłu, powtórzyli ten sam rozkaz. Utworzono cztery czworoboki, po cztery bataliony w każdym. Tym razem znalazłem się w jednym z boków wewnętrznych, co mi zrobiło przyjemność; bo myślałem naturalnie, że prusacy, którzy posuwali się trzema kolumnami, uderzą najprzód na front. Ale zaledwie myśl ta przesunęła mi się przez głowę, kiedy prawdziwy grad kul posypał się na czworobok. Jednocześnie, działa, które prusacy przyprowadzili z sobą i ustawili na wzgórzu na lewo, poczęły grzmieć, ale nie tak już jak pod Weissenfelssem: teraz nie milkły ani na chwilę! Mieli oni na tem wzgórzu ze trzydzieści dział wielkiego kalibru; można przeto wyobrazić sobie, jakie luki robili niemi. Kule gwizdały raz w powietrzu, drugi raz w szeregach; czasami wpadały do ziemi, którą ryły, ze strasznym kukiem.

Nasze działa strzelały także tak, że głuzyły o połowę gwizd i ryk tamtych, ale to nie nie nie poma-

gało; a zresztą, najgorsze wrażenie sprawiały na człowieka wyrazy, które oficerowie bezustannie powtarzali: „Ściskajcie szeregi, ściskajcie szeregi!”

Byliśmy otoczeni najstraszniejszym dymem, chociaż sami nie strzelaliśmy byli jeszcze. Myślałem sobie: „Jeżeli postoiemy tak kwadrans jeszcze, to pomordują nas wszystkich, a my nie będziemy mogli bronić się!” co wydawało mi się rzeczą do niezniesienia, kiedy nagle dwie pierwsze kolumny prusaków dostały się między dwa wzgórza, a to z tak dziwnym szumem, jak gdyby wznoszącego się wylewu wód. W tejże chwili trzy pierwsze boki naszego czworoboku, bok frontowy i dwa inne, ukośnie biorąc na prawo i lewo, wystrzeliły razem. Bóg wie ilu prusaków było w tej wklęsłości! Ale zamiast zatrzymać się, koledzy ich posuwali się wciąż, krzyżąc jak wilki: „*Faterland! Faterland!*”<sup>1)</sup> i strzelając do nas ze wszystkich swej broni o sto kroków, że się tak wyrażę, w sam brzuch.

Potem nastąpił bój na bagnety i na kolby, bo chcieli oni nas złamać, byli jak gdyby wściekli. Całe życie pamiętać będę, jak jeden batalion tych prusaków dostał się wprost naprzeciw nas, uderzając na nas bagnetem, na co odpowiadaliśmy bagnetem również, ale nie wychodząc z szeregów i jak wszystkich ich zmiołły dwa działa, ustawione o pięćdziesiąt kroków za czworobokiem.

Żaden oddział nie chciał już potem wejść między czworoboki.

<sup>1)</sup> Ojczyzna! Ojczyzna.

Kiedy schodzili ze wzgórza, myśmy nabijali fuzye, by wybić ich co do nogi, kiedy armaty ich zaczęły znowu strzelać i z prawej strony usłyszeliśmy wielki hałas: była to kawalerya ich, która nadjeżdżała chcąc korzystać z luk jakie działa ich robiły! Z tego ataku nie widziałem nic, bo odbył się on na drugim froncie dywizyi; tymczasem kule zmiały nas tuzinami. Generałowi Chemineau strzaskano właśnie udo; nie mogło to trwać dłużej na taki sposób, kiedy wydano nam rozkaz cofnięcia się, cośmy zrobili z ławą do zrozumienia przyjemnością.

Obesaliśmy dokoła Gross-Gorschen, ścigani przez prusaków, którzy strzelali do nas, a my do nich. Dwa tysiące ludzi stojących w wiosce, zatrzymali nieprzyjaciela gęstym ogniem ze wszystkich okien, podczas kiedy my wchodziliśmy na wzgórze, dążąc do drugiej wsi, Klein-Gorschen. Ale wtedy cała kawalerya pruska nadleciała z boku, chcąc nam przeciąć odwrót i zmusić byśmy stali pod ogniem ich baterji. Nie można sobie wyobrazić, jakie oburzenie uczulem wówczas. Słyszałem jak Zébédé wołał:

— Wpadnijmy lepiej na nich, co mamy tak stać!

Było to także strasznie niebezpiecznie, bo pułki te huzarów i strzelców szły w dobrym porządku, zanim rozpędzili się. Cofaliśmy się ciągle w tył, kiedy na wierzchołku wzgórza krzyknęto do nas: „Stój!” i w tejże chwili straszny ogień kartaczowy gradem posypał się na huzarów i okropne spustoszenie sprawił w ich szeregach. Była to dywizya generała Gérard, która przyszła nam na pomoc z Klein-Gorschen; ustawiła była ona szesnaście baterji trochę

na prawo. Zrobiło to bardzo dobry skutek: huzary odjechali prędszej jeszcze niż przyszli i sześć czworoboków dywizji Gérarda połączyło się z naszymi w Klein-Gorschen, w celu powstrzymania piechoty pruskiej; która wciąż posuwała się, mając trzy kolumny w przodzie i trzy również mocne w tyle.

Straciliśmy Gros-Gorschen, ale teraz między Klein-Gorschen i Rahna, utarczka miała być jeszcze straszliwa.

Co do mnie, myślałem już tylko o tem, by się zemścić. Można powiedzieć, że byłem wściekły z gniewu i oburzenia na tych, którzy chcieli mię pozbawić życia, tego dobra wszystkich ludzi, które każdy człowiek powinien chronić jak może. Czułem rodzaj nienawiści przeciwko prusakom, których przyki i zuchwała mina, wstrętem mnie napawały. Przyjemnie mi jednak bardzo było widzieć obok siebie Zébédé'go i korzystając z tego, że oczekując na nowy atak, staliśmy z bronią u nogi, ścisnąłem go za rękę.

— Powiodło się nam, rzekł mi, Byle tylko cesarz przybył prędko, bo jest ich dwadzieścia razy więcej niż nas... byleby przybył z działami!

Nie mówił już o zdobyciu krzyża!

Spojrzałem trochę na bok, chcąc się przekonać, czy sierżant Pino był tam jeszcze i spostrzegłem go jak spokojnie obciera hagnet swój; twarz jego nie zmieniła się: to mię ucieszyło. Chciałbym też wiedzieć czy Klipfel i Furst znajdowali się również w szeregach, ale na komendę: „Broń na ramię!” myśl moja zwróciła się w inną stronę.

Trzy pierwsze nieprzyjacielskie kolumny zatrzymały się były na wzgórzu Gros-Gorschen, oczekując na trzy następne, które zbliżały się z bronią na ramieniu. Między nami leżąca wieś w dolinie paliła się, słomiane dachy buchały płomieniem, słupy dymu wznosiły się aż do nieba; a po drugiej stronie, na lewo, widzieliśmy jak przez uprawne pola ciągnął długi szereg dział, mający wziąć nas z ukosa.

Mogło być południe, kiedy sześć tych kolumn ruszyło z miejsca i kiedy po obu stronach Gros-Gorschen rozwinęły się szeregi huzarów i konnych strzelców. Nasza artyleria, umieszczona w tyle za czworobokami, rozpoczęła straszny ogień przeciwko kanonierom pruskim, którzy odpowiadali im na całej linii.

Nasze bębny zaczęły bić w czworobokach, oznajmiając zbliżenie się nieprzyjaciela; słychać ich było tyle co brzęk muchy podczas burzy, a w głębi doliny prusacy wołali wszyscy razem: „*Faterland!* *Faterland!*”

Ich ogień batalionowy, pomykając po wzgórzach, okrywał nas dymem, ponieważ wiatr dął w naszą stronę, co przeszkadzało nam widzieć ich. Pomimo to rozpoczęliśmy ogień szeregowy. Nie widzieliśmy się i nie słyszeli wzajemnie od kwadransa przynajmniej, kiedy nagle huzary pruscy znaleźli się w czworoboku naszym. Nie wiem, jakim sposobem stało się to, dosyć że byli w środku i rzucali się na prawo i lewo pochylając się na małych konikach swoich i rąbiąc nas bez miłosierdzia. My kluliśmy ich bagnietami, krzyczeliśmy, oni strzelali do nas, słowem, było to coś okropnego. Zébédé, sierżant Pinto i dwu-

dziesiątu jeszcze z kompanii, trzymaliśmy się razem.— Całe życie pamiętać będę te blade twarze, wąsy ciągnące się aż do uszów, małe kaszkiety podpinką trzymające się pod szczękami, konie, które rżąc wspięły się po nad stopy trupów i rannych. Będę zawsze słyszał krzyki, które wydawaliśmy, jedni po niemiecku, drudzy po francuzku; oni nazywali nas: „*Schweinpelz!*” a stary sierżant Pinto bezustannie wołał: „Śmiało, dzieci moje, śmiało!”

Nigdy nie mogłem pojąć, jakim sposobem wydostaliśmy się ztamtąd; szliśmy na los szczęścia wśród dymu, świstu kul i chrzęstu szabel. Pamiętam tylko, że Zébédé wołał na mnie co chwile: „Chodź! chodź!” i że nakoniec znaleźliśmy się z sierżantem Pinto i siedmiu czy ośmiu innymi z kompanii, na polu leżącym po za czworobokiem jednym, który trzymał się jeszcze.

Wglądaliśmy jak rzeźniki!

— Nabijcie broń! rzekł sierżant.

Wówczas, nabijając fuszę, spostrzegłem krew i włosy na końcu bagnetu mego, co pokazuje, że uniesiony szaleń, zadawałem straszne ciosy.

Po chwili Pinto rzekł znowu:

— Pułk jest rozbity.... te łotry prusaki wycięli połowę jego.... Odszukamy go potem.... Na teraz trzeba wstrzymać nieprzyjaciela, żeby nie wszedł do wioski. — Szeregiem na lewo, naprzód, marsz!

Zeszliśmy po małych schodach, prowadzących do jednego z ogrodów Klein-Gorschen i weszliśmy do domu, którego drzwi wychodzące na pole, sierżant

zabarykadował wielkim stołem kuchennym, potem, wskazując nam drzwi od ulicy, rzekł:

— Otóż masz odwrót.

Potem weszliśmy na pierwsze piętro, do dosyć wielkiego pokoju, który tworzył róg u stóp wzgórza; dwa jego okna wychodziły na wieś a dwa na wzgórze, całe pokryte dymem, gdzie wciąż jeszcze trzaskał szeregowy ogień i działa grzmiały. W głębi, w alkwie, stało łóżko z rozrzuconą pościelą, a przed łóżkiem kolebka dziecinną; ludzie umknęli stąd zapewne na początku bitwy; ale pies z wielkim ogonem białym, z uszami sterczącymi i szpiczastym pyskiem, patrzył na nas błyszczącymi oczyma: wszystko to przypomina mi się jak sen.

Sierżant otworzył okno i strzelał już na ulicę, gdzie dwóch lub trzech huzarów pruskich posuwał się wśród mnóstwa wózków i kup nawozu; Zébédé i ihni, stojąc za nim, patrzyli z gotową bronią. Ja patrzyłem na wzgórze, żeby widzieć czy czworobok trzymał się jeszcze i o pięćset lub sześćset kroków spostrzegłem go, jak cofał się w dobrym porządku, strzelając z czterech swych boków do kawaleryi, która go opasywała. Po przez dym widziałem pułkownika, — gruby był a krótki, — jadącego w środku na koniu, z szabłą w rękę, a tuż koło niego chorągiew tak podartą, że podobna była raczej do lachmawa wiszącego na drzewcu.

Dalej, na lewo, jedna kolumna niaprzyjacielska ukazała się na zakręcie drogi i szła na Klein-Gorschen. Ta kolumna zamierzała przeciąć nam odwrót do wioski; ale setki rozpierchłych żołnierzy zbiegły się

już były lepiej i zbiegały się wciąż jeszcze ze wszystkich stron, jeden odwracając się co pięćdziesiąt kroków i strzelając, drudzy ranni wlokąc się, by gdzieś znaleźć przytułek. Wszyscy wchodzili do domów, a że kolumna posuwała się wciąż, dano przeto gęstego ognia do niej ze wszystkich okien. To powstrzymało ją; tembardziej że w tejże chwili, na wzgórzu na prawo zaczynały rozwijać się dywizye Breniera i Marchanda, które książe Moskwy wysyłał nam na pomoc.

Dowiedzieliśmy się potem, że marszałek Ney poszedł był za cesarzem w stronę Lipska, ale usłyszawszy huk dział, wrócił się.

Prusacy zatrzymali się zatem w tym miejscu, ogień ustał z obu stron. Nasze czworoboki i kolumny weszły na wzgórze naprzeciw Starsiedela i wszyscy wówczas pośpiesznie wieś opuścili, by połączyć się każdy z pułkiem swoim. Nasz pułk zlał się z dwoma lub trzema innymi; i kiedy dywizye stanąwszy przed Kayą zatrzymały się z bronią do nogi, z trudnością mogliśmy się rozpoznać wzajemnie. Po odbyciu apelu kompanii naszej, pokazało się, że czterdziestu dwóch ludzi tylko pozostało, — wielkiego Fursta i Légera nie było między nimi; ale Zébédé Klipfel i ja, ocaliliśmy skórę naszą w tej potyczce.

Na nieszczęście, nie koniec był temu jeszcze, bo prusacy rozzuchwaleni odwrotem naszym, przygotowywali się do nowego natarcia na nas w Kayi; coraz nowe posiłki przybywały im. Widząc to, myślałem sobie, że jak na tak wielkiego generała, cesarz miał bardzo nieszczęśliwą myśl, że rozciągnął wojsko swe

aż do Lipska i że pozwolił, by sto tysięczna z górą armia zaskoczyła nas.

Podczas kiedy my na nowo szykowaliśmy się pod zastoną dywizji Breniera, ośmnaście tysięcy starego żołnierza gwardyi pruskiej cwałem pędziło na wzgórze, niosąc na znak zwycięstwa swego kaszkiety poległych naszych na końcach bagnatów swoich. Jednocześnie bój trwał na lewo, między Gros-Gorschen i Storsiedelem. Masa kawalerii rossyjskiej, którą widzieliśmy rano błyszczącą na słońcu za Grunabachem, chciała zająć nam tyły; ale 6-ty korpus pośpieszył zastąpić nas i pułki marynarskie murem stały tamże. Cała równina tworzyła jedną chmurę, w której błyszczały tysiącami kaszkiety, kirasy i lance.

Co do nas, cofaliśmy się wciąż, kiedy nagle coś przeleciało przed nami jak piorun: był to marszałek Ney! pędził w galopie, a za nim sztab jego. Nigdy nie widziałem podobnej twarzy: oczy jego błyszczały, a policzki trzęsły się od wściekłości! W jednej sekundzie obleciał całą linię i znalazł się na czelu kolumn naszych. Wszyscy poszli za nim, jak gdyby porwani siłą nadludzką; zamiast cofać się, szliśmy na spotkanie prusaków i w dziesięć minut potem wszystko stanęło w ogniu. Ale nieprzyjaciel trzymał się mocno; sądził, że jest już panem placu i nie chciał upuścić z rąk swych zwycięstwa; tembardziej że odbierał coraz nowe posiłki i że my wycieńczeni już byliśmy pierw godzinną walką.

Tym razem batalion nasz znalazł się w drugiej linii, kule przechodziły wierzchem; ale było coś gorze go nad to, co wstrząsało nerwami, dzwonienie

kartaczy o bagnety; był to rodzaj strasznej muzyki, której świst dochodził z dala.

Wśród krzyków, komendy i strzelania, zaczęliśmy uchodzić znowu po stosach umarłych. Pierwsze nasze dywizye wróciły w Klein-Gorschen, tam bito się pierś o pierś; na wielkiej ulicy wioski, nie widać było nic oprócz kolb fuzyj w powietrzu i generałów na koniu, ze szpadą w rękę, jak prostych żołnierzy.

Trwało to kilka minut; mówiliśmy już w szeregach: „Dobrze idzie, dobrze idzie!.. posuwamy się naprzód”. Ale nowe posiłki nadeszły prusakom i po raz drugi musieliśmy cofnąć się i to tak prędko na nieszczęście, że wielka liczba naszych pierachła aż do Kayi. Wioska ta, wznosząca się na wzgórze, ostatnią była od strony drogi ku Lutzen. Był to długi sznur domów, oddzielonych jedne od drugich ogródkami, stajniami i pasiekami. Jeżeliby nieprzyjaciel wziął nas w Kayi, w takim razie armia zostałaby przecięta na dwoje.

Biegając przypominały mi się słowa pana Guldena: „jeżeli nieszczęściem sprzymierzeńcy pobiją nas, przyjdą wówczas do nas pomścić się za to wszystko, cośmy im robili przez lat dziesięć”. Sądziłem, że bitwa przegrana już, bo sam marszałek Ney cofał się w czworoboku, a żołnierze, by wyjść z boju, unosili oficerów rannych na fuzyach jak na noszach. Słowem rzeczy zły obrót brały.

Wszedłem do Kayi z prawej strony wioski, przesadzając płoty i przeskakując małe palisady, które mi mieszkanki wioskowi oddzielają ogrody swoje.

Miałem właśnie skrócić koło szopy jednej, kiedy podniosłszy głowę, postrzegłem pięćdziesięciu może oficerów stojących na wierzchołku wzgórza na przeciwnym; dalej, za nimi, tłumy artylerji pędziły co koń wyskoczy po drodze lipskiej. Zatrzymałem się i poznałem cesarza, który wyprzedzał innych trochę; siedział on na białym swoim koniu, jak na fotelu. Widziałem go bardzo dobrze pod bładem niebem; stał nieruchomie i przez perspektywę swą patrzył w dół, na bitwę.

Widok ten tak mię ucieszył, że z całych sił zacząłem krzyżeć: „*Niech żyje cesarz!*” potem, zauklkiem między dwoma starymi domami dostałem się na wielką ulicę Kayi. Byłem jednym z pierwszych i widziałem jeszcze jak mieszkańcy wioski, mężczyźni, kobiety, dzieci śpiesznie kryli się do piwnic.

Kilka osób, którym opowiadałem to, miało mi za złe, że tak szybko biegł; ale opowiedziałem im, że jeżeli Michał Ney mógł cofać się, to Józef Berthe mógł także to uczynić.

Klipfel, Zébédé, sierżant Pinto i wszyscy ci, których znałem w kompanii, pozostali jeszcze byli na placu boju i tak straszny hałas dochodził mię stamtąd, że niepodobna wyobrazić tego sobie. Kłęby dymu przewalały się przez dachy, dachówki toczyły się i padały na ulicę, a kule wbijały się w ściany, albo z okropnym łoskotem trzaskały belki.

Jednocześnie, ze wszystkich stron, uliczkami, po przez płoty, palisady ogrodów, nasi żołnierze wchodziłi do wsi, wciąż odwracając się i strzelając jeszcze. Należeli oni do rozmaitych pułków, bez kaszkie-

tów, obdarci, pokryci krwią, z miną rozwściekloną, jak sobie teraz przypominam po tylu latach; były to wszystkie dzieci, prawdziwe dzieci: na piętnastu lub dwudziestu, ani jeden nie miał wąsów; ale odwaga wrodzona jest rasie francuzkiej!

Kiedy prusacy, których prowadzili starzy oficerowie wołając: „*Forwärts! Forwärts!* 1) — wdzierali się do wioski, włącząc sobie niejako na grzbiety, jak banda wilków, by dostać się prędzej, my, w rogu stodoły, we dwudziestu lub trzydziestu, naprzeciw ogrodu, gdzie była pasieka i wielkie wiśniowe drzewa osypane kwiatem, jak dziś pamiętam, rozpoczęliśmy gęsty ogień na tych hultajów, którzy chcieli wdrzeć się na mały mur poniżej stojący i zdobyć wioskę.

Ilu z pomiędzy nich, dostawszy się na ten mur, stoczyło się z niego napowrót, tego nie wiem; ale wciąż nowi przybywali na ich miejsce. Kule świsnęły koło naszych uszów i spłaszczły się o kamienie, tynk opadał, słoma zwieszała się z belek, wielka brama na lewo cała była podziurawiona; a my, za stodołą, wciąż nabijaliśmy i wciąż strzelali w kupę; trwało to tyle tylko czasu, ile trzeba było by wziąć na cel i pocisnąć cyngiel, a pomimo to pięciu lub sześciu już naszych legło koło magazynu na siano, z nosem do ziemi, ale my tak byliśmy rozwścieczeni, że nie zwracaliśmy już na to uwagi.

Kiedy odwróciłem się po raz dziesiąty i przykładałem fuzyę do ramienia, ta wysunęła mi się z rąk;

1) Naprzód! Naprzód!

nachyliłem się by podnieść ją i upadłem na nią: miałem kulę w lewej łopatce; krew ściekała mi na piersi jakby woda ciepła. Usiłowałem podnieść się, ale tyle tylko dokazałem, że usiadłem koło ściany. Wtenczas krew spływać zaczęła aż do uda i przyszło mi na myśl że mogę tam umrzeć, aż mi się zimno zrobiło na to.

Koledzy strzelali dalej ponad głową moją i prusacy odpowiadali im wciąż.

Mysząc o tem, że druga kula mogła mię dobić i pragnąc usunąć się ztamtąd, uczepiłem się lewą ręką o kant muru i zsunąłem się do małego rowu, którym woda z ulicy spływała do ogrodu. Lewe ramię moje ciężkie było jak ołów, w głowie mi się kręciło; wciąż jeszcze słyszałem strzelanie, ale jak we śnie. Trwało to czas jakiś zapewne.

Kiedy otworzyłem znowu oczy, noc zapadała; prusacy biegnąc defilowali uliczką. Napelniali już wioskę; w ogrodzie naprzeciw na wielkim karym koniu stał stary generał, z głową odkrytą i siwemi włosami. Krzyczał jak trąbka, by przyprowadzono działa i oficerowie cwałem odjeżdżali niosąc rozkazy jego. Przy nim, stojąc na małym murze, gdzie leżało mnóstwo poległych, jeden z chirurgów ich bandażował mu rękę. Z tyłu, z drugiej strony stał również na koniu oficer rossyjski, bardzo szczupły młody człowiek, w kapeluszu ozdobionym zielonemi piórami, spadającymi w kształcie bukietu. Objąłem to wszystko jednym rzutem oka: — ten stary z grubym nosem, czołem płaskim i szerokim, żywymi oczkami i śmiałą miną; tamci dokoła niego; chirurg, mały

człowieczek lisy w okularach; a w głębi doliny, o pięćset lub sześćset kroków, między dwoma domami, nasi żołnierze szykujący się na nowo. Wszystko to mam przed oczami, jak gdybym tam był jeszcze.

Nie strzelano już; ale między Klein-Gorschen i Kayą, straszne podnosiły się krzyki... Słychać było ciężki huk, rżenie koni, przekleństwa i klaskania batem. Sam nie wiedząc, dla czego wywlokłem się z rowu i wróciłem do ściany; a prawie zarazem potem dwa działa szesnastofuntowe, każde z nich zaprężone sześciu końmi, ukazały się koło pierwszego domu wioski. Artylerzyści bili konie ze wszystkich sił i koła wchodziły między stopy umarłych jak między słome; kości trzeszczały!... ztąd to pochodziły owe krzyki, które słyszałem; włosy powstawały mi na głowie.

— Tutaj!... wołał stary po niemiecku. Ustawcie tam, między temi dwoma domami, przy wodotrysku.

Obie armaty zostały natychmiast ustawione; wozy z prochem i kartaczami cwałem przyleciały. Stary udał się tam dla obejrzenia; miał lewą rękę na temblaku i jadąc uliczką, mówił do młodego rossyjskiego oficera tonem zwierzynym:

— Powiedz cesarzowi Aleksandrowi, że jestem w Kaya... Bitwa wygrana, jeżeli przyśle mi posiłki. Niech nie rozprawiają, ale działają! Musimy spodziewać się szalonego ataku. Napoleon przybywa, czuję to... Za pół godziny będziemy go mieli na karku zaraz z gwardyą jego. Bądź co bądź, dotrzymam placu; ale, na miłość Boską, niech nie tracą ani chwili, a zwycięstwo będzie nasze!

Młody człowiek galopem odjechał w stronę Klein-Gorschen, a w tejże chwili ktoś przemówił koło mnie: „Ten stary, to Blücher... Ah! Łajdaku, żebym miał moją fuzyę!”

Odwróciwszy głowę, ujrzałem starego sierżanta, suchego i chudego, z wielkimi zmarszczkami na policzkach; siedział on oparty o drzwi stodoły, oboma rękami, jak szczudłami opierając się o ziemię, bo miał krzyże potraskane kulą. Żółtymi swemi oczami wodził za generałem, zezem patrząc; nos jego haczykowany, blade już, zaginał się jak dziób nad wielkimi wąsami: miał minę straszną i dumną zrazem.

— Gdybym miał fuzyę moją, powtórzył raz jeszcze, zobaczyłbyś ty, czy bitwa wygrana!

W kącie tym zawałonym umarłymi, my tylko sami byliśmy żyjącymi istotami.

Ja, myśląc o tem, że jutro może pochowają mnie wraz z innymi w ogrodzie naprzeciw i że nie ujrzę już Katarzyny, płakałem, a łzy spływały mi po twarzy i nie mogłam wstrzymać się od powiedzenia:

— Teraz wszystko skończone!

Sierżant spojrział wówczas na mnie z ukosa i widząc, że tak młody jeszcze, spytał mię:

— Co ci jest, rekrucie?

— Mam kulę w łopatce, sierżancie.

— W łopatce, to lepiej niż w krzyżach, można z tego się wyleczyć.

I popatrzawszy na mnie jeszcze, dodał głosem mniej szorstkim:

— Nie bój się, zobaczysz, wrócisz jeszcze do siebie.

Sądziłem, że uczułem boleść nad młodością moją i że chciałem mię pocieszyć; ale miałem pierś jak gdyby strzaskaną i to mi odejmowało wszelką odwagę.

Sierżant nic więcej nie rzekł, tylko od czasu do czasu próbował podnieść głowę, by zobaczyć, czy kolumny nasze przybywały. Klął przez zęby i wreszcie osunął się łopatką w róg drzwi, mówiąc:

— Już po mnie!... ale wielki łajdak zapłacił mi za to.

Patrzył na płot naprzeciw, gdzie leżał wyciągnięty na grzbiecie grenadyer pruski, z bagnetem tkwiącym jeszcze w brzuchu.

Mogła być wówczas szósta godzina; nieprzyjaciel zajmował wszystkie domy, ogrody, sady, wielką ulicę i uliczki. Czułem zimno w całym ciele i, pochyliwszy głowę na kolana, siedziałem zdrętwiały, kiedy huk dział ocutił mię znowu. Dwa działa w ogrodzie i kilka innych, ustawionych wyżej na wsi, strzelały rzucając błyskawice na wielką drogę, którą tłoczyli się rossyianie i prusacy. Ze wszystkich okien strzelano także. Ale wszystko to było niczem w porównaniu ognia, jaki francuzi dawali ze wzgórze naprzeciw. W głębi u dołu, młoda gwardya posuwała się w ścieśnionych kolumnach, bojowym krokiem; pułkownicy, komendanci i generałowie na koniu wśród bagnatów, z szablą w ręku: wszystko to szare, oświetlane tylko co minutę światłem z osmdziesięciu dział które cesarz kazał ustawić w jedną baterję dla porparcia ruchu. Te osmdziesiąt dział sprawiały łoskot straszliwy i pomimo odległości, stary domek o który byłem oparty, trząsł się aż do fundamentów. Na

Historja Rekruta. 10



ulicy kule zmiatały szeregi prusaków i rossyan, jak kosa zmiata siano: przyszła na nich kolej ściskania szeregów.

Słyszałem także, jak za nami nieprzyjacielska artylerya odpowiadała i myślałem: „Mój Boże! mój Boże! żebyż tylko francuzi zwyciężyli, pozabierają wówczas rannych swoich, w przeciwnym razie prusacy i kozacy pomyślą naprzód o swoich, a nam dadzą zginać”.

Nie zwracałem już uwagi na sierżanta, patrzyłem tylko na kanonierów pruskich, jak nabijali działa, brali na cel i strzelali; przeklinałem ich z całego serca. Z zachwytem zaś słuchałem: „*Niech żyje cesarz!*” które zaczynały podnosić się z doliny i które w przerwach między strzałami słychać było.

Nakoniec, w dwadzieścia minut potem, prusacy i rossyanie zaczęli cofać się; tłumnie biegli uliczką, na której byliśmy, i rzucali się na pochyłość; krzyki „*Niech żyje cesarz!*” zbliżały się. Przed nami, kanonierowie śpieszyli się jak opętani, kiedy trzy lub cztery kule wpadły pomiędzy nich, strzaskały kolo i zasypały ich ziemią. Jedno działo przewróciło się na bok; dwaj artylerzyści zabici, dwaj ranni. Uczułem w tej chwili, jak ręka jakaś ujęła mię za ramię; odwróciłem się i ujrzałem starego sierżanta, na wpół umarłego, który patrząc na mnie śmiał się z dzikim wyrazem. Dach naszej chałupy zapadł się, mur pochylał, ale my nie zwracaliśmy na to uwagi: widzieliśmy tylko porażkę nieprzyjaciela i wśród całego tego łoskotu, słyszeliśmy tylko coraz bliższe okrzyki żołnierzy naszych.

Nagle sierżant bladej jak śmierć, rzekł:

— Oto on!

I pochyliwszy się naprzód, na kolanach, jedną ręką opierając się o ziemię, a drugą podniosłszy, zawołał głosem brzmiącym:

— *Niech żyje cesarz!*

Potem padł twarzą o ziemię i nie poruszył się więcej.

Ja także pochyliłem się naprzód, chcąc zobaczyć i ujrzałem Napoleona, który jechał wśród strzałów; kapelusze miał wciśnięty na swą wielką głowę, szary surdut otwarty, szeroką czerwoną wstęgę w poprzek na białej kamizelce, spokojny, zimny, jak gdyby oświecony blaskiem od bagnatów. Wszystko cofało się przed nim; kanonierzy pruscy opuszczali działa swe i przeskakiwali mur ogrodu, pomimo nawoływań oficerów, chcących zatrzymać ich.

Patrzyłem na to; wszystko to jak gdyby ognistymi głoskami wryło mi się w pamięci; ale od tej chwili nie pamiętam już nic z bitwy, bo w nadziei zwycięstwa naszego, straciłem przytomność i jak umarły leżałem wśród tych wszystkich umarłych.

#### XIV.

Zbudziłem się wśród ciszy nocnej. Chmury przesunęły się po niebie, a księżyc patrzył na wieś opuszczoną, na przewrócone działa i stopy poległych, jak patrzy od początku świata na wodę co płynie, na trawę co rośnie i liście, które opadają w jesieni. Lu-

dzie nicaem są w obec rzeczy wiecznych ci, którzy mają umierać, rozumieją to lepiej niż inni.

Nie mogłem już ruszać się i cierpiałem mocno; prawą tylko ręką mogłem jeszcze władać. Jednakże udało mi się podnieść na łokciu i ujrzałem stopy umarłych, ciągnące się aż w głąb uliczki. Światło księżycy padało na nich; biali byli jak śnieg: jedni mieli oczy i usta otwarte; inni leżeli twarzą do ziemi, z ładownicą i tornistrem na plecach, z ręką zaciśniętą na fuzy. Widziałem to wszystko i zęby mi dzwoniły od strachu.

Chciałem zawołać na pomoc; usłyszałem jak gdyby słaby krzyk lękającego dziecka i z rozpaczcy osunąłem się na ziemię. Ale słaby ten krzyk, który wydałem w ciszy, wywołał inne; ze wszystkich stron jeden za drugim zaczęły się odzywać: wszyscy ranni sądzili, że to pomoc przybywa i ci którzy mieli jeszcze na tyle siły, wołali o nią. Krzyki te trwały przez czas jakiś, potem wszystko ucichło i słyszałem już tylko konia, który niedaleko mnie, za płotem, sapał powoli. Chciał powstać; widziałem, jak głowa jego podnosiła się na długiej szyi, potem znów opadała.

W skutek wysilenia, jakie zrobiłem był, rana otworzyła mi się na nowo i czułem jak krew spływa mi pod ramię. Zamknąłem wówczas oczy oczekując śmierci i wszystkie dalekie wspomnienia od czasu dzieciństwa mego, — wspomnienia z wioski, kiedy biedna moja matka trzymała mię na rękach i śpiewała usypiając mię, mały pokóik, stara alkowa, pies nasz Pommer, który bawił się ze mną i przewracał mię

na ziemi; ojciec, który wieczorem wracał wesóły, z toporem na ramieniu i brał mię w wielkie swe ręce całując, — wszystko to przypomniało mi się jak sen!

Myślałem sobie: „Ah! biedna kobieto ... biedny ojczel... gdybyście wiedzieli, że syna swego wychowujecie z taką miłością i takim trudem dla tego, by kiedyś zginął nędznie, opuszczony, bez żadnej pomocy... jakże rozpaczalibyście, jak przeklinali tych, którzy przyprowadzili go do tego stanu!... Ah! gdybyście tu byli!... gdybym mógł przynajmniej prosić was o przebaczenie za te wszystkie troski, których byłem przyczyną!”

I kiedy myślał o tem, łzy oblewały mi twarz i pierś mi się podnosiła: długo płakałem tak cicho.

Myśl o Katarzynie, o ciocie, o dobrym panu Guldenie, przyszła mi także wkrótce i było to coś okropnego! był to niby widok, na który, zdawało mi się, że własnymi patrzę oczami: widziałem ich zdziwienie i obawy, kiedy dowiedzieli się o wielkiej bitwie; widziałem ciotkę Grédelę, która codziennie biegła drogą, ażeby się dowiedzieć na pocztcie, podczas kiedy Katarzyna czekała na nią modląc się; pan Gulden sam w swoim pokoju, wyczytał w gazecie, że 3-ci korpus większy brał udział w boju niż inne; przechadzał się potem z głową pochyloną i późno bardzo zasiadał do warsztatu, z miną zamyśloną. Dusza moja była tam z nimi; oczekiwała ona niejako przed pocztą, wraz z ciotką Grédelą, wracała przagnębiona do wsi, widziała Katarzynę zasnuconą.

Potem, pewnego rana, listonosz Roedig zjawiał się w Quatre-Vents, w bluzie swej i z małą swą

skórzaną torbą; otwierał drzwi od sali i podawał wielki papier ciotce Grédeli; ta z największym wzruszeniem patrzyła nań, a Katarzyna błada jak śmierć stała za nią; był to akt zejścia mego, które im przysłano! Słyszałem rozdzierający krzyk Katarzyny padającej na ziemię i przekleństwa ciotki Grédeli z rozrzuconemi siwemi włosami, — krzyczała że dla uczciwych ludzi, lepiej byłoby nigdy nie rodzić się, kiedy Bóg ich tak opuszcza! — Dobry ojciec Gulden zjawiał się ze słowami pociechy, ale zaledwie wszedł zaczynał płakać wraz z niemi i wszyscy łkali w niewysłowionym smutku, wołając:

— O biedny Józefie! biedny Józefie!

To mi rozdzierało serce.

Przyszło mi także na myśl, że trzydzieści lub czterdzieści tysięcy rodzin we Francyi, w Rossyi, w Niemczech odbiorą podobną wiadomość i straszniejszą jeszcze nawet, bo wielka liczba nieszczęśliwych poległych na placu bitwy, miała rodziców swych jeszcze; przedstawiałem to sobie jako okropność, jako wielki krzyk rodu ludzkiego, podnoszący się do Nieba.

Wtenczas to przypomniałem sobie owe kobiety w Phalsburgu, które modliły się w kościele podczas owego odwrotu z Rossyi i zrozumiałem co się dziać musiało w ich sercu!... Myślałem sobie, że Katarzyna wkrótce tam pójdzie; że lata i lata modlić się będzie, myśląc o mnie.... Tak, myślałem to, bo wiedziałem, że kochaliśmy się od dzieciństwa i że ona nigdy nie będzie mogła zapomnieć o mnie. Tak byłem rozrzuwiony, że jedna za drugą łzy spływały mi po policzkach; a jednak sprawiało mi to ulgę,

że miałem w niej taką wiarę i że byłem pewny, iż miłość swą dla mnie zachowa aż do starości, że zawsze będzie mię miała przed oczami swemi i że innego nie weźmie.

Nad ranem rosa zaczęła padać. Wielki szmer monotonny na dachach, w ogrodzie i ulicze zapelniał ciszę. Myślałem o Bogu, który od początku wieków tworzy te same rzeczy i którego potęga nie ma granic; który przebacza winy bo jest dobrym i miałem nadzieję, że mnie przebaczy również, przez wzgląd na cierpienia moje.

Ponieważ rosa była wielka, napełniła więc wreszcie mały rynsztok. Od czasu do czasu słychać było, jak się walił mur jakiś w wiosce, dach się zapadał; zwierzęta przestraszone bitwą powoli uspakajały się i wychodziły o brzasku dnia: koza beczala w sąsiedniej oborze; wielki owczarski pies, z opuszczonym ogonem, przeszedł patrząc na umarłych; ujrawszy go koń zaczął straszliwie dyszeć; może brał go za wilka i pies uciekł.

Wszystkie te szczegóły przypominają mi się, bo w chwili śmierci, człowiek widzi wszystko, słyszy; jak gdyby mówił do siebie: „Patrz... słuchaj... bo wkrótce nie już nie będziesz widział ani słyszał na świecie!”

Ale co mi daleko głębiej wyryło się w pamięci, czego nigdy nie będę mógł zapomnieć, chociażby żył sto lat, to uczucie jakimog doznał, kiedy zdało mi się, żeś usłyszał głos ludzki. Oh! jakże się ocuciłem... jak słuchałem... i jak podniosłem się na ramieniu, by zawołać: „Na pomoc!” Noc jeszcze była,

ale już blade światło ukazywało się na niebie; daleko, wśród deszczu, który przerzynał powietrze; światełko jakieś chodziło po polach, błąkało się, zatrzymując się tu... owdzie... i widziałem czarne postacie pochylające się do koła; były to tylko niepewne cienie, ale inni także postrzegli to światło, bo ze wszystkich stron w ciemności podniosły się westchnienia... odzywały żałosne wołania, głosy tak słabe, jak małych dzieci, które wzywają matki!

Mój Boże, czemuż jest życie? Z czegoż się ono składa, że tak wielką cenę przywiązujemy do niego? To nędzne technienie, które kosztuje nas tyle łez, tyle cierpień, dla czegoż więcej niż wszystko w świecie obawiamy się je stracić? Cóż nas czeka potem, kiedy na samą myśl śmierci wszystko w nas drży?

Któż to wie? Wszysey ludzie mówią o tem od wieków i wieków, wszyscy myślą o tem, a nikt nie umie powiedzieć tego.

Gorąco pragnąc życia, patrzyłem na to światełko, jak nieszczęśliwy tonący patrzy na brzeg... robiłem możliwe usiłowania, by je widzieć i serce moje drżało nadzieją. Chciałem krzyknąć, głos mój nie sięgał dalej jak do ust; szmer deszczu między drzewami i na dachach głuszył wszystko, pomimo to jednak mówiłem sobie: Słyszą mię... przychodzą!... Zdawało mi się, że widzę jak latarnia posuwa się dróżką ogrodu i jak światło jej zwiększa się wciąż; ale pobłąkawszy się czas jakiś po polu bitwy, powoli weszło w załom gruntu i znikło.

Wówczas padłem bez przytomności.

## XV.

Kiedym przyszedł do siebie, ujrzałem się w głębi wielkiej szopy, niby w sali, — ze słupami do koła; ktoś mi podawał do picia wodę z winem, co wydawało mi się bardzo dobrem. Otworzywszy oczy, zobaczyłem starego żołnierza z siwymi włosami, który podnosił mi głowę i trzymał kubek przed ustami.

— No jakże, rzekł do mnie tonem dobrego humoru, jakże, lepiej wam?

Uśmiechnąłem się do niego na samą myśl, że żyję jeszcze. Pierś i lewą łopatkę miałem silnie obandażowane; czułem tak ból jak od oparzenia się, ale to mi było wszystko jedno: — żyłem!

Zacząłem najprzód przypatrywać się grubym belkom, które krzyżowały się w powietrzu i dachówkom, między którymi w wielu miejscach światło przedzierało się; potem, po kilku chwilach, odwróciłem głowę i poznałem, że znajduję się w jednej z owych wielkich szop, gdzie piwowarzy tej okolicy chronią swe beczki i wozy swoje. Do koła szopy, na materacach lub słomie, leżało mnóstwo rannych, a na środku, na wielkim kuchennym stole, pułkowy chirurg i dwaj pomocnicy jego, z zagiętymi rękawami u koszuli, krajali komuś nogę, ranny jęczał. Za nimi leżał stos ramion i nóg, i można sobie wyobrazić, jakie myśli przychodziły mi do głowy patrząc na to.

Pięciu czy sześciu żołnierzy podawało pić rannym; mieli w rękach dzbany i kubki.

Największe jednak wrażenie robił na mnie ów chirurg w koszuli, który krajał nie zważając na nic; miał wielki nos, wpadłe policzki i co chwilę gniewał się na pomocników swoich, którzy nie dosyć prędko podawali mu noże, szczypce, szarpie, bielinę, albo nie dosyć prędko zbierali krew gąbką. Nieźle to jednak szło, bo w niespełna kwadras mieli dwie nogi.

Na dworze koło słupów stał wielki wóz napełniony słomą.

Położono właśnie na stole rodzaj karabiniera rosyjskiego, mającego przynajmniej sześć stóp, kula przebiła mu szyję koło ucha. Chirurg wołał o noże, któremi chciał coś zrobić koło niego, kiedy drugi chirurg ukazał się przed szpą; był to chirurg kawaleryi, gruby, krótki i cały ospowaty; miał tekę pod pachą i przechodząc zatrzymał się koło wozu.

— He! Forel! zawołał wesoło:

— A, to ty, Duchêne, odpowiedział nasz odwracając się. Ilu masz rannych?

— Siedemnaście do osmnastu tysięcy.

— Do dyabła! No a jakże idzie dzisiaj?

— No tak; upatruję właśnie szynkowni.

Chirurg nasz wyszedł z szopy dla powitania kolegi; zaczęli rozmawiać z sobą spokojnie, podczas kiedy pomocnicy pokrępalili się winem, a rossyanin z rozpacaliwą miną, przewracał oczami.

— Patrz, Duchêne, idź tylko tą ulicą... naprzeciw tej s'udni... widzisz?

— Doskonałe.

— Jak raz naprzeciw znajdziesz szynkownię.

— A, dobrze... dziękuję! uciekam!

Tamten poszedł, a nasz wołał za nim:

— Dobrego apetytu, Duchêne!

Potem wrócił do swego rossyanina, który czekał na niego i zaczął od tego, że rozernął mu szyję aż do ramienia. Pracował z miną złego humoru, mówiąc do pomocnika:

— No, panowie, no!

Rossyanin stękał, jak sobie można wyobrazić; ale on nie zważał na to i nakoniec, rzuciwszy kulę na ziemię, nałożył mu bandaż i rzekł:

— Zabierzcie!

Zdjęto rossyanina ze stołu; żołnierze złożyli go na sienniku idącym z kolei za innymi i przyniesiono sąsiada jego.

Nigdy nie myślał, że podobne rzeczy mogą się dziać na świecie; ale widziałem wiele innych jeszcze, których wspomnienie pozostanie mi na długo.

O pięć lub sześć sienników od niego, siedział stary kapral z nogą obandażowaną; mrugał oczami i mówił do sąsiada swego, któremu właśnie ucięli rękę:

— Rekrucie, popatrzno na ten stos; jestem pewny, że nie poznasz ręki swojej.

Tamten, błądy okropnie, chociaż przy operacyi okazał był największą odwagę, spojrział i prawie natychmiast stracił przytomność.

Na to kapral zaczął śmiać się i rzekł:

— Poznał ją nareszcie... To ta, na dole, z niebieskim kwiatkiem. Zawsze to sprawia taki sam skutek.

Sam siebie podziwiał, że zrobił takie odkrycie, ale nikt nie śmiał się z nim razem.

Co chwilę ranni wołali:

— Pić!

Kiedy jeden zaczynał, wszyscy szli za nim. Zje dnałem sobie zapewne przychylność starego żołnierza, bo przechodząc zawsze podawał mi swój kubek.

Byłem tam nie więcej godziny; z dziesiątek wozów o szerokiej drabinie stanęło w szeregu za pierwszym. Okoliczni chłopci, w kaftanach aksamitnych i wielkich piłśniowych kapeluszach czarnych, z białym na ramieniu oczekiwali trzymając konie za uzdę. Pikieta huzarów nadeszła wkrótce, wachmistrz zsiadł z konia i wchodząc pod szopę rzekł:

— Za pozwoleniem, panie majorze, oto jest rozkaz eskortowania dwunastu wozów z rannymi do Lutzen; czy tutaj mają ich wsadzać?

— Tak, tutaj, odpowiedział chirurg,

I zaraz potem zaczęto ładować pierwszy wóz.

Chłopci i ludzie ambulansowi dali nam jeszcze raz dobrze napić się, zanim podnieśli nas.

Jak tylko jeden wóz pełny był, posuwano go naprzód i następny podjeżdżał. Ja byłem na trzecim i siedziałem w pierwszym rzędzie na słomie, obok rekruta z 27-go pułku, nie miał on już prawej ręki; z tyłu był drugi, któremu brakowało nogi, ten miał ranę w głowie, tamten szczękę złamaną i tak dalej aż w głębi wozu.

Oddano nam długie surduty nasze i tak nam było zimno, pomimo słońca, że widać było tylko nos, czapkę wojskową, albo opaskę powyżej kołnierzyków. Wszyscy milczeli; każdy miał o czem myśleć.

Chwilami czułem straszliwe zimno, chwilami zapaliło mnie jak ogniem: był to początek gorączki. Ale kiedyśmy wyjeżdżali z Kayi, wszystko jeszcze było dobrze, wszystko dobrze widziałem; dopiero później od strony Lipska, uczułem się bardzo źle.

Nakoniec, wozy ruszyły w takim porządku: ci którzy mogli się jeszcze trzymać siedli do pierwszych wozów, a drudzy leżeli w ostatnich. Huzary, konno jadąc koło nas, rozmawiali o bitwie, palili fajki i śmieli się nie patrzeć na nas nawet.

Kiedyśmy przejeżdżali Kayę, wtenczas to ujrzałem wszystkie okropności wojny. Wieś zmieniła się w kupę gruzów. Dachy pozawały się; gdzie niegdzie tylko sterczały wierzchołki murów; belki i łaty polamane; między niemi przegłądały małe pokoiki z alkowami, drzwiami i schodami. Biedni ludzie, kobiety, dzieci, starcy błakali się po nich z rozpaczą; wchodzili i schodzili, jak gdyby w klatkach na świeżem powietrzu. Czasami, na samej górze, kominek w małym pokoju, małe lustro i gałzki bukszpanu wskazywały, że w czasach pokoju żyła tam niedyś młoda dziewczyna.

Ah! ktoś mógł przewidzieć wówczas, że całe to szczęście zostanie kiedyś zniszczonem nie przez wściekłe burze lub gniew Niebios, ale przez szaf ludzki, stokroć straszniejszy od tego wszystkiego!

Biedne zwierzęta nawet wyglądały jak gdyby osieroczone pośród tych ruin. Gołębie szukały gołębnika swego, woły i kozy swoje; obory; chodziły jak zbłąkane po uliczkach, rycząc i becząc żalosnym głosem. Kury siedziały na drzewiach, a wszędzie, wszędzie były ślady kul!

Przy ostatnim domu, siwiuteńki starzec siedział na progu zrujnowanej siedziby swojej i trzymał na kolanach małe dziecię; kiedyśmy przejeżdżali mimo, popatrzył na nas ponuro. Czy widział nas? Nie wiem; ale z głębokich bruzd na czole i z zamglonych oczu wyglądała rozpacz. Kosztem tylu lat pracy, tylu oszczędności i cierpień, zapewnił był sobie spokój na starość, a teraz wszystko zniszczone... dziecko i on nie mieli ani jednej dachówki, coby osłoniła ich głowy!..

A wielkie te doły rozległe na pół mili, — przy których ludzie miejscowi pospiesznie pracują, zapobiegając temu, by zaraza nie dokończyła zniszczenia rodu ludzkiego, — widziałem je także z wierzchołka wzgórza Kai i z wstrętem odwróciłem od nich oczy! Tak, widziałem te ogromne rowy, w których grzebią umarłych: rossyanie, francuzi, prusacy, wszyscy razem, — tak jak Bóg ich stworzył, żeby się kochali między sobą, zanim wynaleziono mundury i kitki z piór, które rozdzielają ich na korzyść tych, co nimi rządzą. Leżą tam... ściskając się... i jeżeli cośkolwiek z nich wraca do życia, czego trzeba się spodziewać; to kochają się i przebaczą sobie, przeklinając zbrodnię tych, którzy od tylu wieków nie pozwalają im być braćmi dla siebie inaczej jak po śmierci!

Ale smutniejszą jeszcze od tego rzeczą był długi szereg wozów z biednymi rannymi — nieszczęśliwi, o których mówią w biuletynach dla tego tylko, by zmniejszyć ich liczbę i którzy jak muchy giną w szpitalach, zdala od ukochanych swoich, podczas kiedy

gdzieindziej strzelają z dział i śpiewają po kościołach, radując się że pomordowano tysiące ludzi!

Kiedy przybyliśmy do Lutzen, miasto było już tak napełnione rannymi, że kazano nam jechać do Lipska. Na ulicach, wzdłuż domów, na słomie leżało mnóstwo nieszczęśliwych, na wpół umarłych. Godzinę czasu trzeba było na to, byśmy się dostać mogli przed kościół jeden, gdzie złożono piętnastu lub dwudziestu z pomiędzy nas, którzy nie mogli już znieść dalszej drogi.

Wachmistrz i ludzie jego, pokrzepiwszy się w szynkowni, na rogu placu będącej, siedli znowu na koń i jechaliśmy dalej do Lipska.

Teraz już nic nie słyszałem i nie widziałem nic; w głowie mi się kręciło, w uszach szumiało, drzewa brałem za ludzi i takie miałem pragnienie, że sobie wyobrazić trudno.

Oddawna już inni także w wozach zaczęli krzyczeć, bredzić, mówić o matce swej; chcieli wstawać i wyskoczyć na drogę. Nie wiem, czy robiłem tak samo; ale zbudziłem się jak ze złego snu, w chwili kiedy dwaj ludzie podnosili mię każdy za jedną nogę, — ramionami obejmując mię w pasie, — i nieśli mię przez ciemny plac. Niebo iskrzyło się gwiazdami, a na froncie wielkiego gmachu, który czarno odbijał wśród nocy, niezliczone roły się świeciły: był to szpital przedmieścia Hall w Lipsku.

Dwaj ludzie weszli na kręcone schody. Na górze wnieśli mię do ogromnej sali, gdzie trzy szeregi łózek stojących rzędem dotykały. Niepodobna sobie wyobrazić, jakie tam były krzyki, przekleństwa,

skażki, wszyscy ci chorzy mieli gorączkę. Okna były pootwierane, małe latarki drgały od przeciągu powietrza. Infirmierzy, doktorzy, pomocnicy, z wielkim fartuchem zawiązanym pod pachami: przesuwali się wciąż po sali. Głuchy szmer pochodzący z sal znajdujących się pod spodem, ludzie którzy wchodzili i schodzili, nowe konwoje przybywające na plac, krzyki woźniów, trzaskanie z batów, tupanie koni: wszystko to razem mieszało się i pozbawiało człowieka przytomności.

Tam, po raz pierwszy, podczas kiedy mię rozbię-  
rano, uczułem w łopatce ból tak straszny, że nie mogłem się powstrzymać od krzyku. Zarazże prawie nadszedł chirurg i złażał tych, którzy bez uwagi obchodzili się z chorym. Oto wszystko co pamiętam z tej nocy, bo byłem jak szalony: — wołałem na pomoc Katarzynę, pana Galdena, ciotkę Grédelę; opowiadał mi o tem później sąsiad mój, stary konny kanonier, któremu wówczas nie dałem spać.

Dopiero nazajutrz, koło godziny ósmej, przy pierwszym opatrywaniu, lepiej przypatrzyłem się sali. Wówczas także dowiedziałem się, że kość w łopatce mam złamaną.

Kiedy obudziłem się, ujrzałem do koła siebie z tużin chirurgów; jeden z nich, gruby brunet, którego nazywano panem baronem, zdejmował mi bandaż; jeden z pomocników trzymał przy nogach łóżka miednicę z ciepłą wodą. Główny doktor zbadał moją ranę; wszyscy inni pochylali się ku niemu, chcąc słyszeć co mówić będzie. Mówił chwil kilka; ale z tego tyle tylko zrozumiałem, że kula przesunęła

się z dołu do góry, że złamała kość i wyszła z tyłu. Przekonałem się z tego, że dobrze znał swój fach, bo prusacy strzelali z dołu, po przez wierzchołek muru ogrodowego i kula musiała pójść w górę. Sam obmył ranę i w jednej chwili założył bandaż; tak, że nie mogłem łopatką poruszyć i wszystko było w porządku.

Uczułem się daleko lepiej. W dziesięć minut potem przyszedł infirmier i włożył mi koszulę nie sprawiając żadnego bólu, taką już miał w tem wprawę.

Chirurg zatrzymał się przy drugim łóżku i mówił:

— A! ty znou tu, stary!

— Tak, panie baronie, to znou ja, odpowiedział kanonier, dumny z tego, że go poznano: za pierwszym razem było to pod Austerlitz, rano od kartaczowego ognia, potem pod Jéna, wreszcie w Smoleńsku dwie rany od lancy.

— Tak, tak, rzekł doktor jak gdyby rozczulony; a teraz cóż nam jest?

— Trzy cięcia szablą na lewym ramieniu, kiedyś bronił działa mego przeciw huzarom pruskim.

Chirurg zbliżył się, rozwiązał bandaż i słyszałem jak pytał u kanoniera:

— Masz krzyż?

— Nie, panie baronie.

— Nazywasz się?

— Krystyan Zimmer, wachmistrz w 2-gim pułku konnej artylerji.

— Dobrze! dobrze!

Opatrzył rany i rzekł powstając

— Wszystko pójdzie dobrze!

Historja Rekruta.



Odwrócił się rozmawiając z drugimi; załatwiwszy się ze wszystkimi chorymi i wydawszy parę rozkazów infirmierom, wyszedł.

Stary kanonier zdawał się być uszczęśliwiony; z jego imienia domyśliwszy się, że pochodził z Alzacyi, zacząłem rozmawiać z nim naszym językiem, tak że się jeszcze mocniej ucieszył. Był to chłop mający sześć stóp, łopatki okrągłe, czoto płaskie, nos duży, wąsy rudo-blond, twardy jak kamień, ale pomimo to dobry człowiek. Przymróżał oczy, kiedy mówiono do niego po alzacku i nadstawał uszu; mógłbym żądać od niego wszystkiego po alzacku, byłby mi wszystko oddał, gdyby miał cokolwiek; miał tylko ręce, któremi cię tak ścisnął, że aż kości trzeszczały. Nazywał mię *Joséphel*, jak u nas i mówił:

— *Joséphel* strzeż się połykać lekarstwa które ci dają.... Połykać należy tylko to co znamy.... Wszystko co śmierdzi nie nie warte. Gdyby codziennie dawano nam po butelce Rikerizu, prędko bylibyśmy zdrowi; ale łatwiej jest psuć nam żołądki garścią trawską ugotowanego w wodzie, aniżeli dawać wina białego alzackiego.

Kiedy strach mię przejmował na myśl gorączki i tego wszystkiego co mi się wówczas roiło, on przybierał minę zagniewaną i patrząc się na mnie swemi wielkimi siwymi oczami, mówił:

— *Joséphel*, czyś oszalał, że się boisz? Czyż takie jak my zuchy, mogą umrzeć w szpitalu? Nie... nie... wybij to sobie z głowy.

Ale pomimo jego gadania, co rano, doktorzy, obchodząc salę, znajdowali siedmiu lub ośmiu umarłych. Jedni dostawali gorączki, drudzy zaziębiali się i zawsze kończyło się to marami, które widzieliśmy przesuwające się na ramionach infirmierów! — tak że nie wiadomo było czego potrzebowaliśmy do zdrowia, gorąca czy zimna.

Zimmer mówił do mnie:

— Wszystkiego tego przyczyną, *Joséphelu*, są te szkaradne mikstury, które doktorowie wymyślają. Czy widzisz tego wielkiego chudego? Może się on pochwalić, że zabił więcej ludzi niż niejedna armata; jest jak gdyby zawsze nabity kartaczami i z lontem zapalonym. A ten mały brunet? na miejscu cesarza, byłbym go posłał prusakom i rossyanom; zabiłby im więcej ludzi aniżeli korpus wojska.

Byłby mię śmieszył żartami swemi, gdybym nie widział jak niesiono mary.

Po upływie trzech tygodni, kość w łopatce mojej zaczęła się zrastać, dwie rany zamykały się powoli, nie cierpiałem prawie wcale. Cięcia szabłą, które Zimmer miał na ramieniu i na łopatce, szły także bardzo dobrze. Codziennie rano dawano nam dobry bulion, który rozdziewał nam żołądki, a wieczorem trochę wołowiny i pół szklanki wina, którego sam widok radował już nas i ukazywał przyszłość z pięknej strony.

Koło tegoż czasu pozwolono nam chodzić po wielkim ogrodzie, pełnym starych więzów, za szpitalem. Były tam ławki pod drzewami; przechadzaliśmy się po alejach jak prawdziwi kapitaliści, w długich naszych szarych surdutach i szlafmycach.

Czas był przesłiczny; wzrokiera sięgaliśmy do Party, nad brzegami której rosły topole. Rzeka ta wpada z lewej strony do Elstery, zarysowując wielkie niebieskie linie. Z tejże samej strony ciągnie się las bukowy, a na przodzie biegną trzy lub cztery drogi białe, które przerzynają łąny zboża, jęczmienia, owsa, plantacyi chmielu, słowem wszystko co można sobie wyobrazić przyjemnego i bogatego, szczególniej kiedy wiatr powiewie w tę stronę i kiedy wszystkie to pochyla się i podnosi na słońcu.

Ciepły czerwiec zapowiadał dobry rok. Często patrzę na ten piękny kraj, myślałem o Phalsburgu i zaczynałem płakać. Zimmer mówił mi wówczas:

— Chciałbym wiedzieć, czego u diabła płaczesz, *Joséphel*? Uchroniliśmy się od zarazy szpitalnej, nie straciliśmy ani ręki, ani nogi tak jak tysiącach innych biedaków i teraz oto spokojnie siedzimy tu sobie w cieniu na ławce; dają nam bulion, mięso i wino; pozwalają nawet palić, jeżeli mamy tytoń, i jeszcze nie kontent? Czegóż ci brakuje?

Opowiedziałem mu wówczas o naszej miłości z Katarzyną, o przechadzkach moich do Quatre Vents, o pięknych naszych nadziejach, o obietnicach pobrania się, słowem o tym szczęśliwym czasie, który już przeminął. Słuchał mię paląc fajkę.

— Tak, tak, mówił, smutno to w istocie. Przed konskrypcją 1798 roku miałem także żenić się z dziewczyną ze wsi naszej; nazywała się Margrédel; kochałem ją jak oko w głowie. Daliśmy sobie słowo i podczas całej kampanii zurichskiej, nie było dnia, że bym nie myślał o Margrédeli.

— Otóż, jak tylko dostałem pierwszy urlop, wracam do siebie i czegoś się dowiaduję? Że wyszła za mąż trzy miesiące temu za szewca tam u nas zwanego Passauf,

— Możesz sobie wyobrazić, jak byłem wściekły *Joséphelu*; jak nieprzytomny chciałem wszystko zburzyć; dowiedziawszy się, że Passauf był w piwiarni pod *Wielkim Jeleniem*, natychmiast pobiegłem tam nie oglądając się po za siebie. Kiedym przyszedł ujrzałem go na rogu stołu, przy oknie wychodzącym na dziedziniec, koło pompy. Śmiał się z trzema lub czterema lotrami, takimi jak on sam, pijąc z kufłów. Zbliżam się, a on zaczyna krzyczeć: „Patrzcie, patrzcie, a toż to Krystyan Zimmer! Jak się masz Krystanie? Muszę cię pozdrowić w imieniu Margrédeli!” Mrugał oczyma mówiąc to. Ja, chwytam w tejże chwili dzban i tłukę go na jego lewem uchu, mówiąc: „Zanieś to jej odemnie, Passauf; to mój podarek ślubny”. Naturalnie, że wszyscy tamci rzucając się na mnie, dwóch lub trzech jeszcze kalcę konwią; wskakuję na stół, przez okno wylatuję na plac i umykam.

— Ale zaledwem wrócił do domu matki, kiedy żandarmi zjawiają się i aresztują mię z wyższego rozkazu. Związanego kładą mię na wózek i od brygady do brygady przywożą mię nakoniec do półku, który stał w Strasburgu. Sześć tygodni siedzę w Finmatt, a może nawet skazanoby mię na kulę, gdybyśmy wówczas nie byli przeszli Renu, udając się do Hohenlinden. Komendant Constand sam mi powiedział: Masz szczęście, iż dobrze celujesz; ale jeżeli

jeszcze kiedy trafi ci się zabijać ludzi dzbanem, to uprzedzam cię, że źle będzie. Czyż to tak należy się bić, bydłę jakieś? Pocóż mamy szablę, jeżeli nie dla tego, by jej używać i za jej pomocą honor krajowi przynosić?" Nie na to nie mogłem odpowiedzieć.

— Od tego czasu, *Joséphelu*, straciłem ochotę do żeniactwa. I teraz nie mów mi o żołnierzu, który myśli o żonie, to prawdziwa nędzota. Popatrz na generałów, którzy się poženili, czy biją się jak dawniej? Nie, jedno im tylko na myśli, zbierać pieniądze, a głównie używać ich na dobre życie za piecem, wraz z księżniczkami i małemi książkami swemi. Mój dziad Yéri, gajowy, zawsze mówił, że dobry myśliwy pies powinien być chudy; pominąwszy różnice stopni, to samo myślę o dobrych generałach, co i dobrych żołnierzach. My, żołnierze, zawsze jesteśmy na ordynansie, ale generałowie nasi tyją, a to z powodu dobrych obiadów, które jedzą w domach swoich.

Tak mówił do mnie Zimmer w szczeroci ducha swego, ale nie przeszkadzało mi to być smutnym.

Jak tylko mogłem już wstać, pośpieszyłem był zawiadomić pana *Guldena* listem, że byłem w szpitalu *Hall*, na jednym z przedmieść *Lipska*, a to z powodu lekkiej rany w ramię; ale że nie trzeba lękać się o mnie, bo czuję się coraz lepiej. Prosiłem go, żeby pokazał list mój *Katarzynie* i ciotce *Grédeli*, ażeby się uspokoiły trochę o do tej strasznej wojny. Pisałem mu także, iż największem szczęściem dla mnie byłoby, gdybym miał wiadomości z kraju o zdrowiu tych, których kocham.

Od tej chwili nie miałem spokoju; co rano czekałem odpowiedzi, i kiedy wachmistrz rozdawał listy na sali—było ich dwadzieścia, czasem trzydzieści— a ja patrzyłem tylko na to, bo do mnie nic nie było, serce mi się wówczas krwawiło: szybko zbiegłem do ogrodu i zalewałem się łzami. Był tam jeden ciemny kąt, gdzie rzucono potłuczony garnuszek; miejsce to mocno zacienione najwięcej mi się podobało, bo chorzy nigdy tam nie chodzili. Tam na spruchniałej ławce spędzałem czas marząc. Złe myśli przychodziły mi do głowy: dochodziło czasem do tego, że m posadażał *Katarzynę* o zapomnienie obietnic i myślałem sobie: „Ah! gdybyś był zginął pod *Kają*, wszystkoby się skończyło!... Dla czego nie pozostawiono cię tam! To lepiej byłoby, aniżeli tyle cierpień.

Do tego doszło stopnia, że nie chciałem już wzdrowieć, kiedy pewnego rana wachmistrz między innymi imionami wywołał *Józefa Berthe*. Podniosłem wówczas rękę nie mogąc słowa przemówić i oddano mi gruby czworograny list, pokryty niezliczonymi markami. Poznawszy pismo *Guldena*, zbladłem.

— No! rzekł mi Zimmer śmiejąc się, przyszło na koniec.

Nie odpowiedziałem mu nic i ubrawszy się wsunąłem list do kieszeni, poczem zeszedłem na dół, by go przeczytać samemu, w głębi ogrodu, na mojem zwykłym miejscu.

Najprzód, otworzywszy list, ujrzałem dwa lub trzy kwiatki jabłoni, które wziąłem w rękę i przekazałem pocztowy wraz z kilku słowami pana *Guldena*. Nie

to jednak wruszało mię tak, że drżałem od stóp do głowy, było to pismo Katarzyny, na które patrzyłem zamglonemi oczyma, nie mogąc czytać, bo serce mi biło gwałtownie.

Nakoniec uspokoiłem się trochę i zacząłem powoli czytać list, zatrzymując się od czasu do czasu, żeby być pewnym, że się nie mylę, że to moja droga Katarzyna pisała do mnie i że to nie sen.

List ten zachowałem, bo on to wrócił mi niejako życie, i oto słowa zawarte w nim, tak jak je otrzymałem 8 czerwca 1813 roku:

„Mój kochany Józefie!

„List ten piszę dla tego, by ci najprzód powiedzieć, że kocham cię coraz bardziej i ciebie jednego tylko kochać będę.

„Wiedsz takżę o tem, że największem mojem zmartwieniem jest to, że leżysz ranny w szpitalu i że nie mogę cię pielęgnować. Jest to bardzo wielkie zmartwienie. Od wyjścia rekrutów nie mieliśmy ani godziny spokoju. Matka gniewała się, żem szalona, że płaczę tak dzień i noc, a sama płakała również, kiedy wieczorem została sama przy ognisku, słyszałam to dobrze z góry; i gniew jej spadał na Pina-kła, który nie śmiał już pokazywać się na rynku, wiedząc że ona nosi w koszyku swym młot.

„Ale największy nas smutek ogarnął, Józefie, kiedy rozeszła się pogłoska o stocznej bitwie, w której tysiące ludzi poginęło. Nie żyliśmy prawie; matka co rano biegła na pocztę; a ja nie mogłam ruszyć się z łóżka. Nakoniec list twój przyszedł. Teraz

lepiej mi jest, bo płaczę swobodnie, błogosławię Bogu, który ocalił ci życie.

„I kiedy pomyślę sobie, jak byliśmy szczęśliwi wówczas, Józefie, kiedy przychodziłeś do nas w niedzielę i kiedy nieruchomie siedzieliśmy jedno obok drugiego, nie myśląc o niczem! Ah! nie rozumieliśmy szczęścia naszego; nie wiedzieliśmy co może nas spotkać; ale niech się dzieje wola Boża! Żebyś przynajmniej wyzdrowiał teraz, żebyśmy mogli spodziewać się, że raz jeszcze będziemy razem tak jak dawniej!

„Wiele osób mówi o pokoju, ale tyle nieszczęść spadło już na nas i cesarz tak lubi wojnę, że nie można wierzyć niczemu.

„Najwięcej mię to cieszy, że rana twoja nie jest niebezpieczną, że kochasz mię jeszcze... Ah! Józefie, ja zawsze kochać cię będę, nie innego powiedzieć nie mogę; oto wszystko, co mogę ci powiedzieć z głębi serca, a wiem, że i matka kocha cię też bardzo.

„Teraz pan Gulden chce także napisać do ciebie słów kilka i całuję cię tysiąc tysięcy razy.

„Piękny tu bardzo czas mamy; będziemy mieli dobry rok. Wielka jabłoń w sadzie obsypana kwiatami; zerwę ich kilka i włożę do listu, jak pan Gulden skńczy pisać. Może Bóg da, że raz jeszcze będziemy jeść razem jedno z tych jablek. Uściśnij mię tak jak ja ciebie i bądź zdrow, bądź zdrow, Józefie!”

Czytając to zalewałem się łzami, a kiedy Zimmer nadszedł, rzekłem do niego:

— Chodź, siadaj, przeczytam ci, co pisze moja ukochana, a zobaczysz czy to jest druga Margrédel-

— Pozwól mi tylko zapalić fajkę, odpowiedział.

Położył pokrywkę na hubkę, potem dodał:

— Możesz zaczynać, *Joséphel*; ale uprzedzam cię, żem stary i nie wszystkiemu co napisane wierzę.. kobiety chytřejsze są od nas.

Pomimo to, odczytałem mu powoli list Katarzyny. Nic nie mówił, a kiedy skończyłem, wziął go ode mnie i długo patrzył z miną zasmuconą; wreszcie oddał mi go mówiąc:

— To, *Joséphel*, to dobra dziewczyna, pełna zdrowego rozsądku i która nigdy innego jak ciebie nie weźmie.

— Myślisz, że kocha mię?

— Tak, ta, tej możesz ufać; nigdy nie wyjdzie za takiego Passaufa. Prędejbym niedowierzał cesarzowi, aniżeli podobnej dziewczynie.

Słyszac to słowa Zimmera; chciałbym był uściskać go i rzekłem mu:

— Otrzymałem z domu bilet na sto franków, które weźmiemy z poczty. Oto rzecz główna, co się tyczy wina białego. Starajmy się mózż wyjść ztąd.

— To dobrze pomyślano, rzekł muskając wielkie swe wąsy i wkładając fajkę do kieszeni. Nie lubię pleśnieć w ogrodzie, kiedy po za nim są dwie oberże. Trzeba postarać się o pozwolenie wyjścia.

Wstaliśmy wesoło i wchodziliśmy właśnie na schody; kiedy wachmistrz, który schodził z góry, zatrzymał Zimmera pytając go:

— Czy to nie wy jesteście Krystyan Zimmer, kanonier z 2-giej konnej artylerji?

— Zprzeproszeniem waszem, wachmistrzu, mam ten honor.

— Kiedy tak, to oto coś dla was, rzekł podając mu pakiet i wielki list.

Zimmer był w osłupieniu, bo nigdy nie przysyłano mu nic, ani z domu, ani z niskąd. Otworzył pakiet, — w którym było pudełko, — potem otworzył pudełko i ujrzał krzyż honorowy. Zbladł wówczas, oczy mu się zamglily i na chwilę oparł się o balustradę; ale potem krzyknął: *Niech żyje Cesarz!* głosem tak strasznym, że we wszystkich trzech salach jak w kościele odbity się te słowa wielkiem echem.

Wachmistrz patrzył na niego wesoło:

— Radzi jesteście? rzekł.

— Czy jestem rad, wachmistrzu! teraz tylko jednej rzeczy mi trzeba.

— Czego?

— Pozwolenia wyjścia na miasto.

— Musicie prosić o nie pana Tardieu, głównego chirurga.

Zeszedł na dół śmiejąc się, a że była to godzina odwiedzin doktorskich, poszliśmy zatem trzymając się pod rękę, prosić o pozwolenia majora, starego z siwą głową, który słyszał był okrzyk: *Niech żyje cesarz!* i patrzył teraz na nas poważnie.

— Co to jest, rzekł.

Zimmer pokazał mu swój krzyż i powiedział:

— Przepraszam, majorze, ale zdrow jestem jak ryba.

— Wierzę temu, rzekł pan Tardien, chcecie pozwolenia na wyjście.

— Jeżeli łaska pańska, dla mnie i mego kolegi, Józefa Berthe.

Doktór oglądał mi był ranę dnia poprzedzającego; wyjął więc z kieszeni swój pugilares i dał nam dwa pozwolenia.

Wyszliśmy, dumni jak króle: Zimmer ze swego krzyża, a ja z listu mego.

Na dole, w wielkim przysionku, odźwierny zawołał do nas:

— A no! a no! a gdzież to idziecie?

Zimmer pokazał mu nasze bilety i wyszliśmy szczęśliwi, że możemy odetchnąć innym powietrzem. Sztyldwach wskazał nam biuro pocztowe, gdzie udałem się po moje sto franków.

Wówczas, poważniejsi już, bo radość nasza stała się bardziej wewnętrzna, skierowaliśmy się ku bramie Hall, odległej na dwa strzały, na lewo, na końcu długiej lipowej alei. Każde przedmieście oddzielone jest od starych szanców jedną z takich alei, a do koła Lipska, znajdują się także droga bardzo szeroka, również wysadzana lipami. Za szançe służyły stare mury, — jak w Saint-Hippolyte, nad Górnym-Renem, — mury na których trawa porasta, chyba że Niemcy naprawili je po 1813 roku.

## XVI.

Ileż rzeczy mieliśmy się dowiedzieć dnia tego! W szpitalu nikt się nie troszczy o nic; kiedy codziennie rano patrzy się na to, jak przywożą pięćdziesięciu rannych, a wieczorem widzi się, jak tyluż ich wynosi się na marach, to świat maleje ci w oczach i myślisz sobie: Za nami wszystko się kończy!

Ale kiedy wyjdiesz na świat, myśli twoje zmieniają się. Kiedym się znalazł na wielkiej ulicy Hall, całe to stare miasto i jego magazyny, bramy przepelnione towarami, dachy wystające naksztalt szop, wielkie wozy pokryte pakami, słowem całe to widowisko życia czynnego kupców, zachwyciło mię. Nigdy jeszcze nie widziałem nic podobnego i mówiłem sobie:

„Oto jest prawdziwe miasto handlowe, jak je sobie przedstawiamy: — pełne przemysłnych ludzi, starających się zapracować sobie na życie, dostatek i bogactwa; gdzie każdy chce wznieść się nie ze szkodą innych, ale pracując, przemyślając dzień i noc nad sposobami zapewnienia pomyślności rodziny swojej; nie przeszkadza to jednak całemu światu korzystać z ich wynalazków i odkryć. Oto jest szczęście pokoju wśród straszliwej wojny!”

I litość mię brała patrząc na biednych rannych, którzy szli z ręką na temblaku, lub włożyli nogę opierając się na kulach.

Zamyślony, dawałem się prowadzić mojemu przyjacielowi Zimmerowi, który poznawał wszystkie te kąty i mówił mi:

— To jest kościół Świętego Mikołaja; to, to wielki gmach Uniwersytetu; to jest ratusz.

Pamiętał tu wszystko, bo był w Lipsku w 1807 roku, przed bitwą Friedlandską i bezustannie powtarzał mi:

— Jesteśmy tutaj tak jak w Metz, w Strasburgu, lub gdziekolwiek bądź we Francji. Ludzie dobrze nam życzą. Po kampanii w 1806 roku, okazywano nam jak największą uprzejmość. Mieszczanie zapraszali nas po trzech, czterech, do siebie na obiad.

Wydawano bale dla nas i nazywano bohaterami Jeny. Zobaczysz, jak nas kochają! Możemy wejść gdzie chcemy, a wszędzie przyjmą nas jak dobroczyńców kraju: my to mianowaliśmy ich elektora królem saskim i daliśmy mu także dobry kawałek Polski.

Nagle Zimmer zatrzymał się przed jakimiś niskimi drzwiczkami, wołając:

— Patrzcie, toż to piwiarnia z pod *Złotego Barana*. Front jest po tamtej stronie, ale możemy wejść tędy. Chodź!

Wszedłem za nim do kurytarza krętego, który zaprowadził nas wkrótce na stary dziedziniec, otoczony wysokimi budynkami zlepionymi z gliny, z małymi spróchniałymi galeryjkami pod kończastym szczytem muru i z chorągiewką na wierzchu, jak na ulicy *Fossé-des-Tanneurs* w Strasburgu. Na prawo była piwiarnia: koło niej widać było kadzie okute żelazem, leżące na czarnych belkach, kupy chmielu i jęczmienia już ugotowane, a w kącie jednym wielkie koło z korbą, gdzie biegał ogromny pies, pompując piwo na wszystkie piętra.

Brzęk szklanek i blaszanych dzbanów dochodził z sali na prawo, wychodzącej na ulicę Tilly, a pod oknami tej sali znajdowała się głęboka piwnica, gdzie rozlegał się stuk młota bednarza. Przyjemny zapach młodego marcowego piwa rozchodził się w powietrzu, Zimmer podniósłszy oczy na dachy, z twarzą różpromienioną zawołał:

— Tak, to tutaj przychodziliśmy: wielki Ferré, kanonier z lewej strony działa, gruby Roussillon i ja.

Wielki Boże, jakże się cieszę, *Joséphel*, że widzę to wszystko znowu! Bo też to już sześć lat minęło od tego czasu. Biedny Roussillon złożył kości swoje w przeszłym roku w Smoleńsku, a wielki Ferré musi być teraz we wsi swojej, bo stracił nogę pod Wagram. Jak to się wszystko przypomina, kiedy się pomyśli o tem!

To mówiąc pchnął drzwi i weszliśmy do wysokiej sali pełnej dymu. Po chwili dopiero, kiedy oko oswoiło się z owym szarym obłokiem, ujrzałem długi szereg stołów, otoczonych pijącymi, którzy po większej części mieli na sobie krótkie tużurki i małe czapczki; inni zaś byli w mundurach saskich. Byli to studenci, młodzi synowie rodzin, którzy przyjeżdżają do Lipska uczyć się prawa, medycyny i wszystkiego tego, czego można się nauczyć wypróżniając kufle i prowadząc wesołe życie, które w swym języku nazywają *Fuchscommere*... Biją się często pomiędzy sobą, używając do tego rapirów zaokrąglonych na końcu i zaostzonych tylko na kilka linii; takim sposobem robią sobie szramy na twarzy, jak mi opowiadał Zimmer, ale nigdy niebezpieczeństwo nie grozi ich życiu. Pokazuje to zdrowy rozsądek tych studentów, którzy wiedzą o tem dobrze, że życie jest cenną rzeczą i że lepiej mieć pięć lub sześć, a nawet więcej szram na twarzy, aniżeli je postradać.

Zimmer śmiał się opowiadając mi o tem; miłość sławy zaślepiła go; powiadał, że gdyby kto nabił działa pieczonemi jabłkami, znaczyłoby to to samo, co bić się owemi zaokrąglonemi rapirami.

Nakoniec weszliśmy do sali i ujrzelśmy najstarszego z pomiędzy owych studentów, — był to suchy, wysoki mężczyzna, z zapadłymi oczyma, z nosem czerwonym i z brodą blond wpadającą w żółty kolor, a to od zbyt częstego moczenia jej w piwie; — ujrzelśmy go stojącego na stole i głośno czytającego gazetę, która z prawej ręki zwieszała mu się nakształt fartucha. Drugą ręką trzymał porcelanową fajkę.

Wszyscy koledzy jego, z włosami blond, które w długich puklach spadały im na kołnierze małych turków, słuchali go trzymając do góry kufle. W chwili kiedyśmy wchodzili, usłyszeliśmy jak powtarzali między sobą:

— *Faterland! Faterland!*

Stukali w kieliszki pijąc do żołnierzy saskich, podczas kiedy ów wysoki suchy nachylił się także chcąc wziąć swój kufel; a gruby piwowar, z głową siwą i kręconemi włosami, ze splaszczonym nosem, z okrągłemi oczami i z policzkami przypominającemi dynię, krzyczał szepleniąc:

— *Gesundheit! Gesundheit!*

Zaledwieśmy zrobili kroków cztery wśród tego dymu, kiedy wszystko na raz umilkło.

— No, no, koledzy, zawołał Zimmer, nie przeskadzamy, czytajcie, cóż u diabła? Radzibyśmy też dowiedzieć się czegoś nowego.

Ale młodzi ludzie nie chcieli korzystać z zaprosin naszych i stary zląkł ze stołu składając gazetę, którą włożył do kieszeni.

— Skończyliśmy już, rzekł, skończyliśmy.

— Tak, skończyliśmy, powtórzyli inni spoglądając na siebie dziwnym wzrokiem.

Dwaj lub trzej żołnierze wyszli natychmiast, jak gdyby chcąc odetchnąć powietrzem na dziedzińcu i znikli.

Gruby oberżysta zapytał nas:

— Może nie wiecie, że wielka sala jest od ulicy Tilly?

— Owszem, wiemy o tem dobrze, odpowiedział Zimmer, ale wolę tę małą. Tutaj przychodziliśmy niegdyś, dwaj starzy koledzy i ja, wychylić parę kufłów na cześć Jeny i Austerlitz. Sala ta miłe we mnie budzi wspomnienie.

— A!... jak chcecie, jak chcecie, rzekł piwowar. Żądacie piwa marcowego.

— Tak, dwa kufle i gazetę.

— Dobrze! dobrze!

Podał nam dwa kufle i Zimmer który nie zauważał nic, próbował zawiązać rozmowę ze studentami, ale ci usuwali się od niej pod różnemi pozorami i jeden za drugim wychodzili. Czułem, że ludzie ci mieli do nas nienawiść tem straszniejszą, że nie śmieli okazać jej zaraz.

W gazecie, która pochodziła z Francji, mówiono tylko o zawieszeniu broni, po dwóch nowych zwycięstwach pod Bautzen i pod Wurtschen. Dowiedzieliśmy się wówczas, że zawieszenie to rozpoczęło się 6 czerwca i że odbywały się konferencje w Pradze, w Czechach, w celu zawarcia pokoju.

Naturalnie, że robiło mi to przyjemność; miałem nadzieję, że przynajmniej kalekich odeślą do domów.

Historja Rekruta.



Ale Zimmer, swoim zwyczajem mówiąc głośno, na całą salę robił awagii; przerywał mi za każdym wierszem, mówiąc:

— Zawieszenie broni!... A nam po co zawieszenie broni, nam? Pobiwszy prusaków i rossyan pod Lutzen, pod Bautzen i pod Wurtschen, czyż nie powinniśmy byli zniszczyć ich do szczytu? — A oui, gdyby nas pobili, czyby nam dali zawieszenie broni. — Otóż, widzisz, Józefie, to taki charakter cesarza, nadto jest dobry... nadto dobry!... Jest to jego jedyna wada. Zrobił to samo po Ansterlitz i musieliśmy potem rozpocząć na nowo. Powiadam ci, że jest nadto dobrym. Ah! gdyby on nie był tak dobrym, byłibyśmy panami całej Europy.

Mówiąc to oglądał się na prawo i lewo, pytając o zdanie innych. Ale strasznie krzywo patrzano na nas i nikt nie chciał odpowiadać.

Nakoniec Zimmer powstał.

— Idźmy, Józefie, rzekł. Co do mnie, nie znam się na polityce; ale powiadam, że nie powinniśmy byli dawać zawieszenia broni tym łotrom; kiedyśmy ich obalili już, to trzeba było podoptać.

Zapłaciwszy wyszliśmy i Zimmer rzekł do mnie:

— Nie wiem, co im dziś jest; przeszkodziliśmy im w czemś,

— Bardzo być może, odpowiedziałem mu, nie wyglądali weale na takich dobrych chłopców, jak mi mówiłeś.

— Nie, rzekł. Bo to widzisz, ci młodzi ludzie daleko niżej stoją od dawnych studentów, których widywałem tutaj. Tamci, rzec można, życie swoje prze-

pełdzali w piwiarni. Wypijali po dwadzieścia a nawet do trzydzieści kufłów dziennie; ja sam, Józefie, nie mogłem wależyć z podobnymi zuchami. Pięciu czy sześciu z pomiędzy nich miało siwą brodę i wyglądało poważnie; nazywano ich *seniorami*. Śpiewaliśmy razem *Fanfau-la-Tulpe* i *Król Dagobert*, które nie są pieśniami politycznemi; ale ci nie wari ci tamtych!

Nieraz potem myślałem o tem, cośmy widzieli dnia tego i jestem pewny, że studenci owi należeli do *Tugend-Bundu*.

Kiedyśmy wrócili do szpitala, zjadłszy dobry obiad i wypiwszy po butelece dobrego białego wina w oberży pod *Gronem*, na ulicy Tilly, dowiedzieliśmy się, Zimmer i ja, że tegoż wieczora pójdziemy spać do koszar Rosenthálu. Był to rodzaj przytułku dla rannych pod Lutzen, kiedy ci zaczynali już przychodzić do zdrowia. Żyło się tam zwykle jak w garnizonie; rano i wieczór trzeba było stawać do apelu. Resztę czasu, byliśmy wolni. Co trzy dni doktor odwiedzał nas i temu, kto wyzdrowiał zupełnie, dawano pasport i kazano łączyć się z korpusem, do którego należał.

Można sobie wyobrazić jakie było położenie owych kilkunastu set biedaków, ubranych w szare surduty z ołowianemi guzikami, wielkie kaszkiety w kształcie wazonów i trzewiki zużyte marszami i kontrmarszami; bladzi, mizerni, po większej części bez grosza, cóż mogli znaczyć w tak bogatym jak Lipsk mieście. Nie bardzo wspaniale wyglądaliśmy wśród tych studentów, tych mieszczan porządných, tych młodych śmiejących się kobiet; pomimo naszej śla-

wy, wszystko to patrzyło na nas jak na obdartaśców.

Położenie to smutniejszym mi się jeszcze wydawało po tych wszystkich pięknych rzeczach, które kolega mi opowiadał.

Prawda, że kiedyś przyjmowano nas tu dobrze; ale nasi nie zawsze uczciwie postępowali względem tych, którzy ich jak bracia przyjmowali i teraz zamknięto nam drzwi przed nosem. Od rana do wieczora spoglądaliśmy tylko na place, kościoły i wystawy wędlarniane, które w tym kraju bardzo są piękne.

Staraliśmy się o rozmaite rozrywki; starzy grali w *drogue*, młodzi w *bouchon*. Mieliśmy także przed koszarami grę w kota i szczura. Jest to kofek wbity w ziemię, do którego przywiązane są dwa sznurki, szczur trzyma jeden z nich, a kot drugi. Oba mają oczy związane; kot uzbrojony jest w gruby a krótki kij i stara się spotkać ze szcurem, który nadstawia ucha i unika go jak może. Tak się kręcą do koła na palcach i zabawiają całe towarzystwo widokiem zręczności swojej.

Zimmer powiadał mi, że dawniej poczciwi Niemcy tłumnie schodzili się patrzeć na to widowisko i że o pół mili stęchać było śmiech ich, kiedy kot dotknął kijem szczura. Ale czasy zmieniły się bardzo; teraz ludzie przechodzili nie odwracając głowy nawet, napróżno staraliśmy się wzbudzić w nich współczucie.

Podczas tych sześciu tygodni, które przepędziliśmy w Rosenthalu, Zimmer i ja często zwiedzaliśmy

miasto dla rozrywki. Wychodziliśmy przedmieściami Randstatt i szliśmy aż do Lindenau, po drodze do Lutzen. Nie widzieliśmy dokoła nic prócz mostów, bagien i małych wysp. W szynku pod *Karpiem* jedliśmy jajecznicę ze słoniną i zapiliśmy ją butelką wina białego. Nie dawano nam nic na kredyt, jak to było po bitwie pod Jena; przeciwnie, sądzą że oberżysta kazałby był nam płacić w dwójnasób, a nawet w trójnasób, gdyby towarzysz mój nie był znał ceny jaj, słoniny i wina, jak pierwszy lepszy Niemiec.

Wieczorem, kiedy słońce zachodziło za trzciny Elstery i Pleissy, wracaliśmy do miasta przy melancholicznym śpiewie żab, których miliardy żyje w tych bagnach.

Czasami zatrzymywaliśmy się na którymś z mostów i oparłszy się na balustradzie, patrzyliśmy na stare szafce Lipska, na jego kościoły, starożytne rudery i zamek Plessenburg, a wszystko to oświetlone czerwonym światłem zachodu: miasto szpicem usuwa się w kąt utworzony przez Pleissę i Parthę, które jednoczą się z sobą poniżej. Lipsk ma kształt wachlarza; przeciwnie Hall znajduje się na końcu, a siedm innych przedmieść tworzą gałęzie wachlarza tego. Patrzyliśmy też na tysiące ramion Elstery i Pleissy, krzyżujących się z sobą jak sieć między wyspami ciemnymi już, podczas kiedy woda świeciła się jak złoto; znajdowaliśmy to bardzo pięknem.

Ale gdybyśmy wiedzieli byli, że kiedyś, przegrawszy najstraszniejszą i najkrwawszą z bitew, przyjdzie nam przebywać te rzeki pod działaniami wrogów i że całe pułki poginą w tych wodach, które teraz

sprawiły przyjemność oczom naszym, gdybyśmy byli wiedzieli o tem; sądzą, że widok ten zasmuciłby nas bardzo.

Innym razem szliśmy brzegiem Pleissy aż do Mark-Klébergu. Było to więcej mili drogi i wszędzie równina pokryta była zbożem, które pośpiesznie sprzątano. Ludzie siedzący na wielkich wozach, zdawali się nie widzieć nas; kiedyśmy ich pytali o co, zdawali się nas nie rozumieć. Zimmer zawsze chciał gniewać się; powstrzymywałem go mówiąc, że szukali tylko pozoru jakiegoś, by rzucić się na nas i że zresztą kazano nam względnie postępować z ludnością.

— To dobrze! mówił; jeżeli wojna ta przyjdzie... strzeżcie się! Obsypaliśmy ich dobrodziejstwem... i ot jak przyjmują nas!

Niechęć tych ludzi względem nas, maluje się lepiej jeszcze w tem co nam się przytrafiło nazajutrz potem, jak się skończyło zawieszenie broni. Tego dnia, koło godziny jedenastej, zachciało się nam wykąpać w Elsterze. Rozegraliśmy się już byli, kiedy Zimmer spostrzegłszy chłopca idącego drogą z Konnewitz, pyta u niego:

— He! kolego, niema tu niebezpieczeństwa?

— Nie, nie, wychodźcie śmiało, odpowiedział ten człowiek; tu dobre miejsce.

Zimmer, nie mając żadnego podejrzenia, zanurzył się i poszedł na dół o piętnaście stóp. Pływał dobrze, ale ramię lewe było jeszcze słabe; prąd wody porwał go, nie dając mu czasu uciepić się gałęzi wierzb zwieszających się nad wodę. Gdyby na szczęście

swoje nie trafił trochę na bród, co mu pozwoliło przyjść do sił, byłby się dostał między dwie wyspy mulu, z kąd nigdyby już nie był wyszedł.

Chłop zatrzymał się na drodze, chcąc widzieć, co będzie dalej. Gniew mię porwał i zacząłem szybko ubierać się, z daleka pokazując mu pięść; ale on zaczął się śmiać i dobrym krokiem podążył do wsi.

Zimmer nie posiadał się z oburzenia; chciał biedzić do Konnewitz i odszukać łotra tego; na nieszczęście było to niepodobieństwem: czyż można znaleźć w trzystu lub czterystu chałupach człowieka, który się ukrywa! A zresztą, gdybyśmy go nawet znaleźli, cóżbyśmy z nim mogli zrobić?

Nakoniec, wykąpaliliśmy się tam, gdzie nie było nazbyt głęboko i świeżość wody uspokoiła nas.

Pamiętam, że kiedyśmy wracali do Lipska, Zimmer mówił tylko o zemście.

— Cały kraj jest przeciw nam, powiedział; mieszczanie krzywią się na nas, kobiety odwracają plecami, chłopci chcą nas topić, oberżyci odmawiają kredytu, jak gdybyśmy ich nie zawojowali dwa lub trzy razy; a wszystko to pochodzi z naszej nadzwyczajnej dobroci: powinniśmy byli oświadczyć im bez ogródek, żeśmy panami! — Daliśmy niemcom królów i książąt; zrobiliśmy nawet hrabiów, książąt i baronów, nadając im przytem imiona wiosek ich; obsypaliśmy ich honorami i oto teraz ich wdzięczność!

— Zamiast kazać oszczędzać mieszkańców, trzeba było dać nam zupełną władzę nad wszystkimi; zbóje ci mieliby wówczas inną minę i przyjmowaliby nas tak, jak w 1806 roku. Siła jest wszystkim. Siła

najprzód biorą rekrutów; bo wszyscy byliby zostali w domu, gdyby ich nie zmuszono iść. Siłą robią żołnierzy z rekrutów, ucząc ich karności; siłą wygrywają się bitwy i siłą wszystko się wówczas u ludzi zabiera: wznoszą się łuki tryumfalne i nazywają bohaterem dla tego, że się boją. To tak.

— Ale cesarz nadto jest dobry... Gdyby on nie był tak dobrym, ja dzisiaj nie byłbym narażony na utonięcie; patrząc tylko na mundur mój, chłop ten nie byłby się ośmielił powiedzieć mi kłamstwa.

Tak mówił Zimmer i dziś jeszcze pamiętam to wszystko; działo się to 12 sierpnia 1813 roku.

Wchodząc do Lipska, spozbrzegliśmy na twarzach mieszkańców malującą się radość; nie objawiała się ona otwarcie, ale mieszczanie, spotykając się na ulicy, zatrzymywali się i podawali sobie ręce; kobiety odwiedzały siebie wzajemnie; pewien rodzaj wewnętrznego zadowolenia błyszczał nawet w oczach sług i najędniejszych robotników.

Zimmer rzekł do mnie:

— Niemcy wyglądają wesoło jakoś, zdają się być w dobrym humorze.

— Tak, odpowiedziałem, to z powodu dobrej pogody i ukończenia żniwa.

W istocie czas był bardzo piękny; ale kiedyśmy przybyli do koszar w Rosenthal, ujrzeliśmy oficerów naszych koło wielkich drzwi, rozmawiających między sobą bardzo żywo. Żołnierze stojący na warcie słuchali i przechodnie zbliżali się także choćby się czegoś dowiedzieć: — powiedziano nam, że konferencye w Pradze zostały zerwane i że austriacy

wypowiadali nam także wojnę, tak że jeszcze dwieście tysięcy ludzi przybyło nam na kark.

Potem dowiedziałem się, żeśmy byli w trzysta tysięcy ludzi przeciw pięciuset dwudziestu tysiącom i że w liczbie nieprzyjaciół naszych było dwóch generałów francuzkich, Moreau i Bernadotte. Każdy mógł się dowiedzieć o tem z książek, ale my nie wiedzieliśmy jeszcze tego i byliśmy pewni, że odniesiemy zwycięstwo, ponieważ ani jednej bitwy nie przegraliśmy dotąd. Zresztą, nie troszczyliśmy się wcale o kwasne miny mieszkańców: w czasie wojny chłopi i mieszczanie nie idą, jeżeli można się tak wyrazić, w rachunek; żąda się od nich tylko pieniędzy i żywności, co zawsze dają, bo wiedzą, że za najmniejszym oporem, zabranoby im wszystko do ostatniego szeląga.

Nazajutrz po tej wielkiej wiadomości nastąpiła ogólna wizyta doktorów i dwustu rannych z pod Lutzen, już prawie zdrowych, otrzymało rozkaz udania się do korpusów swoich. Wychodzili kompaniami, z bagażami i bronią, jedni drogą do Altenburga, w górę Elstery, drudzy drogą do Wurtzen, więcej na lewo. Zimmer był także w tej liczbie, bo sam prosił by mu kazano iść. Odprowadziłem go aż do bram miasta i tam uściśniliśmy się z rozrzewnieniem. Ja pozostałem, bo nadto słabe jeszcze miałem ramię.

Pozostało nas wszystkiego pięćset lub sześćset, a w tej liczbie była pewna ilość fecht mistrzów, nauczycieli tańca i elegancyi francuzkiej, owych zuchów, co tworzą niejako tło wszystkich takich przytułków. Nie chodziło mi wcale o poznanie się z ni-

mi i jedyną pociechą moją było myśleć o Katarzynie, a czasem o moich starych kolegach, Klipfelu i Zébédé, o których nie miałem żadnej wiadomości.

Smutne to bardzo było życie; ludzie patrzyli na nas krzywo; nie śmieli jednak nic mówić, bo wiedzieli, że wojsko francuzkie stoi o cztery dni drogi, a Blücher i Schwartzenberg dalej są bez porównania. Gdyby nie to, byłiby nas za gardło chwycili!

Jednego wieczora rozeszła się była pogłoska, że odnieśliśmy wielkie zwycięstwo pod Dreznem. Ogólne powstało wówczas przerażenie, mieszkańcy nie wychodzili z domów swych. Poszedłem przeczytać gazetę pod *Gronem* na ulicy Tilly. Dzienniki francuzkie leżały wszystkie na stole; nikt oprócz mnie nie otwierał ich.

Ale w następnym tygodniu, z początkiem września, spostrzegłem na twarzach mieszkańców taką zmianę jak tego dnia, kiedy austriacy oświadczyli się przeciwko nam. Pomyślałem sobie, że musiało nas spotkać niepowodzenie i tak było wistocie, jak się dowiedziałem o tem później, bo gazety paryżkie nic o tem nie mówiły.

Pod koniec sierpnia słota rozpoczęła się i deszcz lał jak z wiadra. Nie wychodziłem już z koszar. Często siedząc już na łóżku i patrząc przez okno jak Elstera pieni się od deszczu i drzewa na wysepkach uginają się od wichru, myślałem sobie: „Biedni żołnierze!... biedni koledzy!... co teraz robicie?... gdzie jesteście?... Może na drodze, może wśród pola!”

I chociaż smutno mi było żyć tam, czułem że lepiej mi było jednak niż im. Ale pewnego dnia stary chirurg Tardieu zrobił swój przegląd i rzekł mi:

— Zdrowe już masz ramię... No, zdejmi to.. Dobrze... dobrze!

Nazajutrz podczas apelu kazano mi pójść na salę, gdzie leżały stopy odzienia, tornistrów, ładownic i trzewików. Dano mi fuzyę, dwie paczki ładunków i paszport do 6-go pułku w Gauernitz, nad Elbą. Było to 1-go października. Wyruszyliśmy w liczbie dwunastu lub piętnastu razem; furyer jeden z 27-go pułku, zwany Poitevin, prowadził nas.

W drodze, to jeden to drugi zbaczał, do swego udając się korpusu; ale Poitevin, czterech żołnierzy piechoty i ja szliśmy razem aż do wsi Gauernitz.

## XVII.

Szliśmy zatem wielkim traktem Wentzenu, z fuzyą na plecach zawieszoną, z surdudem podgiętym, uginając karku pod tornistrem i mocno znużeni naturalnie. Deszcz padał, woda ściekała z kaszkietu na kark; wiatr trząsał topolami, których żółte liście, tańcząc koło nas zwiastowały zimę i tak upływały godziny za godzinami.

Od czasu do czasu ukazywała się wieś jakaś ze swemi szopami, swemi gnojowiskami i ogrodami, które opasywały ploty. Z po za małych, mętnych szybek, kobiety patrzyły na nas; pies szczekał, człowiek, który rąbał drzewo koło drzwi swoich, odwracał się i przeprowadzał nas wzrokiem, a my szliśmy, szliśmy ciągle, zabłoceni po uszy: Na końcu wioski znów ukazywała się przed nami droga, ginąca dzieś

w oddali, szare chmury ciągnące się po nad obdar-temi polami i kilku chudych kruków szybko odlatujących z krzykiem melancholijnym.

Nic smutniejszego nad podobny widok, szczególnie kiedy się wspomniało o tem, że zima się zbliża i że trzeba będzie wkrótce spać pod gołym niebem na śniegu. To też nikt nie mówił ani słowa, z wyjątkiem Poitevina. Był to stary żołnierz, żółty, pomarszczony, z policzkami wpadłymi, z nosem czerwonym, z długimi na łokieć wąsami, jak u wszystkich pijących wódkę. Mówił stylem wyszukany, który przeplatał wyrażeniami koszarowemi; a kiedy deszcz zwiększał się, wykrzykiwał z dziwaczny-  
m śmiechem: „Tak... Poitevin... tak... nauczy cię to gwizdać!...” Stary ten pijak spostrzegł, że mam trochę grosza w kieszeni; stał więc koło mnie, mówiąc: „Młodzieńcze, jeżeli tornister przeszkadza ci, daj mi go tutaj”. Ale ja dziękowałem mu za jego usłużność.

Chociaż przykrzyło mi się być w towarzystwie człowieka, który pilnował tylko sztyldów szynkowni, kiedyśmy przechodzili przez wioskę jaką i który wciąż mówił: „Przydałby się bardzo kieliszeczek mały na taki czas...” pomimo to nie mogłem się wstrzymać, by od czasu do czasu nie kupić mu kilku kropel, tak że już potem nie opuszczał mię.

Zbliżaliśmy się do Wurtzen i deszcz padał ulewny, kiedy furyer po raz dwudziesty może zawołał:

— Tak! Poitevin., oto życie... nauczy cię to gwizdać!

— Co u licha za przysłowie macie, furyerze? spytałem go?... Chciałbym wiedzieć, jakim sposobem deszcz uczy was gwizdać!

— To nie przysłowie, młodzieńcze, jest to myśl, która mi przychodzi, kiedy mi wesoło jest.

Potem, po chwili dodał:

— Trzeba wam wiedzieć, że w 1806 roku, kiedy pobierałem nauki w Rouen, zdarzyło mi się wygwizdać pewną sztukę teatralną, wraz z wielu młodymi ludźmi jak ja. Jedni gwizdali, drudzy klaskali, ztąd przyszło do bójki i policja wsadziła nas w liczbie kilku tuzinów do kozy. Cesarz dowiedziawszy się o tem, rzekł: „Jeżeli oni tak lubią bić się, to niech ich wezmą do wojska! a będą mieli podług swego upodobania!” I naturalnie, że tak się i zrobiło, nikt nie ośmielił się ani pisnąć, ani ojciec, ani matka nawet!

— To byliście rekrutem? rzekłem.

— Nie, właśnie ojciec kupił mi był zastępcę. Jest to żart cesarza... jeden z tych żartów, o których długo się pamięta: dwudziestu czy trzydziestu z pomiędzy nas umarło z nędzy. A inni, zamiast poświęcić się jakiemu uczciwemu zawodowi u siebie, jako medycy, adwokaci, sędziowie, zostali starymi pijakami. Oto co się nazywa dobry żart!

I zaczął się śmiać, spoglądając na mnie z ukosa. — Zamyśliłem się i, zanim przybyliśmy do Gauernitz, dwa lub trzy razy jeszcze zapłaciłem za szklaneczkę dla tego biedaka.

Koło godziny piątej wieczór, zbliżając się do wioski Risa, spostrzegliśmy na lewo stary młyn z drewnianym mostem, do którego prowadziła uboczna dróżyna. Dla skrócenia drogi poszliśmy dróżką i byliśmy już o jakie dwieście kroków od młyna, kiedy

nagle usłyszeliśmy ogromne krzyki. Jednocześnie, dwie kobiety, jedna zupełnie stara a druga młodsza, przebiegły ogród uprawdzając z sobą dzieci. Kierowały się do małego lasku przy drodze, na wzgórzu naprzeciw. Prawie zarazże potem ujrzeliśmy kilku żołnierzy naszych wychodzących z młyna z workami; inni wychodzili jeden za drugim z piwnicy, niosąc małe beczułki, które pośpiesznie wkładali na wózek, przy służbie stojący; inni jeszcze uprowadzali z obory krowy i konie, podczas kiedy przed drzwiami starzec jakiś wznosił ręce ku Niebu, a pięciu lub sześciu tych łotrów otaczało bladego młynarza, któremu oczy na wierzch wychodziły.

Wszystko to: młyn, groblę, powybijane okna, uciekające kobiety, nasi żołnierze w czapkach swoich, wyglądający jak prawdziwi zbójce, starce przeklinający ich, krowy potrząsające głową, by się uwolnić od tych, którzy je uprowadzali, podczas kiedy inni kłuli je z tyłu bagnetami... wszystko jest tam... przedemną... zdaje się, że patrzę na to!

— To, rzekł furyer Poitevin, to są marodery... Nie daleko już jesteśmy od wojska.

— Ależ to obrzydliwie, zawołałem; to są rozbójnicy!

— Tak, odrzekł furyer, jest to przeciwna karność; gdyby cesarz dowiedział się o tem, rozstrzelanoby ich jak psów.

Przeszliśmy wówczas mostek; rabujący żołnierze przebili jedną z beczulek za wózkiem i tłoczyli się do niej z dzbankiem w ręku; pijąc po kolei. Widok ten oburzył furyera, który głosem majestatycznym zawołał:

— Jakiem prawem dopuszczacie się rabunku tego? Kilku z nich odwrócili głowę; a widząc, że trzech nas tylko było, bo inni poszli drogą nie zatrzymując się; jeden z nich odpowiedział:

— Eh! stary figlarzu... domagasz się twojej części... to naturalnie... Ale na to nie potrzebujesz srożyć wása. Masz, pij.

Podał mi dzban; furyer wziął go i, spoglądając na mnie z boku, wypił.

— No, młodzieńcze, rzekł potem, jeżeli masz ochotę! Doskonałe jest, to wino.

— Dziękuję, odpowiedziałem mu.

Kilku do koła nas wołało:

— W drogę! w drogę! Czas już.

Ale inni mówili:

Nie, nie, czekajcie... Trzeba jeszcze zobaczyć!...

— Posłuchajcie, rzekł furyer dobrodusznym tonem, wiecie, koledzy... trzeba z łagodnością.

— Tak, tak, stary, odpowiedział rodzaj tambur-mażora, — z wielkim stosowanym kapeluszem w poprzek ramion. — Tak, mówił uśmiechając się szydersko, z oczami na w pół przymkniętymi, bądź spokojny, oskubiemy kurę w należyтым porządku. Będzie się miało względy... będzie się miało względy!

Na to furyer nie odpowiedział nic; był jak gdyby zawstydzony z powodu mnie.

— Cóż chcecie, młodzieńcze! rzekł przyspieszając kroku dla połączenia się z towarzyszami, na wojnie to jak na wojnie... Nie można przecie ginąć!

Sądzę, że byłby został, gdyby się nie obawiał, że mogą go pojmać. Ja byłem smutny i mówiłem sobie:

„Otóż to pijacy! mogą mieć dobre popędy, ale na widok dzbanka z winem zapominają o nich”.

Nakoniec, około dziesiątej wieczorem, spostrzegliśmy biwakowe ognie na ciemnej pochyłości wzgórz; na prawo od wsi Gaurnitz i starego zamku, gdzie błyszcząły jeszcze światełka. Dalej, na równinie drżały inne jeszcze ognie w większej już liczbie.

Noc była jasna. Wielkie deszcze splotkały niebo. Kiedyśmy się zbliżali, zawołano:

— Kto tam!

— Francya! odpowiedział furyer.

Serce mi biło mocno na myśl, że za chwil kilka ujrzę starych moich kolegów, jeżeli żyli jeszcze.

Warta wyszła naprzeciw nas z pod pewnego rodzaju szopy, znajdującej się na pół strzału od wioski. Naczelnik straży, stary, siwy zupełnie podporucznik, z ręką na temblaku pod płaszczem, spytał nas z kąd przychodzimy, gdzie idziemy, czy nie spotkaliśmy w drodze jakiego oddziału kozaków. Furyer odpowiadał za nas wszystkich. Oficer oznajmił nam wówczas, że dywizya Souhama opuściła okolice Gaurnitz tegoż rana i kazał nam iść za sobą, dla obejrzenia paszportów naszych; w milczeniu poszliśmy za nim przechodząc koło biwakowych ognisk, gdzie ludzie pokryci zeschłym błotem spali gromadami: żaden z nich nie poruszył się.

Przybyliśmy do szopy. Była to stara cegielnia; szeroki dach, w kształcie nakrywkki do świecy, spoczywał na słupach wysokich na pięć lub sześć stóp od ziemi. Z tyłu znajdowały się wielkie składy drzewa. Dobrze tam było w tej szopie. Rozpalono ogień;

zapach gliny rozchodził się do koła. Koło ogniska mnóstwo żołnierzy spało snem szczęśliwych, opierając się plecami o ściany; płomień odbijający się o czarne belki oświecał ich. Przy słupach błyszcząły fuzye ustawione w kozły. Zdaje mi się, że patrzę na to jeszcze; że czuję ciepło przenikające mię; że widzę kolegów moich, których odzienie kurzy się koło pieca i którzy poważnie czekają, aż oficer skończy przegląd ich paszportów przy czerwonym świetle. Jeden tylko stary żołnierz, suchy i czarny, czuwał sam; siedział z podkurczonemi nogami i trzymał między kolanami swemi trzewik, który naprawiał szydłem i szpagatem.

Mnie pierwszemu oficer oddał papier, mówiąc:

— Połączysz się jutro z batalionem swoim o dwie mile stąd, koło Torgau.

Stary żołnierz, który patrzył na mnie, ręką wskazał mi wówczas koło siebie miejsce na ziemi i usiadłem tam zaraz. Otworzyłem tornister i włożyłem drugie skarpetki i nowe trzewiki, które otrzymałem w Lipsku; to mi ulgę sprawiło.

— Pójdiesz dalej?

— Tak, do 6-go, pod Torgau.

— A przychodzisz?

— Ze szpitala z Lipska.

— Widać to; tłusty jesteś jak baran. Karmiono cię tam kurczętami, podczas kiedy my marliśmy z głodu.

Spojrzałem na moich uśpionych sąsiadów i przekonałem się, że miał słuszność; biedni rekruci mieli tylko skórę i kości: z cerą żółtą, jakby ołowianą,



pomarszczeni jak starcy, zdawało się — że nie mogli utrzymać się na nogach.

Po chwili stary odezwał się:

— Byłeś ranny.

— Tak, pod Lutzen.

— Cztery miesiące szpitala, rzekł nadymając wargę, jakie szczęście! Ja przybywam z Hiszpanii. Po-  
chlebiałem sobie, że znajdziemy *kaisertików* z 1807...  
baranów... prawdziwych baranów! Ah! tak, zrobili  
się oni teraz gorsi od gierylasów. Psuje się rzecz,  
psuje się!

Mówił tak z cicha do siebie, nie zwracając uwagi  
na mnie i zaciskając usta, ciągnął oba końce szpa-  
gatu jak szwec. Od czasu do czasu mierzył trzewik,  
chcąc się przekonać, czy nie będzie go cisnął. Na-  
koniec, włożył sztydo do tornistra, trzewik nasunął  
na nogę i wyciągnął się na ziemi, opierając głowę  
na wiązce słomy.

Tak byłem zmęczony, że trudno mi było zasnąć  
zaraz; w godzinę jednak potem zapadłem w sen głęboki.

Nazajutrz wyruszyłem znowu w drogę, wraz z fu-  
ryerem Poitevinem i trzema innymi żołnierzami z dy-  
wizyi Souhama. Weszliśmy najprzód na drogę, która  
idzie wzdłuż Elby. Czas był wilgotny, wiatr bryzgał  
pianą rzeki aż na drogę.

Szliśmy szybko od godziny może, kiedy nagle fu-  
ryer rzekł: „Baczność!”

Zatrzymał się z nosem do góry, jak myśliwski pies,  
który wietrzy coś. Stuchaliśmy wszyscy nie nie sły-  
sząc, z powodu szumu fal i wiatru trzęsącego drze-  
wami. Ale Poitevin miał wprawniejsze niż my ucho.

— Strzelają tam, rzecze wskazując nam las na  
prawo. Nieprzyjaciel może być z naszej strony; sta-  
rajmy się nie wpaść nań. Nie pozostaje nam nic lep-  
szego do zrobienia, jak dostać się pod las i ostroż-  
nie iść dalej. Na drugim końcu zobaczymy, co się  
dzieje... Jeżeli rossyanie albo prusacy są tam, wów-  
czas cofniemy się tak, by nas nie spostrzegli. Je-  
żeli to francuzi, w takim razie posuniemy się na-  
przód.

Każdy z nas uznał, że furyer ma słuszość, a ja  
w duszy podziwiałem ten spryt starego pijaka. Ze-  
szliśmy zatem z drogi do lasu, Poitevin na przodzie  
a my z tyłu, z nabitą bronią. Szliśmy powoli, za-  
trzymując się co do kroków i nad słuchując. Strzały  
zbliżały się, szły jeden za drugim, odbijając echem  
w parowach. Furyer rzekł do nas:

— To tyraliery obstawiający oddział kawaleryi,  
bo tamci nie odpowiadają:

Tak było w istocie: w dziesięć minut potem, spo-  
strzegliśmy między drzewami batalion francuzki, za-  
jęty gotowaniem jedzenia między krzakami, a dale-  
ko, na szarej równinie, oddziały kozaków defilujące  
z jednej wsi do drugiej. Tyraliery stojący wzdłuż  
strzelali do nich od czasu do czasu, ale kozacy byli  
prawie po za obrębem ich strzałów.

— No, jesteś u siebie młodzieńcze, rzekł do mnie  
Poitevin uśmiechając się.

Musiał mieć dobre oko, kiedy mógł wyczytać z tak-  
kiej odległości numer pułku. Co do mnie, napróżno  
patrzyłem, widziałem tylko ludzi obdartych i tak

wynędziałych; że wszyscy mieli nosy śpiczaste, oczy błyszczące, uszy w skutek zapadnięcia się policzków odstające od głowy. Surduty ich cztery razy za wielkie były na nich; wyglądały one jak gdyby płaszcz, tyle w nich było fałd na ramionach i na biodrach. Nie mówię już o błocie: było to coś okropnego.

Tego dnia miałem się dowiedzieć, dla czego Niemcy wydawali się tak weseli po naszym zwycięstwie pod Dreznem.

Skierowaliśmy kroki nasze ku dwóm małym namiotom, koło których trzy lub cztery konie skubały nędzną trawę. Tam ujrzałem pułkownika Lozaina, odosobnionego z trzecim batalionem na lewym brzegu Elby. Był to wysoki, chudy mężczyzna, z ciemnymi wąsami i wcale nie łagodną miną. Zmarszczywszy brwi, patrzył na nas, a kiedy podałem mu mój paszport, rzekł tylko:

— Ruszaj do swojej kompanii.

Oddaliłem się, sądząc że poznam przecie kogośkolwiek z 4-go pułku; ale od Lutzen kompanie zwały się z kompaniami, pułki z pułkami, a dywizye z dywizyami, tak że dostawszy się do wzgórza, na którym grenadyerzy obozowali, nie poznałem nikogo. Ludzie, widząc mię zbliżającego się, spoglądali z ukosa, jak gdyby mówiąc:

— Czy ten także chce dzielić się z nami bulionem? Chwilkę, jeżeli łaska! zobaczymy najprzód, co on przynosi do kociołka.

Wstyd mi było dopominać się o miejsce w kompanii, kiedy kościsty jakiś weteran, z długim i haczykowatym nosem jak dziób u orła, z szerokimi

plecami, na których wisiał zużyty surdut, podniósł głowę i przypatrując mi się rzekł głosem zupełnie spokojnym:

— Patrzcie! to ty, Józefie! sądziłem, żeś pod ziemią od czterech miesięcy!

Poznałem wówczas mego biednego Zébédé'go. Zda się, że widok mój wzruszył go, bo nie wstając ścisnął mię za rękę i zawołał:

— Klipfelu!... Oto Józef!

Drugi żołnierz, siedzący przy sąsiednim kociołku, odwrócił głowę na to i rzekł:

— To ty, Józefie? Patrzcie! to nie zginąłeś!

I oto całe powitanie, jakim mię przyjęto. Nędza uczyniła tych ludzi takimi egoistami, że myśleli już tylko o swojej skórze. Pomimo to, Zébédé zachował poczciwą swą naturę; posadził mię przy swoim kociołku, rzucając na towarzyszy jedno z owych spojrzeń, któremi umiał nakazywać poważanie dla siebie i ofiarował mi łyżkę swą, którą zatknął był za dziurkę od guzika u surduta swego. Ale podziękowałem mu; poprzedzającego dnia bowiem natchnięty szczęśliwą myślą, zaszedłem był do wędłarni w Riza i wpakowałem do tornistra tuzin kiszek, z dobrą kromką chleba i pełną flaszką wódki. Otworzyłem przeto tornister, wyjąłem z niego wianek kiszek i dwie z nich podałem Zébédé'mu, na co oczy jego napełniły się łzami. Miałem zamiar poczęstować również kolegów; ale odgadując myśl moją, Zébédé położył mi rękę na ramieniu z miną znaczącą i rzekł:

— Co dobre jest do zjedzenia, to dobre do schowania!

Poczem usunął się z koła i jedliśmy popijając *schnaps* drudzy nie mówili nic i spoglądali tylko z ukosa. Klipfel poczuwszy zapach czosnku odwrócił głowę, wołając:

— He! Józefie, chodźże jeść do naszego kociołka. Cóż u licha, co koledzy to koledzy!

— Dobrze, dobrze, odpowiedział Zébédé, u mnie kiszka to najlepszy kolega; zawsze się ją znajduje w potrzebie.

Potem sam zamknął mój tornister i rzekł:

— Schowaj to, Józefie... Oto więcej miesiąca już, jakem nie jadł nic tak dobrego. Nic na tem nie strasz, bądź spokojny.

W pół godziny potem uderzono na apel; tyraliery zwinęły się i sierżant Piuto, który był w ich liczbie, poznał mnie.

— Al! rzekł, uszedłeś cały! Bardzo rad jestem.... Ale w złą przybywasz chwilę!... Zła wojna... zła wojna, mówił kiwając głową.

Pułkownik i komendanci wsiadli na koni i wyruszone w drogę. Kozacy oddalili się. Nieśliśmy broń naszą jak się nam podobało. Zébédé szedł przy mnie i opowiadał mi o tem, co zaszło po bitwie pod Lutzen: — najprzód wielkie zwycięstwo pod Bautzen i Wurtschen; forsowne marsze przy ściganiu cofającego się nieprzyjaciela; radość jakiej doznawano idąc na Berlin. Potem zawieszenie broni, podczas którego wojsko rozłożyło się było po miasteczkach; następnie przybycie weteranów z Hiszpanii, ludzi strasznych, zaprawionych do rabunku i którzy uczyli młodych jak mają żyć z chłopca.

Na nieszczęście, pod koniec zawieszenia broni wszyscy już byli przeciw nam; mieszkańcy niecierpieli nas; burzono mosty za nami, o najmniejszych ruchach naszych zawiadamiano prusaków, rossyan i innych i jak tylko spotkało nas niepowodzenie jakie, zamiast dopomóc nam, starano się wypełnić w większą jeszcze biedę. Na dobitkę rozpoczęły się ulewy. W dzień bitwy drezdeńskiej, taki deszcz lał, że kapelusze cesarza zwiślał mu na oba ramiona. Wszystko to śmiech wzbudza tylko, jeżeli człowiek ma za sobą zwycięstwo: bądź co bądź ciepło mu i w potrzebie znajdzie sobie odzież na zmianę; ale najgorsza rzecz kiedy jest zwyciężonym, kiedy ucieka przez błoto, a huzary, dragoni i inni tego rodzaju ludzie ścigają go; kiedy ujrzawszy światło wśród nocy, nie wie sam, czy ma iść ku niemu, czy ginąć w potopie.

Zébédé opowiadał mi to wszystko szczegółowo. Powiedział mi, że po zwycięstwie pod Dreznem, generał Vandamme, który miał przeciąć odwrót austryakom, uniesiony zapalem, wpadł od strony Kullmu w miejscowość taką, że ci, których pobiliśmy byli dnia poprzedniego, uderzyli nań z prawej i z lewej strony, z przodu i z tyłu; że go pojmano wraz z kilku innymi oficerami i zniesiono do szczytów korpus jego. Dwa dni przedtem, 26 sierpnia, coś podobnego stało się z naszą dywizją, jako też z 5 tym 6-ty i 11-ty m korpusem, na wysokości Lowenberg. Mieliśmy znieść prusaków z tej strony, ale w skutek niestosownego poruszenia marszałka Macdonalda, nieprzyjacieli zaskoczył nas w głębi parowu, kiedy działa ugrzęzły były w błocie, kawalerya była w nie-

porządku, a piechota nie mogła strzelać dla ulew-  
nego deszczu; broniono się bagnietami, prusacy za-  
gnali 3-ci batalion aż do rzeki Katzbach. Tam Zé-  
bédé dostał od grenadyera dwa uderzenia kolbą  
w czoło. Prąd wody uniósł go, podczas kiedy trzy-  
mał w pół kapitana Arnolda i obydwaj byłiby zgi-  
nęli, gdyby na szczęście kapitan nie chwycił się  
gałęzi drzewa na drugim brzegu rosnącego i nie  
wydobył się z wody. — Powiadał mi, jak pomimo  
krwi, która płynęła mu z nosa i z uszów, szedł przez  
całą noc aż do wioski Goldberg, umierając z głodu,  
zmęczenia i owych uderzeń kolbą i jak stolarz je-  
den zlitował się nad nim; pozeciwy ten człowiek  
dał mu chleba, cebuli i wody. — Opowiadał mi na-  
stępnie, jak nazajutrz cała dywizya, wraz z innemi  
korpusami, szła przez pola samopas, nie mając żadnych  
rozkazów, bo generałowie, marszałkowie i wszyscy  
oficerowie co mieli konie, zemknęli byli jak mogli  
najdalej, bojąc się by ich nie pojmano. Zapewniał  
mię, że dosyć byłoby pięćdziesięciu luzarów, a poj-  
manoby ich wszystkich, jednych po drugich, ale na  
szczęście Blücher nie mógł przeprowadzić się przez rzeczkę,  
która wylała, tak że w końcu zeszedli się wszys-  
cy do Woldy i tam dobosze wszystkich pułków, sto-  
jąc na czterech rogach wioski, bębniłi marsze puł-  
ków swoich. Takim sposobem każdy z żołnierzy od-  
nalazł pułk swój, idąc na odgłos bębna tegoż pułku.

Szczęśliwym trafem, po rozsypce tej, trochę dalej,  
w Buntzlau, znaleźli się także wyżsi oficerowie, za-  
dziwieni mocno, że mają jeszcze bataliony do pro-  
wadzenia!

Oto, co mi opowiadał mój towarzysz, nie mówiąc  
już o nieufności, jaką budzili do siebie sprzymie-  
rzeńcy nasi, którzy łała chwilę mieli spaść nam na  
kark. Mówił mi, że marszałek Oudinot i marszałek  
Ney byli także pobici, jeden pod Gros-Beeren, a dru-  
gi pod Dennewitz. Smutne to wszystko było bardzo,  
bo przy tych odwrotach, rekruci marli z wycieńcze-  
nia, z chorób i wszelkiego rodzaju utrapień. Starzy  
żołnierze z Hiszpanii i z Niemiec, zahartowani w cięż-  
kich czasach, sami tylko byli w stanie znosić te  
wielkie trudy.

Słowem, mówił mi Zébédé, wszystko jest przeciw-  
ko nam: kraj, ciągłe deszcze i nasi własni genera-  
łowie znudzeni już tem wszystkim. Jedni są hra-  
biami, książętami i przykrzy im się ciągle być w bło-  
cie, zamiast zasiadać w dobrych fotelach; a inni, jak  
Vaudamme, za jednym zamachem chcą pośpiesznie  
zdobyć dla siebie tytuł marszałka. My zaś biedacy,  
którzy nie mamy nic do wygrania, chyba kalectwo  
na resztę życia i którzy jesteśmy synami chłopów  
i robotników co walczyli o zniesienie szlachty, mu-  
simy teraz ginąć, by zrobić drugą, nową „szlachtę!”

Przekonałem się wówczas, że najbiedniejsi, naj-  
nieszczęśliwsi, nie zawsze są najgłupszymi i że przez  
cierpienie człowiek uczy się smutnej prawdy. Ale  
nie rzekłem nic i prosiłem Boga, by mi dał siłę  
i odwagę do zniesienia nieszczęść, które zapowiada-  
ły nam wszystkie te błędy i niesprawiedliwości.

Byliśmy wówczas między trzema wojskami, które  
zamierzały połączyć się z sobą, by nas zgnieść od  
razu: armia północna, którą dowodził Bernadotte,

armia szlązka, którą dowodził Blücher i armia cze-ska, którą dąwodził Schwartzenberg. Czasami, my-ślano, że mamy przeprawić się przez Elbę i wpaść na prusaków i szwedów, to znowu że rzucimy się na austryaków; od strony gór, jakeśmy to robili tyle razy we Włoszech i gdzie indziej. Ale tamci zrozu-mieli nakoniec ruch ten i jak tylko zdawali się zbliżać ku nim, oni cofali się dalej. Nie dowierzali szczególnie cesarzowi, który nie mógł być jednocze-śnie w Czechach i na Szlązku, i to było powodem szkaradnych marszów i kontrmarszów.

Żołnierze pragnęli już tylko bić się, bo chodząc i śpiąc wciąż w błocie, mając tylko połowę racyi, toczeni robactwem, zbrzydzeni sobie zupełnie życie. Każdy myślał: „Niech się to już raz skończy tak lub owak... To już nadto... nie może być tak dłużej!”

Ja sam po dniach kilku sprzykrzyłem sobie podobne życie; nie czułem już nóg i w oczach chudłem.

Co wieczór trzeba było stać na warcie, z powodu pewnego łotra, zwanego Thielmann, który podbu-rzał chłopów przeciwko nam; chodził za nami jak cień i czatował na nas od wioski do wioski, na wgó-rzach, po drogach, po dolinach: wojsko jego stano-wili ci wszyscy, którzy nas nienawidzili; to też zawa-sze miał dużo ludzi.

Koło tego czasu również bawarczycy, badeńscy i württembergscy oświadczyli się przeciwko nam, tak że całą Europę mieliśmy na swoim karku.

Nakoniec, na pociechę naszą spostrzegliśmy, że wojsko zaczyna się skupiać jakby do wielkiej bi-twy; zamiast kozaków Płatowa i stronników Thiel-

mann, spotykaliśmy w okolicach wioszek huzarów, strzelców, dragonów hiszpańskich, artylerję, mate-ryały potrzebne do stawiania mostów w pochodzie. Deszcz lał jak z wiadra, ci którzy nie mieli już sił wlec się dalej, siadali w błocie pod drzewem i zda-wali się na los szczęścia.

Dnia 11 października biwakowaliśmy przy wiosce Lousig; 12-go przy Grafenheinen; 13-go przepra-wiliśmy się przez Muldę i widzieliśmy, jak stara gwardya i La Tour-Maubourg deflowały przez most. Zapowiadano przejazd cesarza, ale my poszliśmy z dy-wizyą Dąbrowskiego i korpusem Souhama.

W chwilach kiedy deszcz ustawał i kiedy pro-mień jesiennego słońca przedzierał się między chmu-rami, widać było całą armię w pochodzie: kawale-rya i piechota ze wszystkich stron dążyła do Lip-ska. Po drugiej stronie Muldy świeciły się także ba-gnety prusaków; ale nie widać było jeszcze austrya-ków i rosyan; musieli iść inną drogą.

14-go, batalion nasz raz jeszcze oddzielił się, wy-słany na rekonesans do miasta Aaken; nieprzyjacieli znajdował się tam; przyjął nas strzałem z dział i całą noc spędziliśmy na dworze, nie mogąc zapa-lić ani jednego ognia z powodu deszczu. Nazajutrz odeszliśmy ztamtąd, by forsownym marszem połączyć się z dywizyą. Nie wiem dla czego, każdy mówił:

— Bitwa zbliża się!.. bitwa zbliża się!

Sierżant Pinto utrzymywał, że czuć było cesarza w powietrzu. — Ja nic nie czułem; ale widziałem żeśmy szli na Lipsk i myślałem: „Jeżeli będziemy mieli bitwę, żebyż tylko nie spotkało cię nieszczęście

jakie, jak pod Lutzen i żebyś mógł jeszcze zobaczyć się z Katarzyną”.

Następnej nocy pogoda się polepszyła trochę, miliardy gwiazd oświecały niebo, a my szliśmy wciąż. Nazajutrz, koło godziny dziesiątej, przy małej wioseczce, której nazwy nie pamiętam zawałałem właśnie „Stój!” dla wytchnięcia, kiedy wszyscy naraz uszliśmy jak gdyby głuchy szmer w powietrzu. Pułkownik, który był jeszcze na koniu, przysłuchiwał się temu, a sierżant Pinto rzekł:

— Bitwa rozpoczęła się.

Prawie w tej chwili pułkownik, wznosząc szpadę do góry, zawałał:

— Naprzód!

Wszyscy zaczęliśmy biedz: tornistry, ładownice, fuzye, błoto, wszystko skakało; nie zważano na nic. W pół godziny potem spostrzegliśmy o parę tysięcy kroków przed batalionem ogon kolumny, któremu nie było końca: jaszczyki, działa, piechota, kawaleria; za nami, drogą do Duben przybywało wojsko także, a wszystko to galopem! Nawet przez pola całe pułki biegły.

Na samym końcu drogi widać było dwie dzwonnice Św. Mikołaja i Św. Tomasza w Lipsku, sięgające nieba, na prawo zaś i na lewo, z obu stron miasta, podnosiły się obłoki dymu, przerywane błyskawicami. Szum zwiększał się coraz bardziej; o milę jeszcze byliśmy od miasta; a trzeba było mówić głośno; bliźni spoglądaliśmy na siebie, jak gdyby mówiąc:

— Oto, co się zowie bitwą!”

Sierżant Pinto krzychał:

— To gorzej jak pod Eylau!

Nie śmiał się, ani on, ani Zébédé, ani ja, ani inni; ale bieглиśmy wciąż, a oficerowie ciągle powtarzali:

— Naprzód! naprzód!

Oto, jak ludzie tracą głowy; była w nas miłość ojczyzny, ale silniejszy od niej był szal do bicia się.

Koło godziny jedenastej spostrzegliśmy pole bitwy, na milę przed Lipskiem. Widzieliśmy także dzwonnice miasta pokryte ludźmi i stare wały, po których tyle razy przechadzałem się niegdyś, myśląc o Katarzynie. Naprzeciw nam, o 1200 albo 1500 metrów, stały uszykowane dwa pułki czerwonych ułanów, a trochę na lewo, dwa lub trzy pułki konnych strzelców na łękach Parthy. Między temi pułkami defilowały konwoje przybywające z Duben. Dalej, wzdłuż małej pochyłości, eszelonami stały dywizye Ricarda, Dąbrowskiego, Souhama i kilku innych jeszcze. Były one tyłem odwrócone do miasta. Działa zaprzężone i jaszczyki, — kanonierzy i żołnierze służby działowej na koniach, — stali gotowi do wyruszenia. Nakoniec, na samym tyle, na wzgórzu, koło jednego z owych folwarków, o dachu płaskim i wielkich szopach, jak się je tutaj spotyka, świeciły się mundury sztabu.

Była to rezerwa, pod dowództwem marszałka Ney'a; lewe jego skrzydło było w komunikacji z Marmontem, stojącym na drodze do Hall, a prawe skrzydło łączyło się z wielką armią, którą cesarz dowodził osobiście. Takim sposobem wojska nasze tworzyły jak gdyby wielką obręcz do koła Lipska, a nie-

przyjaciele przybywający ze wszystkich stron naraz usiłowali połączyć się z sobą tak, by utworzyć jeszcze większą obręcz do koła nas samych i zamknąć nas jak w pułapce na myszy.

Tymczasem, trzy straszne bitwy toczyły się naraz: jedna przeciw Austryakom i Rosyjanom, pod Wachau; druga przeciw Prusakom, pod Mockern, na drodze do Hall, a trzecia na drodze do Lutzen, broniąc mostu Lindenau, na który uderzał generał Giulay.

O wszystkim tem dowiedziałem się dopiero później; ale każdy powinien opowiadać o tem, co sam widział; takim sposobem świat dowie się prawdy.

### XVIII.

Batalion zaczynał spuszczać się po pochyłości; naprzeciw Lipska, dla połączenia się z dywizją naszą, kiedy spostrzegliśmy sztabowego oficera, który łaską poniżej będącą, pędził ku nam co koń wyskoczy. W dwie minuty był przy nas, pułkownik Lozain wyjechał na spotkanie jego, zamienili z sobą słów kilka, potem oficer odjechał. Setki innych oficerów rozjeżdżały tak po równinie, roznosząc rozkazy.

— Szeregiem na prawo, krzyknął pułkownik, — i skierowaliśmy się w stronę lasu z tyłu położonego, który na pół mili prawie ciągnie się wzdłuż drogi Duben. Był to las bukowy, ale były w nim także brzozy i dęby. Jak tylko stanęliśmy na brzegu lasu, kazano nam podsypać na panewkę fuzji i batalion rozsypał się po lesie jako tyraliery. Ustawieni esze-

lonami, o dwadzieścia pięć kroków jeden od drugiego, posuwaliśmy się ostrożnie, jak sobie łatwo wyobrazić. Sierżant Pinto mówił co chwile:

— Chowajcie się za drzewa!

Ale nie potrzebował przestrzegać nas tak bardzo, każdy z nas nadstawał ucha i śpiesznie dążył do wielkiego drzewa, z po za którego dopiero dobrze się rozglądał; zanim się odważył iść dalej. — Na co to jednak ludzie spokojni narażeni są nieraz w życiu!

Szliśmy tak z dziesięć minut, a że nic widać nie było, ufność zaczynała wstępować w nas, kiedy rozległ się strzał jeden... potem drugi, potem dwa, trzy, sześć, ze wszystkich stron i w tejsze chwili spostrzegam, jak kolega mój z lewej strony pada, starając się utrzymać za drzewo. To mię wytrzeźwia... Patrzę na drugą stronę i cóż spostrzegam o pięćdziesiąt lub sześćdziesiąt kroków? starego żołnierza pruskiego, z jego kapeluszem o łancusku, z łokciem zgiętym i rudemi wielkimi wąsami, któremi dotyka zamku fuzji swojej, — przymrużywszy oko celował do mnie. W jednym mgnieniu oka osuwam się na ziemię. W tejsze chwili słyszę wystrzał i coś trzaska mi na głowie; miałem ludownicę do prochu, szcztokę, grzebień i chustkę w kaszkiecie: kula tego łotra strzaskała mi to wszystko. Zimny dreszcz mię przeszedł.

— No, szczęśliwie ci się udało tym razem! zawołał sierżant zaczynając biedz; ja za nim, bom wcale nie życzył sobie pozostać sam w takim miejscu.

Porucznik Bretonville, niosąc szablę swą pod pachą, powtarzał:

— Naprzód! naprzód!...

Dalej, na prawo, strzelano bezustannie.

Aż oto wyszliśmy nad brzeg łączki, gdzie się znajdowało pigę lub sześć wielkich pni dębowych obalonych, małe bagno porośnięte wysoko trawą i ani jednego drzewa do ukrycia się za nie. Pomiędzy to, kilku z naszych śmiało posuwało się już naprzód, kiedy sierżant odezwał się:

— Stój!... Prusacy są tu z pewnością zaczajeni gdzieś, baczność!

Zaledwie to powiedział, kiedy z dziesiątek kul świsnęło między gałęzmi i rozległ się krzyk; jednocześnie ujrzelśmy gromadę prusaków, którzy śpiesznie pomknęli dalej w gęstwiny.

— Otóż i odeszli; w drogę! rzekł Pinto.

Ale strzał, który dostał się kaszkietowi memu, uczynił mię ogromnie ostrożnym, widziałem niejako na wskrós drzew i kiedy sierżant chciał już przechodzić łąkę, zatrzymałem go za rękę, pokazując mu koniec fuzyi, który wystawał z wysokiego krzewu, po drugiej stronie bagna, o sto kroków przed nami.

Koledzy zbliżywszy się spostrzegli to również; to też sierżant rzekł z cicha:

— Ty, Berte, zostań tutaj... i nie trać go z oka... My zaś, obejdziemy do koła.

I zarazem rozeszli się na prawo i lewo, a ja, z kolbą na ramieniu, za drzewem, czekałem jak strzelec na czatach. Po dwóch lub trzech minutach, prusak nie słysząc już nic, cicho podniósł się, był młody, miał małe jasne wąsiki i wysmukłą figurę mocno obciśniętą w pasie. Mógłbym być strzelić do niego, ale drżałem cały na myśl zabicia człowieka tak

odkrytego. Nagle on spostrzegł mię i skoczył na bok; wówczas ja strzeliłem, ale z głębi serca odechnąłem, kiedyym go ujrzał zmykającego jak jeleni wśród gęstwiny.

Jednocześnie, pięć lub sześć strzałów padło z lewej i z prawej strony; sierżant Pinto, Zébédé, Klipfel i inni, pędem przebiegli mimo i o sto kroków dalej znaleźliśmy tego młodego prusaka na ziemi, z ustami pełnymi krwi. Patrzył na nas wzrokiem przerażonym, podnosząc rękę jak gdyby zasłaniając się przed bagnietami. Sierżant Pinto rzekł do niego wesoło:

— Nie bój się niczego, rachunek twój skończony!

Nikt nie miał ochoty dobić go; Klipfel tylko wyciągnął ładną fajkę, która wystawała z tylnej kieszeni jego i rzekł:

— Oddawna pragnąłem mieć fajkę, otóż jest narzecie!

— Strzelcze Klipfel, zawołał Pinto z prawdziwym oburzeniem, włóżcie zaraz tę fajkę! Dobre to dla kozaków, obdzierać rannych! Żołnierz francuzki za tylko honor!

Klipfel rzucił fajkę i odeszliśmy wreszcie ztamtąd, nie odwracając głowy. Doszliśmy do końca lasu, który zajmował trzy czwarte pochyłości; krzaki dosyć gęste ciągnęły się jeszcze ze dwieście kroków aż do góry. Prusacy, których ścigaliśmy, schowali się tam. Widzieliśmy ich jak się podnieśli, by wystrzelić do nas, potem znowu schylali się.

Mogliśmy pozostać tam spokojnie; ponieważ kazało nam zająć las, krzaki zatem nie do nas należały; strzały prusaków nie mogły nas osiągnąć za



drzewami. Z drugiej strony wzgórze dochodził nas odgłos strasznej bitwy, strzały armatnie szły jedne po drugich, a czasami grzmiały razem jak burza; tembardziej trzeba nam było tam pozostać. Ale oficerowie nasi naradziwszy się między sobą zadecydowali, że krzaki należą do lasu i że trzeba wypędzić prusaków aż na wzgórze. Stało się to przyczyną śmierci dla wielu z nas w tem miejscu.

Otrzymaliśmy zatem rozkaz wypędzenia tyralierów nieprzyjacielskich, a że w miarę tego jak zbliżaliśmy się ku nim, oni strzelali do nas, a potem chowali się, wszyscy przeto zaczęliśmy biedz ku nim, by nie dać im czasu do nabijania broni. Nasi oficerowie, pełni zapału, biegli także. Sądziliśmy, że na wierzchołku wzgórze krzaki skończą się i że wówczas będziemy mogli strzelać do prusaków jak do kaczek. Ale w chwili, kiedy zadyszani docieraliśmy do wierzchołka, stary Pinto wykrzyknął:

— Huzary!

Podnoszę głowę i widzę kołpaki, które piętrzą się jeden nad drugim coraz wyżej zdaje się: pędzili na nas jak wiatr. Jak tylko to spostrzegłem, nie namyślając się ani sekundy odwróciłem się i zacząłem biedz na dół, skacząc po piętnaście stóp na raz, pomimo tornistra, pomimo wszystkiego. Przedemną sierżant Pinto, Zébédé i inni biegli i skakali jak mogli. Z tyłu huzary pędzili w masie z takim trzaskiem, że aż mrowie przechodziło: oficerowie ich komenderowali po niemiecku, konie sapaty; pochwy od pałaszy dzwoniły uderzając o buty i ziemia trzęsła się!

Najkrótszą drogą dążyłem do lasu; zdawało mi się, że już, już w nim jestem, kiedy na samym brzegu jego trafiłem na jeden z tych wielkich dołów, z których chłopi wydobywają glinę do swych zabudowań. Był on szeroki na dwadzieścia stóp z górą, a długi na czterdzieści lub pięćdziesiąt; brzegi jego były bardzo ślizkie z powodu deszczów, które padały od dni kilku; ale ponieważ coraz bliżej słyszałem sapanie koni, tak że aż mi włosy na głowie powstawały, nie zważając więc na nic rozpędziłem się i wpadłem do dziury, a ładownice i surdut podniosły się przytem powyżej głowy prawie; drugi strzelec z mojej kompanii był już tam także, ale podnosił się już; on również chciał być przeskoczyć. W tejże sekundzie dwaj huzary w całym pędzie pomknęli konno wzdłuż tej tłustej pochyłości. Pierwszy z nich, z twarzą ezerwoną, wymierzył najprzód cios jeden szabłą swą w ucho mego biednego kolegi, klnąc przytem jak opętany; kiedy podnosił ramię by go dobić, ja pchnąłem go z całych sił bagnetem moim w bok. Ale jednocześnie drugi huzar ciął mię w łopatkę tak, że byłby mię rozplątał na dwoje, gdyby nie epoleta; byłby mię przebił wreszcie, ale na szczęście, strzał, który padł z góry, roztrzaskał mu głowę. Obejrzałem się i postrzegłem jednego z żołnierzy naszych, ugrzęźniętego w glinie po kolana. Usłyszał był rzenie koni i klątwy huzarów i zbliżył się do dołu, chcąc zobaczyć, co się tam działo.

— A co kolego, rzekł śmiejąc się, czas był!

Nie miałem siły odpowiedzieć mu; drżałem jak liść. On zdjął swój bagnet i wyciągnął do mnie koniec

fuzyi, by mi dopomódz wydobyć się. Ująłem wówczas rękę tego żołnierza i rzekłem mu:

— Uratowałeś mię!... Jak się nazywasz?

Powiedział mi, że na imię mu było Jan-Piotr-Wincenty. Nieraz później myślałem sobie, że szczęśliwy byłbym, gdybym spotkawszy tego człowieka mógł mu oddać usługę jaką; ale na trzeci dzień potem była druga bitwa pod Lipskiem, następnie odwrót Hanau i nigdy już więcej nie spotkałem go.

Sierżant Pinto i Zébédé nadeszli w chwilę potem. Zébédé rzekł do mnie:

— Tym razem znowu poszczęściło się nam, Józefie; teraz już my tylko ostatni z phalsburczyków pozostaliśmy w batalionie.... Klipfel został właśnie porąbany przez huzarów!

— Widziałeś to? rzekłem zbliższy.

— Tak, dostał więcej dwudziestu cię szabłą; wołał: „Zébédé! Zébédé!”

W chwilę potem dodał:

— Straszna to rzecz jednak słyszeć, jak cię stary towarzysz dzieciństwa woła na ratunek i nie mógł mu dopomódz.... Ale było ich za wiele.... otaczali go!

To nas w smutek pogrążyło i raz jeszcze myśli nasze zwróciły się do kraju. Wyobrażałem sobie babkę Klipfela, kiedy dowie się o tem i pomyślałem o Katarzynie!

Od szarży huzarów aż do nocy, batalion stał w tej samej pozycji, strzelając na tyralierach przeciw prusakom. Nie pozwalaliśmy im zająć lasu, ale oni nie puszczali nas na wzgórze. Dopiero nazajutrz dowiedzieliśmy się dla czego. Wzgórek ten panuje nad

całą doliną Parthy i wielką kanonada, którąśmy słyszeli, pochodziła od dywizyi Dąbrowskiego, który atakował lewe skrzydło armii pruskiej i chciał iść na pomoc generałowi Marmont w Mockern: tam, dwadzieścia tysięcy francuzów, postawionych koło parowu, zatrzymywało osmdziesiąt tysięcy ludzi Blüchera; a od strony Wachau do piętnastu tysięcy francuzów toczyło bitwę z dwustu tysiącami austryaków i rossyan; tytuć pięćset z górą dział grmiało. Nasza mała pukanina na pochyłości Witterich była niby brzęczeniem pszczoły wśród burzy. Czasami z obu stron przestawano strzelać, przysłuchując się tamtemu hukowi.... Zdawało mi się czemś straszmem i nadprzyrodzonym zarazem; powietrze było przepelnione prochowym dymem, ziemia trzęsła się pod naszymi nogami, starzy żołnierze, jak Pinto, utrzymywali, że nigdy jeszcze nic podobnego nie słyszeli.

Koło godziny szóstej, oficer sztabowy przywiózł rozkaz pułkownikowi Lovain i prawie zaraz uderzono na odwrót. Batalion stracił sześćdziesięciu ludzi, w skutek szarży huzarów pruskich i strzelania.

Noc już była, kiedy wyszliśmy z lasu i nad brzegiem Parthy, — wśród jaszczyków, konwojów rozmaitego rodzaju, cofających się korpusów, oddziałów, wozów z rannymi, a wszystko to przeprowadzało się dwoma tylko mostami, — musieliśmy czekać ze dwie godziny przynajmniej, zanim kolej nasza nadeszła. Niebo było czarne, od czasu do czasu odzywały się jeszcze działa; ale trzy bitwy były skończone. Powiadano wprawdzie, że pobiliśmy austriacy-

ków i rossyan pod Warhau, po drugiej stronie Lipska; ale ci co wracali z pod Mockern wyglądali ponuro, nikt nie krzyczał: „*Niech żyje cesarz!*” jak to zwykle bywało po zwycięstwie.

Przeprawiwszy się na drugi brzeg rzeki, batalion szedł z biegiem rzeki dobre pół godziny, aż do wioski Schoenfeld; noc była wilgotna, szliśmy krokiem ciężkim, z fuzyą na ramieniu, z głową pochyloną i oczami, które sen kleił.

Za nami, działa, saszczuki, bagaże i wojsko w odwrocie z pod Mockern ciągnęło się z głuchym hukiem; chwilami krzyki żołnierzy przy działach i artylerzystów, wołających o ustąpienie z drogi, przebijały się przez tę wrzawę. Ale odgłosy te uciszały się stopniowo i nieznacznie; stanęliśmy nakoniec przed cmentarzem, gdzie kazano nam rozejść się i złożyć broń w kozły.

Wówczas dopiero podniosłem głowę i przy świetle księżyca poznałem Schoenfeld. Ileż razy jadłem tu kiedyś dobre rybki smażone i popijałem białe wino z Zimmerem, w małym szynku pod *Złotym Snopem*, w altance ojca Wintersa, podczas kiedy słońce ogrzewało powietrze i do koła nas wszystko się zieleńiło!... Minęły te czasy!

Rozstawiono warty; kilku ludzi udało się do wsi po drzewo i żywność. Ja siadłem koło muru cmentarza i usnąłem. Koło trzeciej rano zbudzono mię.

— Józefie; mówił do mnie Zébédé, chodźże ogrzać się; dostaniesz gorączki, jeżeli będziesz tu siedział.

Wstałem jak pijany ze znużenia i bólu. Mały deszczak mął w powietrzu. Towarzysz mój pociągnął

mię do ognia, który dymił się na deszczu. Ogień ten był tylko dla oka, bo nie dawał wcale ciepła; ale Zébédé dał mi napić się wódki i zrobiło mi się mniej zimno, patrzyłem na biwakowe ognie błyszczące po drugiej stronie Parthy.

— Prusacy grzeją się, rzekł Zébédé; w naszym są teraz lesie.

— Tak, odpowiedziałem i biedny Klipfel tam także; nie zimno mu już teraz!

Dzwoniłem zębami. Słowa te napelniły nas smutkiem. W kilka chwil potem, Zébédé zapytał mię:

— Czy pamiętasz, Józefie, tę czarną wstążkę, którą on miał przy swym kapeluszu w dzień popisu? krzyczał wówczas: — „Wszyscy jesteśmy skazani na śmierć, jak tamci w Rosyi... Dajcie mi czarną wstążkę.. trzeba nosić żalobę swoją!” A mały brat jego mówił: „Nie, Jakóbie, ja nie chcę!” I płakał; pomimo to Klipfel włożył czarną wstążkę: widział był we śnie huzarów!

W miarę tego jak Zébédé mówił, przypominałem sobie to wszystko i widziałem także owego łotra Pinakla, na placu ratuszowym, jak wołał do mnie, powiewając czarną wstążką nad głową swoją i — „Ha! kulawy, potrzeba ci czarnej wstążki... wstążki tych, którzy wygrywają... Chodź!”

Myśl ta, wraz z strasznym chłodem, który przenikał mię aż do szpiku kości, przejmowała mię dreszczem... Myślałem sobie: „Nie wrócisz... Pinakl miał słusność... Wszystko skończyło się!” Myślałem o Katarzynie, o ciotce Grédeli, o dobrym panu Guldonie i przeklinałem tych, którzy mię zmusili iść tutaj.

Koło czwartej godziny rano, kiedy dzień zaczął już świtać na niebie, przyszło kilka wozów z żywnością; rozdano nam chleb i dostaliśmy także wódkę i mięso.

Deszcz ustał. Zgotowaliśmy zupę; ale nie mogło mię rozgrzać, dostałem tam gorączki. Zimno mi było wewnątrz, a ciało paliło. Nie ja sam tylko w batalionie byłem w takim stanie, trzy czwarte żołnierzy cierpiało tak i ginęło; od miesiąca już, ci co nie mogli iść dalej, kładli się na ziemi płacząc i jak małe dzieci wzywali matek swych. Serce rozdzierało się patrząc na to. Głód, forsowne pochody, deszcz i to gnębiące przekonanie, że nie ujrzysz już więcej ani kraju własnego, ani tych których się kocha, były przyczyną tej choroby. Na szczęście, rodzice nie wiedzą, jak dzieci ich giną po drogach; byłoby to nadto straszne, gdyby mogli widzieć: wielu ludzi uwierzyłoby w to, że nie ma miłosierdzia ani w Niebie, ani na ziemi.

W miarę tego jak dzień zwiększał się, spozstrzegaliśmy na lewo, — po drugiej stronie rzeki i wielkiego parowu, porostego wierzbą i osiczną, — spalone wioski, stopy poległych, jaszczyki i działa poprzewracane i ziemię porytą daleko, jak okiem sięgnąć, na traktach Hall, Lindenthal i Dolitzch: to było gorzej jak pod Lutzen. Widzieliśmy także prusaków jak rozwijali się w tym kierunku i masami posuwali na pola bitwy. Mieli połączyć się z austryakami i rossyanami i utworzyć ogromną obręcz do koła nas; nikt już teraz nie mógł przeszkodzić temu, tembardziej że Bernadotte i rossyjski generał Beningsen,

którzy pozostali byli w tyle, dążyli ze stu dwudziestu tysiącami świeżego żołnierza. I tak, armia nasza stoczywszy w dniu jednym trzy bitwy i zmniejszona do stu trzydziestu tysięcy walczących miała być opasana obręczą trzechset tysięcy bagnatów, nie licząc pięćdziesięciu tysięcy koni i tysiąca dwustu dział!

Batalion wyruszył z Schoenfeldu dla połączenia się z dywizją pod Kohlgarten. Na całej drodze widać było ciągnące powoli konwoje z rannymi; wszystkie wozy z okolicy zabrano na ten cel, a między wozami szły jeszcze setki nieszczęśliwych, z ręką na temblaku, z twarzą zawiązaną, błądzi, przynębieni, na wpół żywi. Wszyscy, którzy mogli wlec się jeszcze, nie siadali do wózków, ale pieszo starali się dostać do szpitala.

Z największą trudnością przerzynaliśmy się przez te tłumy, kiedy nagle, niedaleko od Kohlgarten, kilkunastu huzarów pędząc co koń wyskoczy i z podniesionym pistoletem, rozegnało tłumy na prawo i lewo, spychając je na pola. Donośnym głosem wołali:

— *Cesarz! Cesarz!*

Batalion uszykował się natychmiast poniżej drogi, prezentując broń i w kilka chwil potem konni grenadyrzy gwardyi, — prawdziwi olbrzymi, w wielkich butach swoich i ogromnych kosmatych czapkach, spadających aż na plecy, tak że z pod nich widać było tylko uszy, oczy i wąsy żołnierzy, przelecieli galopem przyciskając rękojeść szabli do biodra. Każdy z nas pomyślał sobie: „Ci przynajmniej są z nami... tegie zuchy!”

Ledwie oni przejechali, ukazał się sztab główny. Wyobraźmy sobie stu pięćdziesięciu do dwustu generałów, marszałków, wyższych ordynansowych oficerów, — którzy siedzieli jak gdyby na jeleniach i tak byli pokryci haftem ze złota, że ledwie było widać barwę ich rumieńców: — jedni wysokiej postawy, chudzi, z miną dumną; drudzy przysadkowaci, z twarzą czerwoną; inni jeszcze, młodzi, trzymający się na koniu prosto, jak posągi, z oczyma błyszczącymi i wielkim nosem w kształcie dzioba orlego: straszne to było a zarazem wspaniałe!

Ale wśród tych wszystkich wodzów, którzy od dwudziestu lat trzęśli Europą, największe wrażenie zrobił na mnie Napoleon w starym swoim kapeluszu i szarym surducie, mam go jeszcze przed oczyma memi, z szerokim jego podbródkiem i szyją wciśniętą między łopatki. Wszyscy krzyczeli: „*Niech żyje Cesarz!*” — Ale on nic nie słyszał... nie więcej uwagi zwracał na nas, jak na ten drobnutki deszczyk co mżył w powietrzu... i patrzył, z zmarszczonymi brwiami na armię pruską, która rozciągała się wzdłuż Parthy, dla połączenia się z austryakami. Takim go widziałem dnia tego, takim utkwiał mi w pamięci.

Batalion szedł już znowu od kwadransa, kiedy Zébédé rzekł do mnie:

— Widziałeś go, Józefie?

— Tak, odpowiedziałem, widziałem go dobrze i będo go pamiętał całe moje życie.

— To dziwne, mówił mi towarzysz, możnaby powiedzieć, że jest niezadowolony... Pod Wurtschen, nazajutrz po bitwie, zdawał się być tak wesóły, sły-

sząc jakeśmy wołali: „*Niech żyje Cesarz!*” i generałowie także mieli twarze śmiejące się! Dzisiaj wszyscy skrzywieni... A jednak kapitan mówił dziś rano, że odnieśliśmy zwycięstwo po drugiej stronie Lipska.

Wielu innych myślało to samo, chociaż nic nie mówili; niepokój zaczynał opanowywać wszystkich....

Zastaliśmy pułk w biwakach, na dwa strzały fuzji od Kohlgarten. Batalion zajął miejsce na prawo drogi, na wzgórzu.

We wszystkich kierunkach widać było niezliczone ognie wojska, wysyłając dymy swe ku niebu. Drobny deszczyk wciąż padał i ludzie siedzący na tornistrach naprzeciw małych ognisk, z rękami skrzyżowanymi, zdawali się być mocno zadumani. Oficerowie łączyli się z sobą gromadami. Ze wszystkich stron powtarzano, że nikt jeszcze nie widział podobnej wojny... że była to wojna zagłady... że nieprzyjaciel nie troszczył się wcale o to, że był pobity, a chciał tylko wybić nam jak najwięcej ludzi, wiedząc dobrze, iż zostanie mu ich zawsze cztery lub pięć razy więcej niż nam i że on nareszcie będzie panem.

Powiadano także, iż cesarz wygrał bitwę pod Wachsau, przeciw austryakom i rossyjanom; ale że to nie służyło na nic, ponieważ tamci nie odchodzili, a czekali na wielkie posiłki. Od strony Mookern wiadano, żeśmy przegrali, pomimo pięknej obrony Marmonta: nieprzyjaciel zgniół nas liczbą. Jedną tylko prawdziwą korzyść odnieśliśmy dnia tego, to jest żeśmy utrzymali się przy naszym punkcie odwrotowym na Erfurt; Giulay bowiem nie zdołał opanować

mostów na Elsterze i Pleisie. Całe wojsko, od prostego żołnierza do marszałka, myślało, że należy się jak najspieszniej cofnąć i że położenie nasze jest bardzo złem; na nieszczęście cesarz myślał inaczej: trzeba było zostać!

Przez cały ten dzień 17-go staliśmy na miejscu, nie dawszy ani jednego strzału. Niektórzy mówili o przybyciu generała Reyniera z szesnastu tysiącami saszów; ale odstępstwo bawarczyków nauczyło nas, jaką ufność możemy mieć w naszych sprzymierzeńcach.

Nad wieczorem rozeszła się wieść, że na równinie Breitenfeld ukazywała się armia północna: sześćdziesiąt tysięcy ludzi przybywało nieprzyjacielowi. Zdaje mi się, że słyszę przekleństwa, jakie rzucano wówczas na Bernadotte'a, okrzyki oburzenia tych, którzy go znali prostym oficerem za czasów Rzeczypospolitej i mówili: „Wszystko nam zawdzięcza... Własną krwią naszą zrobiliśmy go królem... a teraz przychodzi dobić nas!”

W nocy armia nasza ogólnym ruchem w tył się cofnęła, przysunęła się do Lipska i ciasniejszem jeszcze kołem opasała go; potem wszystko znowu uspokoiło się. Ale nie przeszkadzało to nam rozmyślać, przeciwnie każdy w cichości dumał:

„Co się stanie jutro? Czy o tej godzinie będę widział jeszcze, jak teraz, księżyc między chmurami? Czy gwiazdy będą jeszcze dla oczu moich błyszczały?”

I patrząc w noc ciemną na to wielkie ogniste koło, które nas opasywało, na przestrzeni sześciu mil prawie, mówiono sobie:

„Teraz cały świat jest przeciwko nam.. wszystkie ludy pragną zagłady naszej... nie chcą już naszej sławy!”

Potem przychodziła myśl, że się miało honor być francuzem i że należy się — zwyciężyć lub umrzeć.

## XIX.

Wśród tych myśli dzień nadszedł. Nic się jeszcze nie ruszało i Zébédé rzekł do mnie:

— Jakieby to było szczęście, gdyby nieprzyjacielowi zabrakło odwagi uderzyć na nas!

Oficerowie rozmawiali między sobą o zawieszeniu broni. Ale nagle, koło godziny dziewiątej, kuryerzy nasi pędem przylecieli, oznajmiając, że nieprzyjaciel porusza się na całej linii i prawie zarazem działa zagrożniały na prawo, wzdłuż Elstery. Byliśmy już pod bronią i szliśmy przez pole, od strouy Parthy, z powrotem do Schoenfeldu. Taki był początek bitwy.

Na wzgórzach, z powodu rzeki, dwie lub trzy dywizye, mając baterie pomiędzy sobą a kawalerję po bokach, oczekiwały nieprzyjaciela; dalej, po przez wierzchołki bagnetów widzieliśmy: prusaków, rosyjan, szwedów posuwających się ze wszystkich stron ciemnymi masami: nie było temu końca.

W dwadzieścia minut potem, byliśmy już na linii, między dwoma wzgórzami i mieliśmy przed sobą pięć lub sześć tysięcy prusaków, którzy przeprawiali się przez rzekę, krzycząc wszyscy razem: „*Faterland! Faterland!*” Tworzyło to wrzask straszny, przypo-

minający owe stada kruków, które zgromadzają się, udając do krajów północnych.

W tejsze chwili strzelanie rozpoczęło się z jednego brzegu na drugi i działa poczęły grzmieć. Parów, w którym płynie Partha, napelnit się dymem, prusacy wpadli już na nas, a my zaledwie dojrzeć mogliśmy ich oczy wściekle, ich usta wykrzywione i miny dzikich zwierząt. Jeden tylko wówczas wydaliśmy okrzyk ku niebu: „*Niech żyje Cesarz!*” i rzuciliśmy się na nich. Rozpoczęła się straszna potyczka; w dwie sekundy tysiące bagnatów skrzyżowały się z sobą: popychano się, cofano, strzelano do siebie wprost w piersi, zabijano się uderzeniami kolby, szeregi pomieszały się z sobą.. stąpano po tych, którzy upadli, działa grzmiały; a dym, który się słał po nad tą ciemną wodą między wzgórzami, świst kul, trzask strzałów czyniły dolinę podobną do pieca, gdzie ludzie niby drewno, wpadali, by się stać pastwą płomieni.

Nas popychała rozpacz, wściekła żądza pomśzczenia się przed śmiercią; prusaków niosła duma, mówili sobie: „Tym razem zwyciężymy Napoleona!” Prusacy ci, to najambitniejsi w świecie ludzie; zwycięstwo, które odnieśli pod Gross Beeren i pod Katzbach, napelnili ich szaleem jakimś. Ale zostało ich w rzece... tak, zostało! Cztery razy przechodzili rzekę i rzucali się na nas masą całą. Musieliśmy cofać się dla wielkiej ich ilości, a jakie krzyki wydawali wówczas. Ktoby powiedział, że chcą nas zjeść... Bzdurka to rasa... Oficerowie ich, z szablą do góry między ściśniętymi szeregami bagnatów powtarzali

sto razy: „*Forverts! Forverts!*” i wszyscy szli murem naprzód z wielką odwagą, temu zaprzeczyć nie można. Nasze działa zmiatały ich, a oni wciąż posuwali się; ale na wierzchołku wzgórza my z nowym zapędem rzucaliśmy się na nich i spychaliśmy ich aż do rzeki. Bylibyśmy ich wszystkich wymordowali, gdyby nie jedna z ich baterij z przed Mockern, która brała nas w ukos i nie pozwalała ścigać ich bardzo daleko.

Trwało to do godziny drugiej; połowa oficerów naszych nie była w stanie już walczyć; komendant Gemeau był ranny, pułkownik Lovain zabity i cały brzeg rzeki zasłany stosami poległych i rannych, którzy usiłowali wydostać się z tłoku; niektórzy z nich, wściekli, podnosili się na kolana, by raz jeszcze pchnąć bagnetem lub wystrzelić. Nigdy nie podobnego nie widziano. Rzeką płynęły szeregi umarłych, jedni twarzą do góry, drudzy plecami, innych nogi tylko widać było. Płynęli tak jak sztuki drzewa, a nikt nie zwracał najmniejszej uwagi na to. Jak gdyby coś podobnego nie mogło spotkać każdego z nas lada chwilę.

Wielka ta rzeź odbywała się wzdłuż całej Parthy, od Schoenfelda aż do Grossdorfu.

Wreszcie szwedzi i prusacy skierowali się w górę rzeki, by nas zająć wyżej, a rossyianie przyszli zastąpić prusaków, którzy nie gniewali się o to wcale, że im kazano iść gdzieindziej.

Rossyianie uszykowali się w dwie kolumny, w doskonałym porządku zesli na dolinę i dwa razy przypuścili szturm do nas z wielką walecznością, nie

wydają jednak owych zwierzęcych okrzyków jak prusacy. Kawalerya ich chciała zerwać stary most powyżej Schoenfeldu; kanonada zwiększała się coraz bardziej. W jakąkolwiek stronę człowiek się obrócił, widział tylko ciasne szeregi wrogów; zaledwieśmy odparli jedną z ich kolumn; na jej miejsce zjawiała się inna, ze świeżymi siłami i wciąż trzeba było rozpoczynać na nowo.

Między drugą a trzecią dowiedziano się, że szwodzi i kawalerya pruska przeprawili się przez rzekę powyżej Grossdorfu i że mieli nas zaskoczyć z drugiej strony; daleko więcej przypadało to im do smaku, aniżeli nacierać na nas z przodu. Natychmiast marszałek Ney zmienił front, prawe skrzydło cofając w tył. Nasza dywizja zawsze się opierała o Schoenfeld, ale wszystkie inne cofnęły się od Parthy, zajęły równinę i całe wojsko utworzyło już tylko jedną linię do koła Lipska.

Koło trzeciej godziny, rossyjanie za traktem Moeckern przygotowali się do trzeciego ataku, nasi oficerowie nowe wydawali rozporządzenia do przyjęcia ich, kiedy rodzaj dreszczu przeszedł z jednego końca armii o drugi i w kilka minut wszyscy dowiedzieli się, że szesnście tysięcy sasów i kawalerya württembergiska, — zajmująca środek naszej linii, — przeszła właśnie na stronę nieprzyjaciela i że nawet, zanim jeszcze stanęli w pewnej odległości, tak byli podli, że czterdzieści dział, które zabierali z sobą, zwrócili ku dawnym towarzyszom broni z dywizji Durutte'a.

Zdrada ta, zamiast przygnębić nas, powiększyła tylko wściekłość naszą tak, że gdyby nas słuchano, bylibyśmy przeszli rzekę, by wszystkich wymordować.

Sasi powiadają, że bronili ojczyzny swej; otóż, to fałsz! Mogli przecież opuścić nas na trakcie Duben; ktoś im przeszkadzał? Mogli zrobić tak jak bawarczycy i przed bitwą wypowiedzieć się. Mogli też zachować się neutralnie, mogli także odmówić ustugi; ale oni zdradzali nas dla tego, że los był przeciwko nam. Gdyby widzieli, że mamy wygrać, pozostałoby byli dobrymi przyjaciółmi naszymi, dla tego, żeby mieć udział w korzyściach wygranej, tak jak po Jena i Friedland. Oto, co każdy myślał i oto dla czego sasi będą po wiek wieków uważani za zdrajców. Nie tylko opuścili przyjaciół swych w nie-szczęściu, ale nawet mordowali ich, chcąc przypodobać się tamtym. Bóg jest sprawiedliwy: nowi sprzymierzeńcy taką powzięli pogardę dla nich, że po bitwie rozdzielili między siebie połowę ich kraju. Francuzi śmieli się tylko z wdzięczności prusaków, austryaków i rossyan.

Od tej chwili aż do wieczora, nie była to już ludzka wojna, był to bój zemsty. Liczba miała przemóżyć nas, ale sprzymierzeńcy musieli drogo opłacić zwycięstwo swoje.

Na schyłku dnia, podczas kiedy dwa tysiące dział grzmiało razem, wytrzymaliśmy siódmy atak w Schoenfeldzie: z jednej strony rossyjanie a z drugiej prusacy parli nas do tej wielkiej wioski. Trzymaliśmy się w każdym domu, na każdej uliczce; mury padały od kul, dachy waliły się. Nie krzyczano już, tak



jak na początku bitwy; lude się byli bledzi i zimni ze wściekłości. Oficerowie podnosili fusy i powkładali na siebie stare ładownice; rozdierali ładunki jak prości żołnierze.

Po domach, broniono ogrody i omentarz, gdzie spałem dnia poprzedniego; teraz leżało tam więcej umarłych na ziemi jak pod ziemią. Ci, którzy padali, nie skarżyli się; ci, którzy pozostawali, gromadzili się za murem, za kupą gruzów, za grobem. Każda piędź ziemi kosztowała kogoś życie.

Noc już była, kiedy marszałek Ney przyprowadził, nie wiem skąd, posiłki: to co pozostało z dywizji Ricarda i drugiej Souhama. Wszystkie resztki pułków naszych połączyły się z sobą i odparto rossyan na drugą stronę starego mostu, który nie miał już poręczy, tak go skartaczowano. Na moście tym ustawiono sześć dział dwunasto-funtowych i aż do godziny siódmej strzelano w tem miejscu. Resztki tego batalionu jakoteż kilku innych podtrzymywały działa i pamiętam, że ogień z nich przelatywał pod mostem jak błyskawice, przy świetle których widać było, jak konie i ludzie zabici padali pod ciemne arkady mostu. Widzenia te trwały sekundę tylko, ale jakże staszne były!

O pół do ósmej, kiedy masy kawaleryi posuwały się na lewe skrzydło nasze i widać było jak krążyły koło dwóch wielkich czworoboków, które ocały się krok za krokiem, dano nam nareszoie roak za odwrotu. W Schoenfeld pozostały tylko dwa lub trzy tysiące ludzi z sześciu armatami. Nie ścigani wróciliśmy do Kohlgarten i poszliśmy biwakować

koło Rednitsu. Zébédé żył jeszcze; ze dwadzieścia minut szliśmy obok siebie nic nie mówiąc, słuchając tylko kanonady, która pomimo nocy nie ustawała od strony Elstery, kiedy nagle Zébédé odezwał się do mnie:

— Jakim sposobem zostaliśmy jeszcze przy życiu. Józefie, kiedy tyle tysięcy ludzi poległo koło nas? Teraz już nie możemy umrzeć.

Nie odpowiadałem nic.

— Jaka bitwa! rzekł znowu. Czyż kiedykolwiek przedtem bił się kto tak jak my dzisiaj? To niepodobna.

Miał słuszność, była to bitwa olbrzymów. Od dziesiątej rano do ósmej wieczór, stawiliśmy czoło trzystu sześćdziesięciu tysiącom ludzi, nie ustępując ani kroku, chociaż było nas tylko sto trzydzieści tysięcy! Nie było jeszcze nic podobnego. — Niech mi Bóg broni, żeby mi się nie udało mówić o Niemcach, walczących za niepodległość ojczyzny swojej; ale zdaje mi się, że nie mają słuszności obchodząc co rok rocznicę bitwy lipskiej: niema się czego chwalić, kiedy było trzech na jednego.

Zbliżając się do Rednitz, szliśmy po stosach poległych, co krok spotykaliśmy zdemontowane działa przewrócone jaszczki, drzewa potrząskane kartaczami. Tam to jedna dywizja młodej gwardyi i konni grenadyerzy, pod dowództwem Napoleona samego, zatrzymali byli szwedów, którzy pakowali się w próżnię utworzoną przez zdradę sasków. Dwie lub trzy chałupy, dopalające się naprzeciw wioski, oświecały ten widok. Grenadyerzy konni byli jeszcze

w Rednitz, ale mnóstwo innych oddziałów rozpierzchłych chodziło tam i napowrót po wielkiej ulicy. Żywności nie rozdawano, każdy przeto sam dla siebie starał się o jedzenie i picie.

Kiedyśmy przechodzili przed wielkim domem pocztowym ujrzyliśmy za murem dziedzińca dwie markietanki, które stojąc na wózkach swoich rozlewały napoje. Byli tam strzelcy, kirasierzy, ułani, husarzy, piechota liniowa i gwardyjska, wszyscy pomieszani razem, obdarci, z połamanymi kapelusami i kaskietami, bez kitek, w odzieniu podziurawionem kulami. Wszyscy zdawali się okropnie głodni.

Dwaj lub trzej dragoni stali na małym murze przy garnczku napełnionym palącą się smołą; mieli ręce skrzyżowane pod wielkimi swemi białymi płaszczami i pokryci krwią podobni byli do rzeźników.

Zébédé nic nie mówiąc potracił mię łokciem i weszliśmy na dziedzińiec, podczas kiedy inni poszli dalej. Kwadrans minął, zanim zdołaliśmy dostać się do wózka. Podniosłem wówczas w górę sześciofrankówkę; markietanka, klęcząc za bezułką swoją, podała mi wielką szklankę wódki i kawałek chleba białego, za co wzięła mój pieniądz. Napilem się i podałem szklankę Zébédé'emu, a ten wypróbował ją.

Z trudnością wydostaliśmy się z tego tłumu; patrzano na siebie ponuro, łokciami i plecami robiono sobie miejsce; tutaj w istocie można było powiedzieć, — patrząc na te surowe twarze, te oczy wpadłe, ten straszny wyraz twarzy ludzi, którym śmierć tysiąc razy zaglądnęła w oczy dzisiaj i zaglądać

będzie znowu jutro; — „każdy dla siebie... Bóg dla wszystkich!”

Idąc przez wieś, Zébédé rzekł do mnie:

— Masz chleb?

— Tak.

Przełamałem chleb i dałem mu połowę. Jedliśmy przyspieszając kroku. Zdawało się słychać było jeszcze strzały. W dwadzieścia minut dopędziliśmy ogon kolumny i poznaliśmy batalion adjutanta-majora Vidala, który szedł obok niego. Weszliśmy do szeregów, nikt nie zauważył nieobecności naszej.

Im bardziej zbliżano się do miasta, tem więcej spotykano oddziałów, armat i bagaży, które śpieszyły do Lipska.

Koło godziny dziesiątej przeszliśmy przedmieście Rendnitz. Generał brygady Fournier, objął dowództwo nad nami i kazał nam zboczyć na lewo. O północy wstrzymaliśmy się pod starymi lipami, ogolonemi z liści; było to obszerne miejsce przechadzki wzdłuż Pleissy. Ustawiono broń w kozły. Długi szereg ogni migotał wśród mgły aż do przedmieścia Ranstadtu. W chwilach, kiedy płomień wznosił się, widać było grupy ułanów polskich, linie koni, dział i furgonów; a gdzieś niegdzie warty nieruchome wśród mgły jak cieni. Z miasta dochodził hałas wielki, który zdawał się wciąż wzrastać i mieszał z głuchym hukiem konwojów naszych na moście Lindenau. Był to początek odwrotu. — Każdy z nas położył tornister swój pod drzewem i wyciągnął się na nim podłóżywszy ramię pod usho. W kwadrans potem wszyscy spali.

## XX.

Nie wiem, co się działo do świtu, — bagaże, ranni i jeńcy defilowali zapewne wciąż przez most; ale nadedniem straszny wystrzał obudził nas, wszyscy co do jednego zerwali się z ziemi, bo myślano, że to atak nowy, kiedy dwóch oficerów od husarów nadjechało wołając, że to furgon z prochem przypadkowo wyleciał w powietrze w wielkiej alei Randstattn, nad brzegiem wody. Dym ciemno-czerwony kłębił się jeszcze powoli rozchodząc; ziemia i stare domy trzęsty się.

Spokój wrócił. Niektórzy pokładli się na nowo, chcąc zasnąć jeszcze; ale dzień już nadchodził; rzuciwszy okiem na szarawą rzekę, widać już było wojsko nasze, ciągnące jak okiem sięgnąć wzdłuż pięciu nurtów Elstery i Pleissy; mosty te szły jeden za drugim i można powiedzieć, że tworzyły jeden tylko. Smutno się bardzo robiło patrząc na ten most, po którym tyle tysięcy ludzi przejść miało. Musiało to zabrać dużo czasu i każdemu przychodziło na myśl, że lepiej byłoby rzucić mostów kilka na obu rzeekach, bo nieprzyjaciel mógł znowu uderzyć na nas i uczynić odwrót jeszcze trudniejszym. Ale cesarz zapomniał wydać rozkazów w tym względsie, a nie śmiano nic robić bez rozkazów jego; ani jeden marszałek Francji nie ośmieliłby się powiedzieć, że dwa mosty więcej warte niż jeden! Oto do czego doprowadziła starych tych wodzów strasna

karność Napoleona: słuchali tylko jak maszyny i nie troszczyli się o nic więcej, bojąc się ściągnąć na siebie niełaskę pana!...

Jak tylko ujrzałem ten most bez końca, zaraz pomyślałem sobie: „Zebyż przynajmniej pozwolili nam teraz dojsć, bo mamy już Bogu dzięki dosyć bitwy i rzezi! Przeszedłszy na drugą stronę, zaraz znajdziemy się na dobrej drodze do Francji i może jeszcze ujrzę Katarzynę, ciotkę Grédelę i ojca Guldena!” Myśląc o tem, czulem rozrzewnienie i zazdrośnem okiem patrzyłem na te tysiące artylerzystów konnych i żołnierzy pociągowych, którzy oddalali się tam jak mrówki i jako też na wielkie kosmate czapki starej gwardyi, nieruchomo stojące po drugiej stronie rzeki, na wzgórzu Lindenau, z bronią w rękę. — Zébédé, który myślał to samo, rzekł do mnie:

— He! Józefie, żebyśmy byli na ich miejscu!

To też koło godziny siódmej, kiedy nadeszły trzy furgony z ładunkami i chlebem, wydało mi się to bardzo gorzkim. Wyraźnem już teraz było, że będziemy składali straż tylną i pomimo głodu miałem ochotę rzucić chleb mój o ścianę. W kilka minut potem przeszły dwa szwadrony pułskich ułanów, dążących w górę rzeki; za tymi ułanami ukazało się pięciu czy sześciu generałów, a w tej liczbie Poniatowski. Był to człowiek lat pięćdziesięciu, dosyć wysoki, szczupły i ze smutnym wyrazem twarzy. Przejechał nie patrząc na nas. Generał Fournier odłączył się od sstatu swego, wołając na nas:

— Szeregami, na lewo!

Nigdy jeszcze zdaje się serce mi się tak nie darło, byłbym oddał życie za szeląg; ale trzeba było odwrócić się plecami do mostu i ruszać.

Na końcu spacerowych alei, znaleźliśmy się przy starej bramie, zwanej Hinterthôr, na drodze do Cannevitze; na prawo i lewo ciągną się stare szańce, a z tyłu wznoszą się domy. Ustawiono nas w miejscach zastoniętych przy owej bramie, którą saperzy mocno zabarykadowali. Kapitan Vidal dowodził wówczas batalionem, który zmniejszył się do trzechset dwudziestu pięciu ludzi. Kilka starych, spróchniałych palisad służyło nam za szańce, a na wszystkich drogach przed nami widzieliśmy przesuwającego się nieprzyjaciela. Tym razem były to już kurtki białe i kaszkiety płaskie na tyle głowy, ozdobione pewnym rodzajem wysokiej blachy na przodzie, na której rozpościerał się dwugłowy orzeł *kreutzer'ów*. Stary Pinto poznał ich natychmiast i zawołał:

— To *kaiserlicki*! pobiliśmy ich więcej pięćdziesięciu razy od 1793 roku; ale to wszystko jałno, gdyby ojciec Maryi Ludwiki miał choć trochę serca, byłiby oni teraz z nami.

Od kilku chwil już słychać było kanonadę; po drugiej stronie miasta Blücher atakował przedmieście Hall. Wkrótce potem ogień rozciągnął się na prawo. Bernadotte atakował przedmieście Kohlgartenthor i prawie jednocześnie pierwsze granaty austriaków padły na nasze stanowiska; szły one jeden za drugim; niektóre z nich, przeleciawszy po nad Hinterthor, pękały w domach i na ulicach przedmieścia.

O godzinie dziewiątej austriacy uszykowali się w kolumny do ataku na drodze Kanneritz. Ze wszystkich stron brali górę nad nami; pomimo to batalion utrzymał się aż do dziesiątej godziny prawie. Wtedy zmuszeni zostaliśmy cofnąć się za stare szańce, gdzie *kaiserlicki* gonili za nami przedzierając się przez wylomy w murze, pod krzyżowym ogniem 29-go i 14-go liniowego pułku. Biedacy ci nie byli tak wściekli jak prusacy; okazali jednak prawdziwe męstwo, bo o w pół do jedenastej wdarli się na szańce i chociaż strzelaliśmy do nich ze wszystkich okien do koła, nie mogliśmy ich zmusić do odwrotu. Pół roku temu podobne rzeczy budziłyby we mnie grozę, ale tyle już widziałem gorszych! Stałem się tak nieczułym jak stary żołnierz i śmierć jednego lub stu ludzi, wydawała mi się niczem.

Do tej chwili wszystko szło dobrze; ale jak wyjść z domów? Nieprzyjaciel zajmował wszystkie ulice i chyba wleść na dachy, innego wyjścia nie było: Jest to jeszcze jedno z przykrych wspomnień moich. Nagle przyszło mi na myśl, że wezmą nas tam jak lisów, których kurzą w norze; zbliżyłem się do okna tylnego i ujrzałem, że wychodzi na ogród, z którego nie było innego wyjścia jak od frontu. Wyobrażałem sobie, że austriacy wywdzięczając się nam za wszystko, cośmy im zrobili, wyniosą nas na bagnietach; było to dosyć naturalnem. Myśląc tak wszedłem do pokoju, gdzie było nas około dziesięciu i ujrzałem sierżanta Pinto, który z opuszczonemi rękami siedział błądy koło ściany. Przed chwilą dostał był kulę w brzuch, a teraz mówił wśród strzałów.

— Brońcie się, rekruci, brońcie się!.. Pokażcie *kaiserlickom*, żeście więcej od nich warcili! Ach rzbójnicy!

Na dole, koło bramy, słycać było jak gdyby huk dział. Strzelaliśmy wciąż, ale już bez nadziei, kiedy na dworze powstał nagle wielki hałas i tentent koni. Ogień ustał i przez dym ujrzelśmy cztery szwadrony ułanów pędzących jak gromada lwów wśród austryaków. Wszystko ustępowało przed nimi. *Kaiserlicki* umykali co sił; ale wielkie sine lance, z czerwonym połyskiem, prędzej niż oni posuwały się i jak strzały wpadały do grzbietów. Ułani ci to byli Polacy, najstraszniejsi żołnierze, jakich w życiu mojem widziałem, a jeżeli mówić rzeczy jak są, nasi przyjaciele i bracia. Ci nie zwinęli chorągiewki w chwili niebezpieczeństwa, ale oddali nam do ostatniej kropli krwi swojej... A my, cóżemy zrobili dla ich nieszczęśliwego kraju?... Kiedy pomyślę o niewdzięczności naszej, serce mi się kraje!

Słowem, tym razem jeszcze Polacy oswobodzili nas. Widząc ich dumę i waleczność, powychodziliśmy zewsząd i popędziliśmy na austryaków z bagnetem i wyparliśmy ich do fos. Zwycięstwo przy nas zostało, ale wielki był czas do odwrotu, nieprzyjaciel bowiem napełniał już Lipsk: bramy Hall i Grimma zostały zdobyte, a brama Peters-Thor wydana przez naszych przyjaciół badeńców i drugich przyjaciół naszych saszów. Żołnierze, studenci, mieszożanie, strzelali do nas z okien!

Tyle tylko mieliśmy czasu, żeśmy się uszykowali w niejaki porządku i wyruszyliśmy wielką aleją

idącą wzdłuż Pleissy. Tam ułani oczekiwali na nas; deflowaliśmy za nimi i kiedy austryacy naciskali na nas tuż tuż, oni raz jeszcze szarżowali na nich i odparli ich. Jacy to poczciwi ludzie i jacy przepyszni kawalerzyści z tych Polaków! Ah! wzbudzili oni podziw u wszystkich, co widzieli ich idących do ataku, szczególnie w takiej chwili.

Dywizya, z ośmiu tysięcy ludzi zmniejszona do tysiąca pięciuset, cofała się zatem przed więcej niż pięćdziesięciu tysiącami nieprzyjaciela i pomimo to, jeszcze się odwracała i strzelała do *kaiserlicków*.

Zbliżaliśmy się do mostu, z jaką radością! nie potrzebuję mówić. Ale nie łatwo było dostać się do niego, bo na całą szerokość alei, tylu ludzi konnych i pieszych cisnęło się, śpiesząc ze wszystkich okolicznych ulic, że cały ten tłum tworzył niejako jedną zbitą masę, w której wszystkie głowy stykały się i posuwały powoli, wydając przytem westchnienia i krzyki przytłumione, które pomimo strzelania słycać było o ćwierć mili. Biada tym, którzy się znaleźli na brzegu mostu; spadali, a nikt nie zwracał uwagi na to! Środkiem tak popychano ludzi a nawet konie, że niesiono ich niemal; nie potrzebowali ruszać się sami... — Ale jak się tam dostać? Nieprzyjaciel zbliżał się co sekundę. Ustawiono wprawdzie kilka dział po obu stronach, dla zmiatania alei i głównej ulicy naprzeciw. Były też jeszcze liniowe oddziały dla odparcia pierwszych ataków; ale prusacy, rossyianie i austryacy mieli także działa do zmiatania mostu i tym którzy mieli pozostać się na ostatku, musiały się dostać wszyst-

kie granaty, wszystkie kule i kartacze. Nie wiele trzeba było rozumu na to, by to zrozumieć, było to dosyć jasno: i dla tego to wszyscy chcieli przejść na raz.

O dwieście lub trzysta kroków od tego mostu przyszło mi na myśl biedz i skryć się w tłumie, któryby mię zaniósł na drugą stronę; ale kapitan Vidal, porucznik Bretonville i inni starzy mówili:

— Pierwszy kto wyjdzie z szeregów, strzelać do niego!

Przekleństwo! być tak blisko i myśleć: „Muszę zostać!”

Działo się to między jedenastą godziną a południem. Gdybym żył sto lat, niepodobna mi byłoby zapomnieć choć cokolwiek z tej chwili; z lewej i z prawej strony strzały zbliżały się, parę kul gwiznęło w powietrzu, a od strony przedmieścia Hall widać było prusaków obok żołnierzy naszych. — Koło mostu straszne krzyki rozlegały się; kawalerzyści, torując sobie drogę, pałaszowali piechotnych, którzy odpowiadali im na to bagnietami: był to ogólny popłoch! — Za każdym krokiem tłumy, ktoś spadał z mostu i chcąc się utrzymać, ciągnął za sobą pięciu lub sześciu innych i spadali razem jak grom.

I kiedy pomieszanie, wycie, strzelanie, plusk tych, którzy spadali, zwiększył się w chwili, kiedy widok ten stawał się tak okropnym, że nic gorszego niepodobna wyobrazić sobie... nagle rozległ się niby huk piorunu i pierwsza arkada mostu runęła wraz

z tymi, którzy byli na wierachu: setki nieszczęśliwych znikają, odpadające kamienie kaleczą masy innych, gniotą lub zabijają.

Saper od inżynierii wysadził most!

Na ten widok krzyk o zdradę rozległ się aż po alejach: „Jesteśmy zgubieni!... zdradzeni!...” To tylko słychać było.... był to krzyk potężny, okropny. Jedni, przejęci wściekłością, rozpaczą, zwracają się ku nieprzyjacielowi, jak obszczone drapieżne zwierzęta, co nic już nie widzą i mają tylko jedną myśl zemsty; inni łamią broń, oskarżając Niebo i ziemię o niedolę swoją. Oficerowie konni, generałowie, rzucą się do rzeki, chcąc przebyć ją wplaw; wielu żołnierzy idzie za ich przykładem, rzucając się także w wodę, nie tracąc czasu na zdejmowanie tornistrów. Myśl, że można było ująć i że w ostatniej chwili trzeba dać się zamordować, doprowadzała do szaleństwa.... Dnia poprzedzającego widziałem wiele trupów, niesionych wodami Parthy; ale teraz było to coś jeszcze straszniejszego; wszyscy ci biedacy szamotali się w wodzie z rozdzierającym krzykiem, czepiali się jeden drugiego; rzeka była ich pełna: — widać było tylko głowy i ręce ruszające się nad powierzchnią. W tej chwili kapitan Vidal, człowiek spokojny i który postawą swą i wzrokiem umiał zatrzymać nas na drodze obowiązku, — w tej chwili, sam kapitan, zdawało się że stracił wszelką nadzieję; z dziwnym uśmiechem wsunął szpadę swą do pochwy i rzekł:

— No.... skończyło się!...

I kiedy położyłem mu rękę na ramieniu, spojrzał na mnie bardzo łagodnie i spytał:

— Czego chcesz, moje dziecko?

— Kapitanie, odpowiedziałem, — bo myśl ta teraz dopiero przyszła mi, — przepędziłem cztery miesiące w szpitalu lipskim, kąpałem się w Elsterze i szukałem miejsce, gdzie można przejść w bród.

— Gdzież to?

— O dziesięć minut powyżej mostu.

Natychmiast dobył szpadę, wołając grzmiącym głosem:

— Dzieci, idźcie za mną, a ty, idź przodem.

Cały batalion, liczący teraz już tylko dwieście ludzi, ruszył z miejsca, ze stu innych żołnierzy widząc że odchodzimy krokiem pewnym, przyłączyło się do nas, nie wiedząc gdzie idziemy. Austriacy byli już na tarasie alei; poniżej, szeregi ogrodów, rozdzielonych płotami, ciągnęły się aż ku Elsterze. Poznałem tę drogę, którą przebywaliśmy z Zimmerem w lipcu, kiedy wszystko to było w kwiecie. Strzały nieprzyjaciół goniły za nami, ale nie odpowiadaliśmy na nie. Pierwszy wszedłem do rzeki, za mną kapitan Vidal, potem inni po dwóch z kolei. Woda sięgała nam aż do pleców, bo rzeka wezbrała była w skutek deszczów jesiennych; pomimo to przeszliśmy szczęśliwie i nikt nie utonął. Wszyscy prawie mieliśmy jeszcze fuzje nasze, kiedyśmy stanęli na drugim brzegu i ruszyliśmy wprost przez pola. Dalej trafiliśmy na mały drewniany most, prowadzący do Schleissinga i ztamąd zwróciliśmy się ku Lindenau.

Wszyscy byliśmy milczący; od czasu do czasu parzyliśmy w dal, na drugą stronę Elstery, gdzie bitwa toczyła się jeszcze na ulicach Lipska. Długo dochodził nas wściekły wrzask i głuchy huk kano-nady; dopiero koło drugiej godziny, kiedyśmy ujrzeli nieskończoną linię oddziałów, bagaży i dział, które nieprzejrzanym pasmem ciągnęły drogą do Erfurtu, dopiero wówczas daleki ten hałas pomieszał się dla nas z hukiem wozów.

## XXI.

Dotychczas opowiadałem wielkie wypadki wojny; bitwy przynoszące chlubę Francji, pomimo błędów naszych i nieszczęść. Kto walczył sam przeciwko wszystkim narodom Europy, — zawsze jeden przeciwko dwóm, a nawet trzem naraz, — i uległ nareszcie nie w skutek odwagi tamtych, lub geniuszu ich, ale przez zdradę i przewyższającą liczbę, ten niesłusznieby robił, gdyby się wstydził takiej przegranej, a zwycięzcy jego jeszcze więcej wielkości słuszności, gdyby się nie chełpili. Nie liczba stanowi wielkość narodu lub wojska, ale cnota jego. Myślę tak w szczeroci ducha i sądzę, że wszyscy ludzie serca, wszyscy ludzie zdrowego rozsądku, we wszystkich krajach świata, myślą tak jak ja.

Teraz trzeba, żebym opowiedział o przykrościach odwrotu i to właśnie wydaje mi się najsmutniejszym.

Powiadają, że ufnosć daje siłę; jest to prawda, szczególnie co się tyczy francuzów. Dopóki idą na-

przód, dopóki spodziewają się zwycięstwa, dopóty zjednoczeni są z sobą jak palce u jednej ręki; wola dowódców jest prawem dla wszystkich; czują, że przy karności tylko może się im powodzić. Ale jak tylko zmuszeni są do cofania się, wówczas zaczynają wierzyć już tylko w samych siebie i nie znają rozkazu. I ludzie ci dumni, — ludzie, którzy wesoło szli do boju z nieprzyjacielem, — rozchodzą się, jedni na prawo, drudzy na lewo, czasem sami, czasem gromadami. Wówczas ci, którzy wprzódy drżeli przed nimi, ośmielają się; występują najprzód z niejaką obawą, potem, widząc, że nic im się nie staje, stawiają się zuchwale i w trzech lub czterech napadają na wlokących się, jak kruki, co się rzucają na powalonego konia, na którego nie śmiałyby patrzeć o pół mili, kiedy ten chodził jeszcze.

Patrzyłem na to... Widziałem nędznych kozaków, — byli to prawdziwi żebracy, w starych łachmanach, w starej wytartej czapce nasuniętej na uszy, siedzący na starych, wychudłych szkapach, bez siódła, z nogą w sznurze zastępującym strzemię, ze starym zardzewiałym pistoletem, jako broń palną i z żerdzią na której wbity był gwóźdź, jako lancą, — widziałem tych łotrów, co to nigdy się nie golili i pokryci byli robactwem, a podobni byli do starych, poślizgłych, strupieszalnych żydów, jak zatrzymywali po dzieściu, piętnastu, dwadziestu żołnierzy i uprowadzali ich jak baranów!

A chłopci, ci dragale, co to kilka miesięcy temu trzęśli się jak zające, kiedy na nich krzywo patrzano... no, i cóż, teraz, sam widziałem, jak z arogancją

traktowali starych żołnierzy, kirasyerów, kanonierów, dragonów z Hiszpanii, ludzi, którzyby ich pięścią przewrócić mogli; widziałem, jak utrzymywali, że nie mają chleba na sprzedaż, chociaż na wszystkie strony rozchodził się zapach pieczywa i że nie mieli ani wina, ani piwa, ani nic, chociaż na prawo i lewo słychać było brzęk szklanek domów ich wioskowych. I nie śmiano ich dotknąć, nie śmiano ich nauczyć rozumu, tych łotrów, co to się śmieli z tego, żeśmy w odwrocie, bo nie było potrzebnej po temu liczby, bo każdy szedł swoją drogą, bo nie nieuznawano dowódców, bo nie było karności.

A potem głód, nędza, zmęczenie, choroba, wszystko to na raz gnębiło cię; niebo było szare, deszcz nie przestawał lać, jesienny wiatr przemował do kości. A biedni rekruci bez wąsów jeszcze i tak wychudli, że aż przezroczyli niemal, jakże te biedne istoty mogły wytrzymać tyle nędzy i utrapień? To też ginęli tysiącami; to tylko i widziało się po drogach. Straszna choroba zwana *tyfusem*, szła za nami trop w trop: jedni powiadali, że jest to rodzaj zarazy, pochodzącej z umarłych, których nie dosyć głęboko grzebano; inni, że przyczyną jej są cierpienia za wielkie na siły ludzkie; nie wiem tego, ale wiem, że wioski Alzacyi i Lotaryngii, do których przynieśliśmy tyfus, nie zapomną nigdy o niej: na stu chorych, zaledwie dziesięciu lub dwunastu wracało do zdrowia!

Nakoniec, ponieważ trzeba ciągnąć dalej tę smutną historję, wieczorem 19 go poszliśmy biwakować



do Lutzen, gdzie pułki uporządkowały się jak mogły. Nazajutrz rano, idąc na Weissenfels, trzeba było strzelać do westfalczyków, którzy ścigali nas aż do wsi Eglaystadt. Dnia 22-go biwakowaliśmy na pochyłości szanów Erfurtu, gdzie dano nam nowe trzewiki i odzienie. Pięć czy sześć rozpierzchtych kompanij przyłączyło się do naszego batalionu; byli to prawie sami rekruci, którzy ledwie dyszeli. Nowe odzienie i trzewiki leżały na nas jak worki, ale pomimo to czuliśmy przyjemne ciepło ich: zdawało się nam, że wracamy do życia.

Trzeba było wyruszyć znowu 22-go i dni następnym minęliśmy Gotha, Seitlêbe, Eisenach, Salmunster. Kozacy śledzili nas jadąc na swych szkapach; czasami huzarzy gonili się za nimi, uciekali wówczas jak złodzieje, ale zaraz potem wracali.

Wielu z naszych towarzyszy miało zły zwyczaj odchodzić od obozu wieczorem, szukając łupu, podczas kiedy biwakowaliśmy; często zarwali co, ale nazajutrz rano przy apelu, zawsze brakło którego z nich i warty miały rozkaz strzelać do tych, co się oddalali z obozu.

Co do mnie, miałem gorączkę od wyjścia z Lipska; zwiększała się ona co dnia i trząsałem się rano i wieczór. Tak osłabłem, że zaledwie mogłem wstać rano, by ruszyć w drogę. Zébédé patrzył na mnie z miną smutną i mówił mi czasem:

— Odwagi, Józefie, odwagi! wrócimy przecież do kraju.

Słowa te ożywiały mię, czułem jak niby ogień występował mi na twarz.

— Tak, tak, wrócimy do kraju, mówiłem; muszę zobaczyć jeszcze kraj.

I płakałem. Zébédé niósł mój tornister; kiedy byłem nadto zmęczony, mówił mi:

— Oprzyj się na mojem ramieniu... Codziennie zbliżamy się, Józefie.... Jakie piętnaście stacyj, cóż to znaczy?

Dodawał mi odwagi; ale nie miałem już siły nieść fuzyi, wydawała mi się tak ciężką, jak gdyby była z ołowiu. Nie mogłem już jeść i kolana mi trzęsły się; pomimo to nie rozpaczalem jeszcze i mówiłem sobie: „To nic... gorączka przejdzie, jak ujrysz zdrownieć Phalsburga. Katarzyna będzie cię pielęgnowała... Wszystko pójdzie dobrze... pożenicie się”.

Widziałem jak inni zostawali na drodze, ale nie miałem siebie wcale za tak chorego jak oni.

Wciąż jeszcze miałem ufałość, kiedy o trzy mile od Fuldy, na drodze do Salmünsteru, podczas odpoczynku, dowiedziano się, że pięćdziesiąt tysięcy bawarczyków zamierzało przeszkodzić odwrotowi naszemu i że oczekuje na nas w wielkich lasach, któremi przechodzić mieliśmy. Ta wiadomość dobiła mię nareszcie, bo nie czułem już w sobie sił ani iść dalej, ani brać na cel, ani bronić się bagnetem; wszystkie trudy, jakie zadawałem sobie, idąc z tak daleka, stały się daremnymi. Usiłowałem jednak wstać jeszcze, kiedy kazano nam ruszyć z miejsca.

— No, Józefie, mówił Zébédé, no, odwagi!...

Ale nie mogłem i zacząłem płakać, mówiąc:

— Nie mogę!

— Wstań, mówił.

— Nie mogę... mój Boże... nie mogę!

Uczepiłem się ramienia jego... Łzy płynęły mu po wielkim nosie... Chciał nieść mię, ale i on także nadto był słaby. Zatrzymałem go wówczas wołając:

— Zébédé, nie opuszczaj mię!

Kapitan Vidal zbliżył się i ze smutkiem popatrzył na mnie:

— No, mój chłopcze, rzekł, wozy ambulansowe będą iść tędy za pół godziny... zabiorą cię.

Ale widziałem dobrze, co to miało znaczyć i przyciągnąłem do siebie Zébédé'go ściskając go. Rzekłem mu na ucho:

— Stuchaj, pocałujesz Katarzynę za mnie... obiecujesz mi!... Powiesz jej, że umarłem całując ją i że ty jej przynosisz ten pocałunek pożegnania!

— Tak!... rzekł łkając z cicha, tak... powiem jej!... O mój biedny Józefie!

Nie mogłem już go puścić; sam mię położył na ziemi i odszedł nie oglądając się. Kolumna oddalała się... Długo patrzyłem za nią, jak się patrzy na ostatnią nadzieję, która uchodzi... Żołnierze wlokący się z tyłu za batalionem, znikli także.

Wówczas zamknąłem oczy i dopiero w godzinę, a nawet może więcej, zbudziłem się na huk działa i ujrzałem jedną dywizję gwardyi, która przechodziła drogę krokiem przyspieszonym, z furgonami i artylerją. Na furgonach ujrzałem chorych i zawołałem:

— Zabierzcie mię!.. Zabierzcie mię!..

Ale nikt nie zważał na moje wołanie... wojsko szło ciągle i huk kanonady zwiększał się. Więcej

jak dziesięć tysięcy ludzi przeszło tak, kawalerja i piechota; nie miałem już siły wołać.

Nakoniec ogon kolumny przeciągnął, patrzyłem na tornistry i kaszkiety oddalające się ku pochyłości, potem niknące i miałem już położyć się na zawsze, kiedy usłyszałem jeszcze wielki hałas na drodze. Było to pięć lub sześć dział, ciągnionych silnemi końmi, — kanonierzy na prawo i na lewo, z szablą w rękę; — z tyłu szty jaszczyki. Nie więcej pokładałem nadziei w tych jak w tamtych, patrzyłem jednak, kiedy obok jednego z tych dział ujrzałem żołnierza wysokiego, chudego, rudego, z orderem na piersiach, wachmistrza i poznałem w nim Zimmera, mego starego kolegę z Lipska. Przejeżdżał nie widząc mię, ale ja z całych sił zawołałem:

— Krystyanie!... Krystyanie!...

Pomimo turkotu dział usłyszał mię, odwrócił się i spostrzegłszy mię pod drzewem, szeroko otworzył oczy.

— Krystyanie, zawołałem, miej litość nademną!

Wrócił wówczas, popatrzył na mnie i zbladł:

— Jakto, to ty, mój dobry Józefie! rzekł zeskażując z konia.

Wziął mię na ręce jak dziecko, wołając na ludzi, którzy jechali z ostatnim furgonem:

— Stój!... Zatrzymajcie się!

I ucałowawszy mię, położył w tym furgonie, opierając głowę na worku. Widziałem także, jak kładł mi na nogi gruby płaszcz kawalerski, mówiąc:

— Marsz... w drogę... Gorąco tam!

Oto wszystko co pamiętam, bo zaraz potem straciłem przytomność. Zdaje mi się wprawdzie, że jeszcze słyszał potem jak gdyby burzę, krzyki, komendę, a nawet że widział wśród nocy defilujące po niebie szczyty potężnych jodeł; ale wszystko to jest snem dla mnie. To tylko pewna, że po za Salünsterem, w lasach Hanau, stoczono dnia tego wielką bitwę z bawarami i że wojsko nasze po trupach ich przeszło.

## XXII.

Dnia 15 stycznia 1814 roku, w dwa i pół miesiące po bitwie Hanau, zbudziłem się w dobrym łóżku, w małym ciepłym pokoiku; i patrząc na belki u sufitu, potem na małe okienka, które mróz porysował w kwiaty białe, mówiłem sobie: „To zima!” — Jednocześnie, usłyszałem jak gdyby huk dział i trzask ognia na kominie. Po kilku chwilach, odwróciwszy się ujrzałem młodą, bladą kobietę, siedzącą przy kominie, z rękami skrzyżowanymi na kolanach i poznałem w niej Katarzynę. Poznałem także pokój, gdzie spędziłem tyle przyjemnych niedziel, zanim poszedłem na wojnę. Tylko huk działa, odzywający się od czasu do czasu, straszyl mi myślą, czy to nie sen jest tylko.

I długo patrzyłem na Katarzynę, która wydawała mi się bardzo piękna i myślałem: „Gdzież jest ciotka Grédel? Jakim sposobem wróciłem do kraju? Czyśmy poślubieni z Katarzyną? Mój Boże! gdybyż to tylko nie był sen!”

Nakoniec, zebrawszy się na odwagę, zawołałem z cicha: „Katarzyno!” Wówczas ona drząc cała, zbliżyła się i długo całowałem ją. Plakaliśmy oboje.

Nagle ścisnęło mi się serce na huk działa.

— Co ja słyszę, Katarzyno? spytałem.

— To armata Phalsburga, odpowiedziała ściskając mię mocniej.

— Armata?

— Tak, miasto jest w oblężeniu.

— Phalsburg?... Nieprzyjacielem są w kraju?...!

Nie mogłem wyrzec ani słowa więcej... Tyle zatem cierpień, tyle łez, dwa miliony ludzi poległych na polach bitwy, wszystko to doprowadziło do tego tylko, że nieprzyjaciel opanował ojczyznę naszą! Przez całą godzinę, pomimo radości jaką czułem, trzymając w objęciu mojem tę, którą kochałem, okropna ta myśl nie opuściła mię ani na chwilę i dzisiaj jeszcze, chociaż jestem już stary i siwy, czuję goręć na to wspomnienie... Tak, widzieliśmy to, my starzy i dobrze, żeby młodzi wiedzieli o tem; widzieliśmy Niemca, rossyanina, szweda, hiszpana, anglika, panami Francji; trzymali oni garnizony po naszych miastach, zabierali z fortec, co im się podobało, znieważali żołnierzy naszych, znieważali naszą chorągiew i dzielili między sobą nie tylko zdobycze nasze od 1808 roku, ale nadto własność Rzeczypospolitej: — Droga to była zapłata za dziesięć lat chwały!

Ale nie mówmy już o tem, historia to osądzi: powie ona, że po bitwach pod Lutzen i Bautzen, nieprzyjaciele ofiarowywali pozostawić nam Belgię

część Holandyi, cały brzeg lewy Renu aż do Bazylei, z Sabaudyą i królestwem Włoskiem i że cesarz nie zgodził się na te warunki, — które jednak bardzo były piękne, — bo zadowolenie własnej dumy stawiał wyżej aniżeli chwałę Francyi!

Wracając do mego opowiadania, we dwa tygodnie po bitwie Hanau, tysiąc wozów z rannymi i chorymi wyruszyły drogą ze Strasburga do Nancy. Szły one jednym ciągiem z głębi Alzacyi do Lotaryngii.

Ciotka Grédel i Katarzyna, stojąc we drzwiach, patrzyły na posuwający się ten ponury orszak; nie potrzebuję mówić, jakie były ich myśli. Więcej tysięcy pięćset wozów przeszło, w żadnym z nich nie było mnie. Tysiące ojców i matek zbiegli się z przestrzni trzydziestu mil do koła i patrzyły tak wzdłuż drogi... iluż z nich wróciło, nie odnalazłszy dziecięcia swego!

Trzeciego dnia, Katarzyna poznała mię w jednym z owych wózków, wyplatanych w okolicach Moguncyi, między kilku równie nieszczęśliwymi jak ja, z wpadniętymi polieczkami, ze skórą przyschniętą do kości i umierających z głodu.

— To on... to Józef! wołała z daleka.

Ale nikt nie chciał wierzyć temu; i ciotka Grédel długo wpatrywała się we mnie, zanim rzekła: „Tak, to on!... Niech go złąd wyjmą... To nasz Józef!”

Kazała mię zanieść do swego domu i czuwała nademną dzień i noc. Żądałem tylko wody i bezustannie krzychałem: „Wody! wody!” Nikt na wsi nie przypuszczał, bym wyszedł z tego; jednakże powie-

trze rodzinne, którem miałem szczęście oddychać i widok tych, których kochałem, uratował mię.

W pół roku prawie potem, 8 lipca 1814 pobraliśmy się, Katarzyna i ja. Pan Gulden, który kochał nas jak dzieci swoje, przyjął mię do spółki w handlu; żyliśmy wszyscy razem w jednym gnieździe; słowem, byliśmy najszczęśliwsi w świecie.

Wojny pokończyły się, sprzymierzeńcy wracali do siebie, stacya za stacyą; cesarz odjechał na wyspę Elbę, a król Ludwik XVIII zapewnił nam słuszne swobody. I znowu nadszedł dobry czas młodości, czas miłości, pracy i pokoju. Można było wierzyć w przyszłość, można było ufać temu, że przy oszczędności i dobrem prowadzeniu się, każdy zdoła zapewnić sobie stanowisko, zjednać szacunek uczciwych ludzi i dobrze wychować swoją rodzinę, nie obawiając się, że konskrypcya zabierze cię w siedm lub ośm lat, po wyciągnięciu szczególnego losu.

Pan Gulden, który nie bardzo był rad temu, że dawni królowie i dawna szlachta wracają, sądził jednak, że ludzie ci nadto wiele wycierpieli w obcych krajach, by nie mieli zrozumieć nareszcie, że nie oni sami tylko na świecie i że należy szanować prawa nasze; myślał także, iż Napoleon będzie miał na tyle zdrowego rozsądku, że zachowa się spokojnie... ale omylił się: — Burboni wrócili ze starymi swymi zasadami, a cesarz czekał tylko chwili stosownej do odwetu.

Wszystko to sprowadziło na nas nowe utrapienia i byłbym je wam opowiedział z przyjemnością, gdy-

bym nie sądził, że opowiadanie to jest dostatecznie długie jak na raz. Poprzestaniemy więc na tem do czasu. Jeżeli rozsądni ludzie powiedzą mi, że do-  
brzem zrobił opisując kampanię 1813 roku, że może  
to oświecić młodzież co do próżności sławy wojsko-  
wej i wskazać jej, że prawdziwe szczęście jest tylko  
w pokoju, wolności i pracy, wówczas wrócę do wy-  
padków tych i opowiem wam Waterloo!

Koniec Rekruta z 1813 roku.



160524